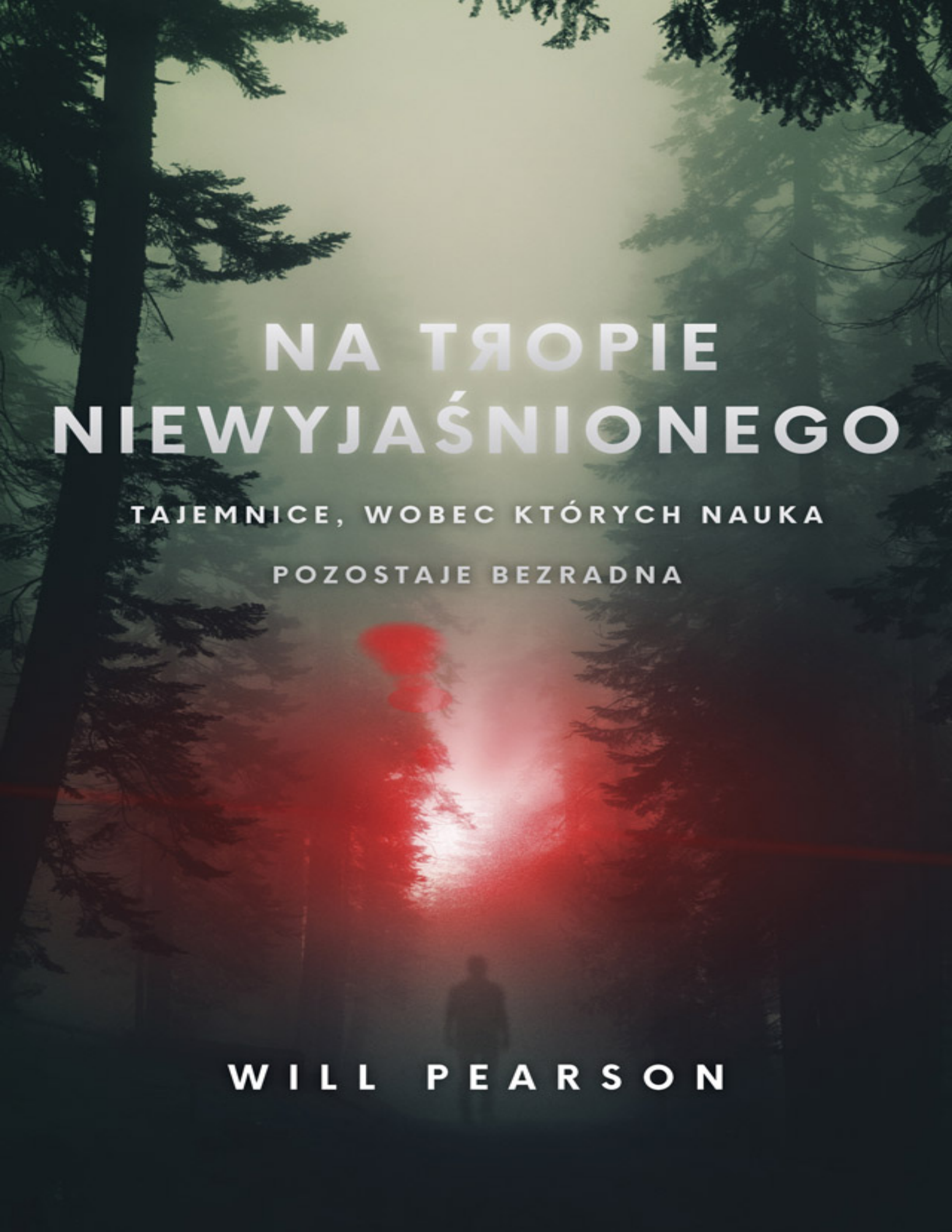
NA TROPIE
NIEWYJAŚNIONEGO
TAJEMNICE, WOBEC KTÓRYCH NAUKA
POZOSTAJE BEZRADNA
WILL PEARSON

Will Pearson

NA TROPIE NIEWYJAŚNIONEGO

Tajemnice, wobec których nauka pozostaje bezradna

tłumaczenie
Grzegorz Łuczkiewicz

znak litera nova
Kraków 2020

Książkę dedykuję Gaynor Aaltonen, dzięki której jest lepsza.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Alanowi Samsonowi, od którego pomysłu wszystko się zaczęło; Simonowi Englishowi, który wytropił w manuskrypcie więcej niż tylko tautologie; Tomowi Voigtowi z zodiackiller.com za nieocenioną pomoc; wreszcie Forrestowi Fennowi za uprzejmą zgodę na dołączenie do książki sprawy polowania na jego skarb.

WPROWADZENIE

Wszyscy uwielbiają prawdziwą tajemnicę – dobrą powieść kryminalną, niezwykłe zjawisko we wszechświecie czy jakieś dziwne sprawy w królestwie zwierząt. Czy „odpowiedzią na wielkie pytanie o życie, wszechświat i całą resztę” rzeczywiście jest „42”, jak żartobliwie sugeruje Douglas Adams w cyklu *Autostopem przez galaktykę*? Zapewne nie – choć naukowcy pracujący przy wielkim zderzaczu hadronów w CERN wiedzą może coś, czego my nie wiemy: niedawno nadali swojemu nowemu kompleksowi biurowemu nieformalną nazwę „Budynek 42”.

Same pytania bywają niekiedy bardziej interesujące niż odpowiedzi. Poszukiwania inteligencji pozaziemskiej (*Search for Extraterrestrial Intelligence*, SETI) nabrały ostatnio tempa wraz z całą nową falą badań wskazujących, że zawsze będzie nas fascynowało to, czego nie rozumiemy. Czy sygnał „Wow!” był przekazem radiowym z odległej przestrzeni kosmicznej? Czy tylko szumem, częstotliwością promieniowania emitowanego przez przelatującą kometę?

Można odnieść niekiedy wrażenie, że zawiązał się jakiś spisek naukowców, dziennikarzy i wszelkiej maści zawodowych wyjaśniaczy, którzy chcą położyć kres absolutnie wszystkiemu, co w życiu tajemnicze. Odczuwamy pewne rozczarowanie, gdy mówi się nam na przykład, że zmiany poziomu morza wywołane przez ostatnie zlodowacenie zmniejszają prawdopodobieństwo, by w Loch Ness przeżyły plezjozaury. Wyjaśnia to być może wciąż rosnącą popularność filmów, powieści, gier wideo

i artykułów z dziedziny fantastyki, jakie serwuje się nam w rzeczywistości wirtualnej.

Na szczęście nie wszystko w życiu da się zamknąć w określonych ramach, ostatecznie ustalić, odrzeć z sekretów i zamienić w faktoid. Tajemnice wciąż istnieją, a tajemnice nierozwiązane – by posłużyć się tautologią – nadal nas intrygują.

Dwadzieścia tajemnic, którym przyjrzymy się w tej książce, tworzy szerokie spektrum osobliwości. Każda z nich na swój sposób stanowi wyzwanie. Niektóre z nich, jak na przykład nagłe zniknięcie pasażerów i załogi żaglowca „Mary Celeste”, trafiły do powszechnego obiegu. Inne, jak sygnał „Wow!”, są nowsze i być może nieco mniej znane. Kryptydy w rodzaju Wielkiej Stopy i potwora z Loch Ness balansują na granicy prawdopodobnego i nieprawdopodobnego, oszustwa i rzeczywistości, faktu i fikcji. Zarówno dla sceptyka, jak i dla entuzjasty zabawa polega na badaniu tych tajemnic.

KOD Z SHUGBOROUGH

Co znaczy kod z Shugborough, dziesięcioliterowa inskrypcja wyryta na podstawie rzeźby w rezydencji Shugborough Hall w angielskim hrabstwie Staffordshire? Od ponad dwustu pięćdziesięciu lat tajemnica ta pozostaje nierozwiązana. Aby ją wyjaśnić, musimy się cofnąć do jednego z najwspanialszych i najśmielszych rejsów w historii marynarki brytyjskiej…

HMS „Centurion” płynął chłostany deszczem ograniczającym widoczność do niecałej mili. Wtem ulewa ustała tak nagle, jak się rozpoczęła. Wysoko w bocianim gnieździe marynarz przetarł oczy. Dostrzegł coś przez lukę w szarej kurtynie. Ale czy na pewno? Wpatrywał się w horyzont, czekając, aż okręt wespnie się na spieniony, szarozielony grzbiet kolejnej fali. Kiedy żaglowiec uniósł się i na moment zawisł, marynarz przyłożył lunetę do oka, by spojrzeć raz jeszcze. Nie mylił się. Plamka na horyzoncie, pojawiający się co chwilę jasny błysk żagla. Górny bramsel, mocno napięty, by chwytać wzmagający się wiatr. Zaciskając dłonie, marynarz na oku wychylił się i zawołał: „Statek na horyzoncie! Lekko na prawo!”.

Stojący na pokładzie rufowym komodor George Anson odczuł wielki przypływ ulgi. I determinacji. Postawił na tę chwilę wszystko: swoją karierę, reputację i osobisty majątek. Niech to tylko nie będzie jakiś niemrawy statek kupiecki, którego ładownie kryją wyłącznie artykuły spożywcze. Niech to będzie pryz, jakiego szukał przez te wszystkie miesiące. W żaden sposób nie okazując podniecenia, jakie odczuwał, Anson

wydał rozkaz postawienia wszystkich żagli. Obcy statek, trzymając swój kurs, oddalał się od „Centuriona”. Trzeba go było dogonić. I podjąć walkę.

Sprawy eskadry Ansona od początku nie układały się dobrze. W jej skład wchodziło sześć okrętów wojennych: flagowy HMS „Centurion”, okręt czwartej klasy o wyporności 1005 ton, z załogą liczącą 400 ludzi i uzbrojeniem w postaci 60 dział; bliźniacze okręty Jego Królewskiej Mości „Gloucester” i „Severn” o wyporności 853 ton, z załogą liczącą 300 ludzi i 50 działami; HMS „Pearl” (600 ton, 250 ludzi, 40 dział); HMS „Wager” (599 ton, 120 ludzi, 24 działa) oraz zwinny mały eskortowiec HMS „Tryal” (200 ton, 70 ludzi, 8 dział). Dwa statki kupieckie „Anna” i „Industry” wiozły zaopatrzenie.

18 września 1740 roku flotylla podniosła kotwice w St Helens na wyspie Wight i postawiła żagle na przeciwny wiatr. Ansonowi rozkazano zająć i złupić jeden z hiszpańskich statków skarbowych, które co roku przecinały Pacyfik, płynąc z Acapulco. Lordowie brytyjskiej admiralicji chcieli również, by eskadra zajęła siłą port Callao i peruwiańską stolicę Limę, wznieciła w Peru ludową rewolucję przeciw rządom Hiszpanów i pokierowała nią, zajęła Panamę z jej skarbami oraz „użyła wszystkich sił, by niepokoić i gnębić Hiszpanów zarówno na morzu, jak i lądzie, […] zatapiając, paląc lub w inny sposób niszcząc wszystkie okręty i statki, jakie napotka”. W wolnej chwili komodor miał zająć także Manilę.

Lordowie admiralicji potrafili bardzo dobrze stawiać żądania. Bardzo źle natomiast wychodziło im pomaganie Ansonowi, by mógł je spełnić. Pięciuset żołnierzy, których oddali do dyspozycji eskadry, stanowiło siłę o wiele za małą w stosunku do wyznaczonych celów. Co gorsza, zamiast przydzielić mu ludzi zdrowych, sprawnych i dobrze wyszkolonych, przełożeni rozkazali Ansonowi zebrać 500 inwalidów ze szpitala Chelsea.

Na wieść, że będą musieli powrócić na morze, wielu z nich zbiegło. Ostatecznie w porcie w Portsmouth zameldowało się do służby tylko 259 ludzi; wielu z nich przekroczyło już sześćdziesiątkę, a nawet siedemdziesiątkę. Niektórzy byli tak starzy i niedołężni, że na pokład trzeba ich było wnosić na noszach. Anson próbował ich odesłać, ale admiralicja kazała ich przyjąć. Aby dopełnić wymaganą liczbę, rozkazano dołączyć do eskadry około 210 żołnierzy piechoty morskiej. Wyglądało to nieźle, lecz ci dodatkowi ludzie niemal bez wyjątku byli zupełnie surowymi rekrutami, których nie nauczono nawet strzelać. Był to zły początek – i wydawało się, że rzuca przekleństwo na całą ekspedycję.

Kiedy eskadra dotarła do St Catherine (obecnie Ilha de Santa Catarina) w południowej Brazylii, jakaś połowa ludzi zmarła już na szkarlatynę lub była bliska śmierci. Na nieustannie zatłoczonych dolnych pokładach zbierał żniwo tyfus. Inni cierpieli na okropności szkorbutu: skrajne zmęczenie, opuchnięte i krwawiące dziąsła, cuchnący oddech, rozchwiane, a nawet wypadające zęby – wszystko prowadzące do powolnej śmierci.

Anson pozwolił załogom powrócić do sił na suchym lądzie, kupował świeże owoce i warzywa, by przyśpieszyć zdrowienie chorych. Był już bardzo spóźniony w stosunku do zakładanego kalendarium. Wiedział, że jeśli nie wypłynie w dalszą podróż, to zanim osiągnie Filipiny, nieprzyjacielski galeon ze skarbami mu się wymknie. Cena? Będzie zmuszony opływać przylądek Horn w zimie – w najgorszej i najniebezpieczniejszej porze roku.

Wiadomo było, że wściekłe wichry wokół Hornu o tej porze roku zrywają ze statków olinowanie, żagle i maszty. Olbrzymie fale chłostane wiatrem wzbijają się wysoko, by potem z miażdżącą siłą spadać na wszystko na swej drodze, w mgnieniu oka zmywając z pokładów ludzi i sprzęt. Marynarze mawiali, że powyżej czterdziestego równoleżnika nie

ma prawa. Powyżej pięćdziesiątego – nie ma Boga. Horn leży na 55,98 stopnia szerokości południowej.

Trzy miesiące później wszystkich osiem statków nadal próbowało opłynąć przylądek Horn. Miażdżona w paszczach dzikich sztormów eskadra niestrudzenie halsowała, zdecydowana przebić się na zachód. Ludzie wciąż umierali z wyczerpania i wychłodzenia. Pozostali cierpieli od odmrożeń, tracąc palce rąk i stóp. Szkarlatyna raz jeszcze przystąpiła do śmiertelnego dzieła: w kwietniu zmarło 45 ludzi, dalszych 80 w maju. Do końca czerwca 1741 roku Anson stracił ponad 200 podkomendnych. Nawet dziś wyprawę tę można zaliczyć do najuciążliwszych – a nawet najstraszniejszych – w annałach żeglugi.

Z załogą ledwie wystarczającą do obsługi okrętu „Centurion” dotarł wreszcie do Socorro na wybrzeżu Chile. Okręt flagowy był teraz sam. Żadne ambitne plany zajęcia Callao czy pokierowania ludową rewolucją przeciw kolonialnemu rządowi Peru nie wchodziły w grę. Kiedy w ciągu następnych czternastu dni żaden inny statek nie dotarł na wyznaczone miejsce spotkania, „Centurion” pożeglował na wyspę Juan Fernández. Tutaj Anson raz jeszcze spróbował przywrócić swoją załogę do zdrowia, nawet osobiście pomagał znosić na ląd najbardziej cierpiących. Dwa tygodnie później do wyspy dotarły HMS „Gloucester” i HMS „Tryal”. Niewielka to była pociecha. Śmierć przerzedziła ich załogi bodaj bardziej jeszcze niż personel „Centuriona”. Komodor rozkazał przeliczyć ludzi: spośród 961, którzy z nim wypłynęli, przy życiu pozostało tylko 351 – nierzadko chłopców. Później miał się dowiedzieć, że „Severn” i „Pearl” w ogóle porzuciły próbę okrążenia Hornu i pożeglowały z powrotem do Brazylii. HMS „Wager” został zepchnięty przez fale na brzeg i porzucony. Ci z załogi, którzy przeżyli, wśród nich dziadek poety Byrona, znaleźli się, zdani na własne siły, na nagim brzegu, gdzie przymierali głodem.

Doprowadziło to do buntu i kolejnej katastrofy, tak że z całej załogi „Wagera” pozostała tylko garstka, by zdać relację z jego losów.

Pomimo tych wszystkich niepowodzeń Anson, przykładnie oddany służbie, przystąpił do gnębienia Hiszpanów i ich posiadłości, na ile tylko pozwalały mu środki. W ciągu kilku kolejnych tygodni jego eskadrze trzech okrętów udało się przejąć kilka cennych hiszpańskich statków handlowych, w tym „La Nuestra del Monte Carmel”. Ponieważ HMS „Tryal” podczas okrążania Hornu odniósł ciężkie uszkodzenia, Anson kazał go zatopić i zastąpić jedną ze zdobycznych jednostek.

Skoro te pierwsze sukcesy przyczyniły się do podniesienia morale, Anson stanął następnie na czele niewielkiej grupy ludzi, z którą przeprowadził niespodziewany najazd na zamieszkane przez Hiszpanów bogate miasto Payta. Położone w zatoce na wybrzeżu Chile, było znanym źródłem srebra. Pięćdziesięciu ośmiu Brytyjczyków, wiosłując bezszelestnie, głęboką nocą zakradło się na brzeg. Wrzeszcząc i krzycząc, waląc w bębny i strzelając z muszkietów, wywołali coś na kształt piekła. Przerażeni tą wrzawą i przynaglani wspomnieniami o bezlitosnym angielskim piracie Francisie Drake’u, obywatele Payty w liczbie 10 tysięcy uciekli na wzgórza odziani jedynie w bieliznę nocną. Byli przekonani, że atakują ich znacznie większe siły. Podstęp Ansona się opłacił.

Kiedy gubernator Payty dumnie – i niemądrze – odrzucił złożoną przez Ansona ofertę rokowań, komodor rozkazał swym ludziom splądrować i spalić miasto. Nie trzeba im było powtarzać. Zrzucając wstrętne łachmany, rzucili się na pozostawione przez mieszkańców Payty bogate stroje. Niektórzy byli tak podekscytowani, że wciągali jedwabne suknie i inne damskie szaty na włożone wcześniej spodnie i kurtki. Z samej komory celnej zrabowali ósemki (hiszpańskie srebrne dolary) i naczynia warte

jakieś 30 tysięcy funtów. Była to częściowa zapłata za wszystkie ciężkie doświadczenia, jakie przecierpieli – Ansonowi jednak to nie wystarczało.

Kilka dni później „Centurion” zagarnął łupy wartości kolejnych 12 tysięcy funtów na hiszpańskim statku handlowym, który miał pecha przeciąć mu drogę. Pomimo wątłych sił eskadra Ansona realizowała swoją uzupełniającą misję – gnębiła i niepokoiła hiszpańską koronę wszędzie, gdzie było to możliwe.

W lutym 1742 roku „Centurion” i „Gloucester” wzięły kurs na Acapulco. Anson chciał się przekonać, czy któryś z galeonów skarbowych wciąż jest w porcie, czy też wszystkie już wypłynęły. Trzej ujęci hiszpańscy rybacy powiedzieli mu, że przed trzema tygodniami przypłynął jeden galeon. Drugi, zmierzający do Manili, miał przybyć w ciągu dwóch tygodni. Ponieważ Ansonowi pozostało pod rozkazami już niewielu ludzi, postanowił ograniczyć straty i skierować się w podróż powrotną. Najwłaściwsza trasa wiodła przez Pacyfik na zachód, przez Makao oraz, gdyby okazało się to możliwe, Kanton. Ledwo oba okręty oddaliły się od lądu, pech i niepogoda powróciły: „Gloucester” stracił główny maszt i nabierał wody, a przecieku nie dało się zatamować. Na obu okrętach znowu umierali ludzie. Anson rozkazał opróżnić statek ze wszystkiego, co mogłoby się przydać, i puścić go z ogniem. Pozostałości jego załogi przeniesiono na „Centuriona” i z wysiłkiem ruszono w dalszą drogę.

21 października 1742 roku okręt flagowy dotarł do Kantonu w Chinach – był pierwszym brytyjskim okrętem wojennym, jaki tu przybił. Przyzwyczajeni do nieszkodliwych statków handlowych Chińczycy bynajmniej nie podchodzili przyjaźnie do obcego okrętu wojennego i jego wynędzniałej załogi. „Centurion” kotwiczył na redzie, a Anson z piekielnym trudem starał się przekonać miejskich mandarynów, by pozwolili mu go naprawić i na nowo wyposażyć oraz uzupełnić zapasy.

W końcu Chińczycy z wielkimi oporami zgodzili się, by wszedł do doku. Plotka głosi, że pewna subtelna wzmianka o bombardowaniu pomogła zmiękczyć ich serca. Kiedy zakończono bardzo potrzebny remont, Anson uregulował rachunki i postawił żagle. Zamiast początkowej brytyjskiej załogi miał marynarzy wszelkich ras i kolorów skóry, których opłacił i przekonał do zamustrowania w Makao. Zebrał w sumie 227 ludzi – ledwo ponad połowę zwykłej obsady flagowca liczącej 400 osób.

Zamiast wracać do Anglii, gdzie ekspedycja mogłaby się pochwalić tylko zmarłymi ludźmi, utraconymi okrętami i osiemdziesięcioma sztukami srebra, Anson postanowił postawić wszystko na jeszcze jedną, ostatnią kartę. Gdyby „Centurion” skierował się teraz na Manilę, mógłby natrafić na jeden z hiszpańskich statków skarbowych. Ryzyko polegało na tym, że gdyby oba wielkie galeony, o których wiedział, iż stały w porcie w Acapulco, dopadły go jednocześnie, „Centurion” byłby zgubiony.

Parę tygodni później flagowiec osiągnął Cape Espiritu Santo na północno-wschodnim końcu filipińskiej wyspy Samar. Przez wody te przebiegał główny hiszpański szlak do Manili. „Centurion” rozpoczął patrolowanie. Dni i tygodnie mijały bez żadnego znaku bajecznych statków skarbowych. Anson wykorzystywał więc czas, by szkolić nowych rekrutów w obsłudze dział: ładowali je, wysuwali i dawali ognia tak długo, aż zaczęło im to wychodzić szybko i pewnie. Wyznaczył również najlepszych strzelców spośród żołnierzy piechoty morskiej do dodatkowych ćwiczeń strzeleckich. W razie natrafienia na nieprzyjacielski statek ich zadaniem miało być obsadzenie topów masztów i stamtąd eliminowanie oficerów wroga za pomocą muszkietów. Kiedy dni przechodziły w tygodnie, oczekiwanie stawało się destrukcyjne, lecz Anson był bardzo uparty. Wiedział, że gdyby powrócił z pustymi rękami, jego kariera i reputacja byłyby zagrożone.

20 czerwca 1743 roku do Ansona znów uśmiechnęło się szczęście. Hiszpańscy szpiedzy dowiedzieli się o jego misji, jeszcze zanim opuścił Anglię. Licząc na przechytrzenie go, opóźnili ostatnią wysyłkę skarbową o kilka tygodni. Wybieg ten zadziałał akurat na korzyść komodora. Wszystkie dotychczasowe niepowodzenia jego eskadry oznaczały obecnie, że „Centurion” jest na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Zasadzka

Pogoda się poprawiła i flagowiec zaczął powoli dopędzać umykający statek. Kiedy z mgły wyłoniły się jego zarysy, we wszystkich na pokładzie „Centuriona” wstąpił nowy duch. Był to wielki pękaty hiszpański galeon skrzypiący pod ciężarem skarbów, pryz, dla którego przecierpieli te wszystkie piekielne męki. Waga cennego ładunku sprawiała, że „La Nuestra Señora de Covadonga”, bo tak zwał się statek, była głęboko zanurzona w wodzie. To dodatkowe zanurzenie ją spowalniało. Brytyjczyków oddzielały od fortuny w hiszpańskim srebrze już tylko działa „Covadongi” i duch bojowy jej liczącej 550 ludzi załogi. Galeon uzbrojony w 22 działa osiemnastofuntowe, 22 dwunastofuntowe, 6 ośmiofuntowych i 24 *pedreroes*, czyli obrotowe działka zabójcze na krótki dystans, górował nieco siłą ognia nad „Centurionem”. To nic. Anson wydał rozkaz: „Wszyscy na miejsca!”. „Centurion” przygotował się do akcji i wysunął działa. Sygnaliści rozwinęli szeroką czerwoną brytyjską banderę wojenną i wciągnęli na maszt proporzec komodora.

Bitwa o hiszpański skarb mogła się okazać krwawa, może kosztowna, może długa – ale została rozpoczęta.

Bitwa o „Covadongę”

O tym, co się później zdarzyło, opowiada (skrócony) dziennik Richarda Waltera, kapelana na „Centurionie”, zatytułowany *Lord Anson’s Voyage Round the World* (1749):

> [Komodor] wybrał około trzydziestu najlepszych marynarzy i strzelców i wysłał ich na wanty. Spełnili oni wszelkie pokładane w nich nadzieje, oddając znakomite usługi. Nie mając dostatecznej liczby ludzi, aby skompletować przepisową obsługę każdego z wielkich dział, musiał przydzielić na dolny pokład tylko po dwóch marynarzy do każdego działa – zadaniem ich było tylko ładowanie armat. Pozostałych podzielił na drużyny po dziesięciu do dwunastu ludzi. Ci systematycznie obchodzili pokład, rychtując działa i odpalając te, które były naładowane. Tym sposobem mógł robić użytek ze wszystkich dział, zamiast strzelać salwami całej burty, co powodowało długie przerwy w ogniu. Mógł prowadzić ogień bezustannie, co niewątpliwie było o wiele skuteczniejsze. Hiszpanie mieli bowiem zwyczaj padać na pokład, gdy widzieli przygotowania do salwy. Leżeli tak długo, aż salwa została odpalona, po czym wstawali, uważając, że niebezpieczeństwo minęło, i żwawo zabierali się do strzelania ze swoich dział aż do następnej salwy przeciwnika. Przy ogniu ciągłym, według sposobu nakazanego przez komodora, takie postępowanie było pozbawione sensu.
>
> […] koło pierwszej „Centurion”, będąc w odległości strzału armatniego, podniósł swój znak dowódcy i banderę. Wówczas komodor zauważył, że hiszpan zaniedbał uporządkowania pokładu do bitwy, gdyż dopiero teraz wyrzucano za burtę bydło i zbyteczne

drewno. Wobec tego natychmiast rozkazał otworzyć ogień z działa dziobowego, aby przeszkadzać Hiszpanom w pracy i nie pozwolić na jej dokończenie. […] Galeon odpowiedział ogniem z dział rufowych, zaś „Centurion” przebrasował szprytreję wzdłuż bukszprytu, aby przygotować się do abordażu. Hiszpan z fanfaronadą uczynił to samo. Wkrótce „Centurion” zbliżył się do nieprzyjaciela na strzał z pistoletu, trzymając się jego zawietrznej, aby przeszkodzić mu odpaść do fordewindu na port Jalapay, od którego był odległy o siedem leagues [ok. 39 km – przyp. red.]. Bitwa teraz rozgorzała na dobre. W ciągu pół godziny „Centurion” wysunął się przed galeon i usadowił przed jego dziobem. Z takiej pozycji mógł ostrzeliwać nieprzyjaciela prawie ze wszystkich dział, podczas gdy galeon mógł prowadzić ogień jedynie z części swojej artylerii. Bezpośrednio po rozpoczęciu akcji zapaliły się maty, którymi na galeonie wypchano siatki hamakowe wzdłuż burt; języki ognia sięgały do połowy stengi bezana. Wypadek ten, spowodowany podobno przybitkami z „Centuriona”, przeraził nieprzyjaciela, ale zaniepokoił również komodora, który obawiał się, że spłonie cały galeon i że my moglibyśmy ucierpieć od ognia, gdyby wiatr zniósł płonące głownie na jego okręt. Hiszpanie jednak ugasili pożar, odcinając siatki i wyrzucając to wszystko, co się paliło, do morza. Przez cały ten czas „Centurion” utrzymał swoją korzystną pozycję, strzelając z dział szybko i regularnie, zaś strzelcy rozmieszczeni na wantach terroryzowali ogniem pokład, spędziwszy uprzednio pierwszą salwą Hiszpanów z masztów i salingów. Szerzyli oni spustoszenie, zabijając lub raniąc każdego oficera, który pojawił się na pokładzie. Udało im się nawet ciężko ranić generała, dowódcę galeonu. Bitwa trwała już pół godziny, gdy

„Centurion” stracił przewagę wynikającą z pierwotnej pozycji, gdyż niebezpiecznie zbliżył się do burt galeonu, który ostrzeliwał go przez blisko godzinę. Ale nawet w tej sytuacji komodor prowadził intensywny ogień kartaczami, zmiatając pokład nieprzyjaciela tak skutecznie, że liczba zabitych i rannych Hiszpanów wzrosła niepomiernie, powodując ogromne rozprzężenie, tym bardziej że dowodzący generał, który był duszą całej akcji, nie był już w stanie osobiście nią kierować. Zamieszanie panujące na galeonie było doskonale widoczne z pokładu „Centuriona”. Okręty bowiem tak się zbliżyły, że widać było hiszpańskich oficerów starających się energicznie zapobiec dezercji swoich ludzi z wyznaczonych stanowisk. Wszystkie ich zabiegi poszły jednak na marne, gdyż po oddaniu pięciu czy sześciu strzałów z dział z lepszych niż dotychczas wynikiem Hiszpanie nie wytrzymali naszego ognia. Postanowili się poddać, lecz nie mogąc opuścić bandery, która została odstrzelona z flagsztoku na początku bitwy, zdjęli proporzec powiewający na topie grotmasztu. […]

W ten sposób „Centurion” zdobył bogaty pryz wartości co najmniej półtora miliona dolarów. Nosił on nazwę „Nostra Sigñora de Covadonga”, dowodził nim generał Don Jeronimo de Montero, Portugalczyk, oficer o wypróbowanej odwadze i biegły w swojej sztuce. Galeon był znacznie większy od „Centuriona”, miał 550 ludzi załogi i 36 dział na stanowiskach ogniowych, nie licząc lżejszych, strzelających czterofuntowymi kulami i rozmieszczonych wzdłuż burt na pokładzie rufowym i na marsach. […] Straty Hiszpanów wynosiły 67 zabitych i 84 rannych. „Centurion” miał tylko 2 zabitych i 17 rannych (1 oficer i 16 marynarzy), z czego wszyscy, z wyjątkiem jednego, wyzdrowieli.

> Nikt nie jest w stanie opisać radości, jaka ogarnęła naszą załogę, świadomą, że zdobyła skarby, o których marzyła przez blisko osiemnaście miesięcy, że po tylu trudach i rozczarowaniach spełniły się nadzieje i ziściły się ich pragnienia*.
>
> Komodor postanowił jak najlepiej wykorzystać drogę z pryzem ku rzece Kanton. […] Dopilnowanie więźniów było sprawą jeszcze większej wagi, ponieważ od tego zależało nie tylko utrzymanie skarbu, ale nawet życie zwycięzców. Komodor miał z tym wiele kłopotu i niepokoju, ponieważ jeńców było przeszło dwa razy więcej niż jego ludzi. Niektórzy z nich, gdy zabrano ich na pokład „Centuriona" i mogli zobaczyć, jak słabo był obsadzony ten okręt […] nie mogli się powstrzymać od mówienia z wielkim wzburzeniem, że zostali tak pobici przez garstkę chłopaków.

Według innego opisu tej podróży załoga „Covadongi", starając się uniemożliwić Brytyjczykom położenie ręki na fantastycznym skarbie, ukryła jego większość tak pomysłowo, jak tylko zdołała:

> Na pokładzie „Covadongi" Saumarez wciąż znajdował nowe skarby ukryte w fałszywych sufitach i pochowane między deskami. Okazało się raz, że gdy rozcięto podejrzanie ciężkie sery, znaleziono w środku sztaby złotego kruszcu. Do tej pory [lipiec 1743 roku] odkryto 1 278 546 złotych i srebrnych dolarów hiszpańskich oraz pięknie kute srebro i złoto wagi tysięcy funtów. „Centurion" niósł na dodatek skarbiec Payty i inne hiszpańskie łupy, których łączna wartość przekraczała w 1743 roku 500 tysięcy funtów. Do tego dochodziły klejnoty i tysiące ozdób ze złota, srebra, jadeitu i nefrytu, jak również gobeliny, adamaszki i rzadkie korzenie (Leo Heaps, *Log of the Centurion*, 1973).

Komodor Anson powrócił do ojczyzny w Spithead 15 czerwca 1744 roku i był witany niczym bohater. Powszechny entuzjazm, z jakim go przyjmowano, był zrozumiały: Anson nie tylko utarł nosa królowi Hiszpanii, ale zagarnął z hiszpańskiego skarbca ponad 50 milionów, licząc w dzisiejszych funtach. Trzydzieści cztery konne wozy zabezpieczane przez potężnie uzbrojoną eskortę pociągnęły łupy z Portsmouth do Tower. Na całej trasie przyjmowały ich wiwatujące tłumy. Anson, po sir Francisie Drake'u dopiero drugi angielski kapitan, który okrążył kulę ziemską, stał się bohaterem narodowym.

Za swój sukces zapłacił jednak wielką cenę. Szkarlatyna, tyfus i szkorbut, ta „morska zaraza", zabiły setki jego ludzi. Anson uzyskał awans na kontradmirała i nagrodę w wysokości trzech ósmych zdobycznych pieniędzy, a jego reputacja była zapewniona. To samo dotyczyło jego osobistego majątku: jego udział, licząc w dzisiejszym pieniądzu, przekraczał 18 milionów funtów. Nawet czternastoletni pomocnicy artylerzystów dostali wynagrodzenie za dwadzieścia lat służby. Biedne dzieciaki, często siłą wcielone do służby, miały wracać do domów jako lokalni bohaterowie, odmieniając losy swoich uszczęśliwionych rodzin.

Ale gdzie tu tajemnica i co to ma wspólnego z kodem z Shugborough? Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy się przyjrzeć historii Shugborough Hall, wówczas skromnej rezydencji ziemskiej w pobliżu Litchfield w Staffordshire. Ta własność Thomasa Ansona, starszego brata komodora, miała właśnie ogromnie się zmienić.

Kod z Shugborough

Człowiek, który nagle znalazł się w posiadaniu ogromnego majątku, potrzebuje jak najlepszej pomocy przy jego wydawaniu. Admirał George Anson stał się jednym z najbogatszych ludzi swoich czasów. Wstąpił do marynarki w wieku dwunastu lat i mnóstwo wiedział o morzu, walce z okrętami i dowodzeniu ludźmi. Ale co wiedział o kulturze, filozofii czy sztuce? Zapewne niewiele. Teraz jednak, skoro stał się bajecznie bogaty, George przy pomocy swojego brata Thomasa przystąpił do naprawiania tego stanu rzeczy.

Thomas Anson, poseł do parlamentu z pobliskiego Litchfield, od dawna pragnął zmodernizować prosty trzykondygnacyjny dom wzniesiony w 1693 roku przez jego ojca Williama. Sądził, że również rozległe grunty Shugborough dają przestrzeń, w której człowiek nowoczesnego brytyjskiego oświecenia mógłby śmiało zaznaczyć swoją obecność.

Od czasów swojego wielkiego objazdu Europy kontynentalnej Thomas Anson uwielbiał klasyczną starożytność. Żądny uformować się na wzór jakiegoś grecko-rzymskiego szlachcica i mając do wydania fortunę w hiszpańskim srebrze i złocie, przystąpił do przekształcania Shugborough w coś w rodzaju olbrzymiego neoklasycznego parku tematycznego. Nie miał wątpliwości, że kiedy dzieło to zostanie zakończone, przemieni jego samego, jego bohaterskiego brata George’a i resztę rodziny w sztandarowych ludzi oświecenia, tej nowej fali racjonalnego myślenia, badania naukowego i świeżo pobudzonego smaku artystycznego, jaka wzbierała w tej epoce.

Mając pieniądze na zatrudnienie najlepszych współczesnych architektów, projektantów, malarzy i rzeźbiarzy, Anson powierzył Thomasowi Wrightowi z Durham, architektowi, astronomowi i projektantowi ogrodów, modernizację i powiększenie pierwotnego

siedemnastowiecznego domu, odnowienie jego wnętrza i ukształtowanie nowego krajobrazu.

Zatrudnił również znakomitego architekta i rysownika Jamesa „Ateńczyka” Stuarta, by ten wybudował naturalnej wielkości repliki jego ulubionych pomników starożytnej Grecji i Rzymu. Stuart jak należy przystąpił do prac nad Wieżą Wiatrów, Latarnią Demostenesa, Łukiem Hadriana i świątynią dorycką. Tym, co nas szczególnie interesuje, jest niewątpliwie najbardziej tajemniczy spośród obiektów, które przetrwały do naszych czasów, mianowicie „pomnik pasterza”.

Pomnik pasterza

„Pomnik pasterza”, umiejscowiony pierwotnie w surowej „alkowie”, czyli niszy w ścianie oranżerii, to płaskorzeźba stanowiąca marmurową kopię najsłynniejszego i najbardziej tajemniczego obrazu siedemnastowiecznego francuskiego malarza Nicolasa Poussina. Znany jest on jako *Les Bergers d’Arcadie* lub *Et in Arcadia ego*, a interpretacja jego znaczenia pozostaje wciąż otwarta. Ansonowie powierzyli sporządzenie jego nowej wersji w kamieniu słynnemu holenderskiemu rzeźbiarzowi Peterowi Scheemakersowi.

Na kopii Scheemakersa, podobnie jak i na oryginale Poussina, trzej pasterze i kobieta wpatrują się w nagrobek z napisem „Et in Arcadia ego”. Temat wzięty jest z *Bukolik* Wergiliusza i wcześniejszych *Idylli* Teokryta. Obaj poeci wyobrażają sobie Arkadię – krainę w starożytnej Grecji – jako coś w rodzaju wiejskiej Utopii, której mieszkańcy wiodą życie wypełnione niewinnymi intelektualnymi dociekaniami i zmysłowymi przyjemnościami na łonie przyrody. Jak się wydaje, na obrazie Poussina pasterze wskazują na pewien moralny sens motta „I ja również jestem w Arkadii”. Uważa się na

ogół, że oznacza to, iż śmierć zawsze nam towarzyszy, nawet w najszczęśliwszych chwilach, i że paradoksalnie przynosi swoje własne nagrody. Pomnik jest obrzeżony parą doryckich kolumn ozdobionych wzorem z naciętych linii.

Dlaczego Thomas Anson kazał wyrzeźbić ten pomnik? Czy na życzenie admirała? I dlaczego właściwie poprosił znakomitego – i bardzo drogiego – rzeźbiarza Scheemakersa, aby spośród wszystkich obrazów kanonu sztuki Zachodu wziął za wzór akurat *Et in Arcadia ego* Poussina? Dzieło to współgrało oczywiście z klasycznym parkiem stworzonym przez Ansonów. Ale czemu ten akurat obraz? Proste wyjaśnienie jest takie, że Anson zwyczajnie podziwiał dzieło Poussina. Odpowiedź mniej oczywista i bardziej intrygująca jest taka, że chciał coś ukryć – i pomógł sekretowi przetrwać przez stulecia, otaczając go nimbem tajemnicy. W tym celu zaś poprosił Scheemakersa, by wprowadził do oryginału Poussina kilka znaczących zmian. Przeróbki te razem wzięte można odczytywać jako coś w rodzaju kodu, ale co on oznacza?

Kamienne zwierciadło

Jakie są różnice? Scena została odwrócona, zamieniono prawą i lewą stronę, jakbyśmy oglądali obraz w kamiennym zwierciadle. Stojąca postać kobieca całkiem znikła. Prostokątny nagrobek zastąpiono piramidą, a poniżej jej szczytu umieszczono coś, co wygląda na ozdobną trumnę.

Jest coś jeszcze: laski czy kije trzymane przez dwóch klęczących pasterzy niemal się stykają. Przyglądając się zaś bardzo uważnie, dostrzeżemy głowę Alfejosa, w mitologii greckiej boga rzeki, zmyślnie wkomponowaną w skałę bezpośrednio poniżej pasterza po lewej stronie płaskorzeźby. Jak głosi mit, Alfejos zakochał się w pięknej nimfie Aretuzie,

córce Nereusa, jednej z Hesperyd strzegących ukrytego raju. Artemida, bogini czystości, chcąc pomóc Aretuzie umknąć uwadze boga rzeki, przemieniła ją w źródło. Jednak przebiegły Alfejos i tak posiadł nimfę, mieszając z jej wodami swój znacznie mocniejszy nurt.

Są jeszcze przynajmniej dwie dalsze przeróbki: ręka starszego klęczącego pasterza zmieniła położenie tak, że wskazuje kciukiem na literę „R” w słowie „ARCADIA”. I wreszcie sam tajemniczy kod z Shugborough.

Kod z Shugborough

Na cokole pod płaskorzeźbą Scheemakers wyrył dziesięć liter. Rozmieszczone w następujący sposób:

O·U·O·S·V·A·V·V
D· M·

składają się na szyfr zwany kodem z Shugborough. Od ponad dwustu pięćdziesięciu lat opiera się on każdej próbie rozszyfrowania. Próbowali go złamać Dickens i Darwin, ale żadnemu się nie udało. Stosunkowo niedawno zarząd Shugborough we współpracy z Bletchley Park, ośrodkiem deszyfrującym, który podczas drugiej wojny światowej złamał ściśle strzeżony nazistowski kod Enigma, zorganizował otwarty konkurs. Przyciągnął on ponad 130 uczestników. Zwycięzcą został anonimowy amerykański ekspert od szyfrów pracujący w jakiejś agencji rządowej. Twierdził on, że odkrył wydrapany w marmurze kod numeryczny – 1223. Dzięki temu odszyfrował wiadomość: JESUS H DEFY – przy czym utrzymywał, że „H” jest wyprowadzone z greckiej litery „X” stanowiącej skrót słowa *Christos*, czyli „Zbawiciel”.

Zwycięzca twierdził, że ten odszyfrowany napis „zignoruj Chrystusa” łączy kod z Shugborough bezpośrednio z Zakonem Syjonu, tajemnym bractwem, które stało się słynne dzięki Danowi Brownowi i jego bestsellerowi *Kod Leonarda da Vinci*. W opowieści Browna Zakon Syjonu strzeże Świętego Graala: tajemnej wiedzy, że Chrystus nie był bogiem, lecz śmiertelnikiem. Ożenił się z Marią Magdaleną i miał z nią dziecko, a ich święta linia rodowa przetrwała do dziś.

Udział w tej tajemnicy mieli podobno również templariusze. Kiedy pod ich panowaniem znalazła się świątynia jerozolimska, kilku wybranych braci usunęło z jej podziemi rozstrzygające i mogące odmienić świat dowody istnienia śmiertelnych potomków Chrystusa. W jednej z wersji tej opowieści były to między innymi szczątki Marii Magdaleny, 13 listopada 1307 roku król Francji Filip II zmiażdżył zakon templariuszy. Opowiada się dalej, że gdy nasłani przez Filipa mordercy byli już blisko, grupka najważniejszych rycerzy wymknęła się wraz ze swą świętą wiedzą. Najpierw znaleźli schronienie w starożytnej twierdzy albigeńskiej Carcassonne w południowej Francji. Następnie rozproszywszy się, wyruszyli do kaplicy Rosslyn w Szkocji lub do kanadyjskiej Nowej Szkocji, gdzie skryli się wraz ze swoim wielkim sekretem.

Czy możemy uwierzyć, że *San Graal* z napisanego pod koniec XIV wieku przez francuskiego pisarza Chrétiena de Troyes’a poematu *Percewal z Walii czyli opowieść o Graalu* w rzeczywistości nie oznacza kielicha Chrystusa, lecz *Sang Real*, czyli „królewską krew” Jezusa i dzieci, jakie miał z Marią Magdaleną? Dzieci, których potomkowie od V do VIII wieku byli merowińskimi władcami Francji, a ich ród trwa aż do dziś?

Dan Brown rozpoczyna *Kod Leonarda da Vinci* słowami: „Zakon Syjonu – Prieuré de Sion – tajne stowarzyszenie działające w Europie, założone w roku 1099, naprawdę istnieje”. W rzeczywistości jednak Zakon

Syjonu, przynajmniej w swym pierwotnym wcieleniu, był mistyfikacją wymyśloną w latach 60. ubiegłego wieku przez Pierre'a Plantarda i Philippe'a de Cheriseya, dwóch francuskich awanturników chcących poprawić swój los. Plantard twierdził, że jest wielkim mistrzem Zakonu Syjonu. Utrzymywał, że jako taki jest ucieleśnieniem Świętej Krwi oraz bezpośrednim potomkiem królewskiej linii Merowingów. Czyniło to z niego nie tylko prawowitego dziedzica tronu Francji, ale też żywe wcielenie śmiertelnego rodu Chrystusa na ziemi. Dziś Plantard już nie żyje.

Brown na poparcie swojej historii powołuje się na „pergaminy" znane pod nazwą *Les Dossiers Secrets*. „Przypadkowo odkryte" w prestiżowej francuskiej Bibliothèque Nationale, wyliczają rzekomo członków Zakonu Syjonu, wśród których mają się znajdować sir Isaac Newton, Sandro Botticelli, Victor Hugo i Leonardo da Vinci. W rzeczywistości mistyfikatorzy, chcąc uprawdopodobnić swoje oszustwo, podrzucili te pergaminy do francuskiej Biblioteki Narodowej w 1967 roku. W 2005 roku brytyjski aktor i prezenter telewizyjny Tony Robinson gruntownie zdemaskował to szachrajstwo.

Skoro jednak nie ma żadnego Zakonu Syjonu, to „rozwiązanie" kodu z Shugborough przedstawione w 2004 roku przez anonimowego amerykańskiego deszyfranta jest błędne, a szyfr wciąż nie został złamany. Czy są jakieś inne wskazówki w sprawie znaczenia tego napisu?

Liczne książki, dokumentalne programy telewizyjne i artykuły zmierzały do wykazania jakiegoś związku pomiędzy francuską wioską Rennes-le-Chateau, Świętym Graalem, *Les Bergers d'Arcadie* i zakopanym skarbem templariuszy. Nic z tego nie jest w pełni przekonujące. Szczególnie fantastyczna jest historia Rennes-le-Chateau. Znajdziemy w niej morderstwo księdza, templariuszy, Franków, Wizygotów, masonów,

Shugborough Hall, spore ilości złota ukryte w wiejskiej okolicy tej posiadłości i niemal wszystko inne, co jeszcze można by w niej upchnąć.

Jeden z najzabawniejszych pomysłów sugeruje, że wskazówki zawarte w tajnej pięciokątnej geometrii *Les Bergers d'Arcadie* Poussina, jeśli tylko potrafimy ją rozwikłać, mówią o lokalizacji bajecznego skarbu. Kod z Shugborough jest w tej wersji ostatnim elementem układanki prowadzącej do zakopanego złota. Wielu starało się rozwiązać tę zagadkę. Nikt jak dotąd nie pojawił się z łupem.

Pomnik w Shugborough jest poświęcony Elizabeth Yorke, żonie George'a Ansona, a córce Lorda Kanclerza Hardwicke'a. Korespondencja rodzinna Ansonów sugeruje, że Thomas był zakochany w pretensjonalnej żonie brata. Jeśli to prawda, kod z Shugborough może nie mieć absolutnie nic wspólnego z ukrytym skarbem, Chrystusem, Marią Magdaleną, Rennes-le-Chateau ani geometrią pięciokątną. Być może był to po prostu bardzo osobisty sposób, w jaki Thomas Anson chciał upamiętnić Elizabeth. Interpretacji tej dodaje nieco wagi cytat z anonimowego osiemnastowiecznego *Poematu z Shugborough*:

> Niech się nie waży dociekliwa Muza
> Ujawnić pośpieszną interpretacją
> Tajemnicze znaki skrywające jej imię.

To jednak wciąż nie wyjaśnia wszystkich zmian, jakie Thomas kazał Scheemakersowi wprowadzić do *Les Bergers d'Arcadie*. Cokolwiek zaś zrobilibyśmy z literami D.O.U.O. S.V.A.V.V.M., nie sprawdzą się jako zaszyfrowana wersja imienia Elizabeth. Jeden ze współczesnych Thomasa Ansona mówi nam, że był on „bardzo skłonny przestawać [przed pomnikiem] w zadumie". I to jednak nie pomaga nam rozszyfrować kodu.

O·U·O·S·V·A·V·V

D· M·

Czy ktoś ma jakiś pomysł, co mogłoby to znaczyć?

---

* R. Walter, *Wyprawa lorda Ansona dookoła świata*, tłum. M.L. Pisarek, Gdańsk 1978, s. 200–203.

ATLANTYDA

Trudno uwierzyć, by filozof, zapaśnik, mizogin i twórca mitów Platon, pisząc opowieść o Atlantydzie, wyobrażał sobie, że przeszło dwa tysiące lat później będzie ona wciąż przyciągała wyobraźnię ludzi na całym świecie. A jednak ta historia zatopionego, od dawna zaginionego miasta-państwa gdzieś „poza Kolumnami Heraklesa”* zrodziła więcej filmów, programów telewizyjnych, książek, artykułów, komiksów, gier wideo i rozpraw naukowych, niż dałoby się omówić podczas jednego sympozjum – i nie ma żadnych oznak, by fascynacja ta miała w jakimkolwiek przewidywalnym czasie osłabnąć.

Jedynym naszym źródłem mitu o Atlantydzie są napisane przez samego Platona w 360 roku p.n.e. dialogi *Timajos* i *Kritias*.

Dowiadujemy się z tych tekstów, że grecki mąż stanu Solon odwiedził w roku 590 p.n.e. świątynię egipskiej bogini Neith w Sais w delcie Nilu. Egipscy kapłani opowiedzieli mu tam historię wojny między Atenami a krajem zwanym Atlantydą. Solon powiada, że toczyła się ona dziewięć tysięcy lat przed jego wizytą. Platon pisze, że sporządzony przez Solona przekład historii o Atlantydzie na język grecki jest jedynym i wyłącznym źródłem wiedzy o niej, i każe Kritiasowi twierdzić: „te pisma […] znajdują się jeszcze u mnie”.

Według opowieści, kiedy greccy bogowie rozdzielili między siebie ziemię i niebiosa, bóg morza Posejdon „otrzymał wyspę Atlantydę”. Nie wylosował całkiem źle, ponieważ wyspa, którą miał posiadać, „była kiedyś większa od Libii i Azji”. (Niektórzy uważają, że słowo „wyspa” mogłoby

w tym kontekście równie dobrze oznaczać „półwysep”, a nawet „otoczony morzami kontynent”).

Platon mówi nam, że nowe królestwo Atlantydy od północy obejmowało głównie góry. Na południu znajdowała się wielka wydłużona równina, która „liczyła po bokach trzy tysiące stadiów [555 km] oraz dwa tysiące stadiów [370 km] w środku od morza. […] W pobliżu zaś równiny wznosiło się niewysokie wzgórze, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu stadiów [9 km] od jej środka”.

Władczynią Atlantydy była kobieta imieniem Klejto. Pewnego dnia „zapragnął jej Posejdon i połączył się z nią. Ze wzgórza, na którym mieszkała, uczynił miejsce obronne i odosobnił je ze wszystkich stron, tworząc mniejsze i większe pierścienie z morza i z ziemi, jedne dokoła drugich; dwa z ziemi i trzy z morza; zakreślił je, jakby poczynając od środka wyspy, od którego były wszędzie równo odległe; w ten sposób były nie do przebycia dla ludzi, gdyż nie istniały wtedy jeszcze wcale okręty ani żegluga”. Było to więc bardzo dawno, przed erą żeglarstwa.

Klejto urodziła Posejdonowi pięć par bliźniąt płci męskiej. Najstarszy z tych synów, Atlas, został wyznaczony na króla i użyczył swego imienia zarówno wyspie, jak i otaczającym go morzom, które wciąż znamy jako Ocean Atlantycki.

Dowiadujemy się dalej, że mieszkańcy Atlantydy

> pobudowali świątynie, królewskie pałace, porty, warsztaty do budowy okrętów […] mosty na kolistych odnogach morskich, które otaczały stare macierzyste miasto, i otworzyli w ten sposób drogę na zewnątrz królewskiego pałacu i drogę do niego. Ten pałac zbudowali zaraz na początku w miejscu zamieszkania Boga i swoich przodków. Ilekroć jeden [król] przejmował ten pałac od

poprzedniego, dodatkowo ozdabiał to, co było upiększone przez tamtego. Każdy według sił starał się przewyższyć poprzednika. Toteż ktokolwiek spojrzał na ich mieszkanie, stawał osłupiały wobec jego rozmiarów i przepychu.

Gorliwi obywatele wykopali potem olbrzymie kanały, które dały miastu dostęp do morza, oraz port, co całkowicie przeczy twierdzeniu, że „nie istniały wtedy jeszcze wcale okręty ani żegluga”. Do budowy wszystkich tych cudów wyspiarze używali czerwonego, białego i czarnego kamienia. Pokryli następnie zewnętrzne mury obronne mosiądzem, a kolejne cyną, zaś mur wewnętrznej cytadeli „orichalkiem lśniącym jak ogień” – najprawdopodobniej miedzią.

Platon mówi dalej, że przez wiele pokoleń cywilizacja Atlantydy była rozwinięta moralnie, duchowo i technologicznie, a jej kultura artystyczna – zdumiewająca. Jej obywatele byli jednak również potężnymi wojownikami: „Na tej wyspie Atlantydzie kwitła wielka i zdumiewająca potęga królewska, której podlegała cała wyspa oraz wiele innych wysp i części kontynentu. Ponadto z tej strony cieśniny królestwo to obejmowało okolice Libii aż do Egiptu i Europę aż po Tyrrenię [Włochy]”. Ta wojskowa sprawność każe nam od razu zastanowić się, czy mieszkańcy Atlantydy nie byli tymi strasznymi Ludami Morza wspominanymi w licznych starożytnych tekstach egipskich. Terroryzowali oni – a w większości wersji podbijali – wiele państw na południowych i wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. Nawet sam Egipt, ówczesne supermocarstwo, musiał się pogodzić z tymi dawnymi śródziemnomorskimi wikingami. Napis na steli (ustawionej pionowo płycie kamiennej) w świątynnym mieście Tanis głosi: „Przybyli z morza na swych okrętach i nikt nie mógł się im przeciwstawić”.

Atlantyda była zatem przez całe stulecia czymś w rodzaju Utopii, a jej lud przypominał niemal bogów swoją mądrością, potęgą wojskową i cnotą

moralną: „Przez liczne pokolenia i jak jeszcze była w nich dostatecznie silna natura Boga […] gardzili wszystkim z wyjątkiem cnoty, nie przykładali wielkiej wagi do posiadanych dóbr, raczej uważali za ciężar obfitość złota i innych posiadanych rzeczy. Nie upajali się pychą z powodu swoich bogactw, nie tracili panowania nad samymi sobą…”. Potem jednak doszło do straszliwego upadku przypominającego biblijne wygnanie z ogrodu Edenu: „Gdy jednak zanikł w nich boski pierwiastek dlatego, iż w wielkiej mierze często zastępował go element śmiertelny […] nie potrafili już znosić swego obecnego powodzenia i zaczęli zachowywać się haniebnie”.

Widząc, że mieszkańcy Atlantydy stali się aroganccy, chciwi i niemoralni, bogowie ukarali ich, zsyłając „trzęsienia ziemi oraz powodzie”. Koniec nadszedł „w ciągu jednego dnia i jednej strasznej nocy”, kiedy to „cała […] armia w jednym momencie zapadła się naraz pod ziemię. Podobnie znikła także wyspa Atlantyda, pochłonięta przez morze. Dla tej właśnie przyczyny to morze jest tam jeszcze do dzisiejszego dnia nieżeglowne i nawet niezbadane wskutek przeszkód, jakie stawia dno pełne szlamu i płycizn – szlamu zostawionego przez pochłoniętą wyspę”.

Mamy zatem dość szczegółowy, choć boleśnie niepełny opis Atlantydy, jej ludu i dziejów. Dlaczego jednak mielibyśmy uznać go za prawdziwy? Każda taka próba jest trudna ze względu na frustrujące braki szczegółów w tej opowieści. Gdzie dokładnie znajdowała się ta zatopiona cywilizacja? Czy był to Doggerland, zanurzone w morzu ziemie przy południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii, które łączyły ongiś Brytanię z Europą kontynentalną? Nie ulega wątpliwości, że podniesienie się poziomu morza wraz z tsunami wywołanym około 6200 roku p.n.e. przez norweskie „osuwisko Storegga” spowodowały zalanie tych obszarów.

I one również mieszczą się „poza Kolumnami Heraklesa”, a na dnie stosunkowo płytkich wód kanału La Manche nie brakuje błotnych mielizn.

A może Atlantyda była miejscem, gdzie rozkwitała „idealna” cywilizacja Majów, zanim dosięgło ją przeznaczenie? Była to ulubiona teoria amerykańskiego kongresmana Ignatiusa L. Donnelly’ego (1831–1901). Jego wydana w 1882 roku książka *Atlantis, The Antediluvian World* bardziej niż cokolwiek innego przyczyniła się do rozpalenia współczesnego zainteresowania tym tematem. Podobnie jak później wielu innych Donnelly widział w Atlantydzie „cywilizację prekursorską”. Artystyczne i inżynierskie umiejętności jej mieszkańców dostarczyły wzorca dawnym społeczeństwom obu Ameryk, Afryki i Europy, w szczególności zaś wpłynęły na powstanie starożytnego Egiptu. Cała jednak mądrość i sprawność technologiczna, jakie dała światu Atlantyda, przepadły w biblijnym potopie. Donnelly miał również do upieczenia własną pieczeń: uważał, że Atlantyda była pierwszą ojczyzną rudowłosych, niebieskookich „Aryjczyków”, których potomkowie wciąż zamieszkują Irlandię.

Tę głęboko błędną ideę podjęli i rozwinęli naziści. W latach poprzedzających drugą wojnę światową nazistowski Reichsführer Heinrich Himmler postanowił udowodnić, że wszyscy „prawdziwi” Niemcy są potomkami starożytnej ariańskiej rasy panów, a zatem górują nad innymi rasami. Aby poprzeć to niebezpieczne wyobrażenie, naziści wykorzystywali między innymi fragmenty pism rzymskiego historyka Tacyta. Wielkim problemem dla Himmlera było to, że nikt nie odnalazł nigdy żadnych konkretnych dowodów rzeczywistego istnienia czy lokalizacji tej domniemanej starożytnej cywilizacji. W tej sytuacji opowieść o Atlantydzie okazała się prawdziwym darem niebios. Jest to mit, który dla wszystkich może oznaczać wszystko, a na dodatek uparcie nie daje się dookreślić. Wysyłane przez Himmlera zespoły badawcze SS obejmujące również

archeologów i innych naukowców, którzy powinni byli być znacznie lepiej zorientowani, podróżowały do Szwecji, Szkocji, Islandii, Francji i Tybetu. Nie znalazły absolutnie niczego, co wspierałoby teorię o aryjskiej czy niemieckiej wyższości rasowej.

Teoria bardziej współczesna, inspirowana dziwnymi, starożytnymi rytami skalnymi typu *cup and ring* odnalezionymi w Laxe das Rodas w parku narodowym Doñana, lokalizuje Atlantydę w południowo-zachodniej Hiszpanii. Debatę podsycają zdjęcia satelitarne tego obszaru, zdające się pokazywać ślady starożytnego koncentrycznego osiedla w pobliżu plaży oraz innych, od dawna zrujnowanych prostokątnych budynków. Eksperci wciąż są podzieleni w kwestii tego, czy ślady owe rzeczywiście poświadczają istnienie Platońskiego koncentrycznego miasta-państwa, ale i ta część Hiszpanii leży daleko „za Kolumnami Heraklesa”.

Istnieje wiele innych domniemanych lokalizacji zatopionego lądu. Są to w większości wyspy na Morzu Śródziemnym lub w jego pobliżu, wśród nich Sardynia, Kreta, Santoryn, Sycylia, Cypr i Malta. Wymienia się również miasta czy państwa położone na stałym lądzie, takie jak Troja, Tartessos czy Tantalus w tureckiej prowincji Manisa, a także Izrael i Synaj. Jako kandydaci pojawiają się też Morze Czarne, Morze Azowskie, Droga Bimini u wybrzeży Bahamów oraz obszary Oceanu Południowego przyległe do brzegów wschodniej Afryki Południowej.

Jeśli mamy spekulować na temat położenia mitycznego zagubionego lądu, powinniśmy pamiętać o czynniku geologicznym. Wielu naukowców uważa, że w miarę zapoczątkowanego około 19 tysięcy lat temu topnienia olbrzymich lodowych połaci ostatniego zlodowacenia poziom mórz podniósł się w sumie o ponad 120 metrów. Proces ten zakończył się mniej więcej sześć tysięcy lat temu, co oznacza, że przeciętne tempo podnoszenia się poziomu morza w tym długim okresie powolnego ocieplania się klimatu

wynosiło z grubsza metr na stulecie. W rozmaitych miejscach dochodziło do nawet większych okresowych „skoków” poziomu morza, co zaobserwowaliśmy na przykład w kanale La Manche. Cywilizacja, która trwała kilka tysięcy lat, zanim została zatopiona i pogrzebana głęboko w morzu, jest wobec tego całkowicie możliwa.

Tylko nieliczni naukowcy uważają, że Atlantyda w ogóle istniała, choć amerykański historyk prof. Charles Hapgood wykorzystał jej historię, by posunąć naprzód myślenie o tektonice płyt. W swojej wydanej w 1970 roku książce *The Path of the Pole* prezentuje on koncepcję, zgodnie z którą „zewnętrzna skorupa Ziemi od czasu do czasu zmienia się, przesuwając niektóre kontynenty bliżej biegunów, a inne dalej od nich. Książka ta przedstawia dowody, że ostatnie przesunięcie skorupy ziemskiej [litosfery] nastąpiło niedawno, pod koniec ostatniego zlodowacenia, oraz stało się przyczyną ocieplenia klimatu”. Jeśli, jak ujmuje to Hapgood, skorupa ziemska „ślizgała się jak skórka pomarańczowa wokół cząstek pomarańczy”, to całkiem możliwe, że w tym zamieszaniu został pochłonięty otoczony wodą starożytny kontynent. Co lepsze, przywoływane przez niego daty odpowiadają z grubsza rokowi 9000 p.n.e., o którym mówi Platon.

W wydanej w 1966 roku książce *Maps of Ancient Sea Kings* Hapgood twierdzi, że starożytne mapy – w tym przede wszystkim pochodząca z 1513 roku otomańska mapa Piriego Reisa – zawierają konkretne dowody na istnienie „zaawansowanej światowej cywilizacji na wiele tysięcy lat przed starożytnym Egiptem”. Wszystko to jest niesamowicie ciekawe, ale na nieszczęście Hapgooda na scenę wkroczyła nowoczesna geologia, dyskredytując jego teorie.

Co właściwie na temat Atlantydy ma nam do powiedzenia nauka o przeszłości? Pewnego upalnego dnia w 1967 roku grecki archeolog prof.

Spirydon Marinatos doświadczył przebłysku intuicji. Marinatos, który wcześniej uczestniczył w badaniach tak słynnych stanowisk, jak Maraton i Termopile, prowadził wykopaliska na terenie willi w Amnisos, nieco na wschód od Heraklionu, kreteńskiej stolicy. Spojrzał w dół. To, co miał w palcach, to nie była ziemia. Co właściwie zeskrobywał przez wszystkie te dni i tygodnie? Aż dotąd większość archeologów uważała, że kreteńskie pałace epoki brązu zostały zniszczone przez trzęsienie ziemi. A jednak całe wnętrze willi w Amnisos było wypełnione pumeksem wulkanicznym. Czy miało to znaczyć, że Kreta podobnie jak Pompeje doświadczyła skutków wybuchu wulkanu?

A jeśli tak, to w jaki sposób? Na Krecie nie ma wulkanu. Gdzie znajdował się najbliższy? Marinatos od lat pielęgnował teorię, zgodnie z którą na pobliskiej wyspie Santoryn powinna się znajdować jakaś starożytna osada. Nikt nigdy nie odnalazł żadnego jej śladu, lecz wyspa w kształcie półksiężyca rzeczywiście przedstawiała sobą uśpiony wulkan. Dowody geologiczne świadczyły, że około roku 1625 p.n.e. wybuchł on, niszcząc doszczętnie tak zwaną wówczas Terę. Popiół i dym, które w wyniku eksplozji uniosły się w atmosferę, były tak gęste, że ówcześni skrybowie nawet w odległych krajach – Egipcie czy Chinach, odnotowali zmiany pogody.

Marinatos poświęcił dziesięć lat na prowadzenie wykopalisk na Santorynie. Wytrwałość się opłaca, toteż natrafił wreszcie na archeologiczne złoto. Zakopane głęboko pod grubą warstwą rumowiska wulkanicznego leży tam starożytne minojskie miasto Akrotiri. Wraz z olśniewającymi malowidłami ściennymi przedstawiającymi codzienne życie ludzi zamieszkujących je do chwili, gdy katastrofalna eksplozja pogrzebała wszystko i cudownie ocaliła, Akrotiri ukazuje nam cywilizację pozostającą w zgodzie z sobą i swymi sąsiadami. Wiele wspaniałych

obrazów przedstawia Utopię w rodzaju opisywanej przez Platona, w której ludzie skupiają się głównie na tym, by zażywać radości.

Gdyby Atlantyda miała rzeczywiście istnieć, Santoryn jest pierwszorzędnym kandydatem na jej lokalizację. Wyspa była okrągła (przybrała kształt półksiężyca dopiero w wyniku wybuchu), a odsłonięte domy, przedstawione na malowidłach ściennych jako ustawione porządnie wzdłuż starożytnego zbocza, są zbudowane z czerwonego, białego i czarnego miejscowego kamienia – dokładnie jak w opisie Platona. Był on oczywiście mityczny, lecz mógł stanowić echo pamięci ludowej. Z chwilą erupcji w ludność sąsiedniej minojskiej Krety uderzyło jedno z największych tsunami, jakie kiedykolwiek widziano. Sądzi się, że przez wyspę przewaliła się fala sięgająca 30 metrów, niszcząc w pędzie przybrzeżne osiedla zamieszkane przez większość jej ludności.

Wyprodukowany w 2016 roku przez National Geographic telewizyjny film dokumentalny zatytułowany *Odnaleźć Atlantydę* zmierzał do zbadania nowych teorii na temat lokalizacji „prawdziwej” Atlantydy. Rok później w Cieśninie Gibraltarskiej osobny zespół dokumentalistów współpracujący z National Geographic i kierowany przez filmowca Jamesa Camerona odnalazł skupisko liczących cztery tysiące lat kamiennych kotwic.

Czy Atlantyda była dla Platona jedynie narzędziem czysto alegorycznej opowieści o niebezpieczeństwach hybris i zepsucia społecznego, odnoszącej się ściśle do Aten jego czasów? Czy znajdziemy kiedykolwiek jakieś solidne naukowe dowody świadczące o jej rzeczywistym istnieniu? Jedno jest pewne: myśl o starożytnej cywilizacji zagubionej pod falami jest tak olśniewająca i przejmująca, że poszukiwanie Atlantydy będzie zapewne trwało tak długo, jak długo przetrwamy my sami.

* Wszystkie cytaty z *Timajosa* i *Kritiasa* oraz nazwy własne za przekładem Pawła Siwka: Platon, *Timajos. Kritias*, Warszawa 1986.

TRÓJKĄT BERMUDZKI

Dziesięciolecie 1940–1950 było wybitnie pechowe dla samolotów latających przez Trójkąt Bermudzki. Nazywa się tak często liczący blisko 1,5 miliona kilometrów kwadratowych obszar ograniczony liniami łączącymi Miami, Bermudy i Puerto Rico. Ta olbrzymia połać mórz i przestrzeni powietrznej pomiędzy nimi, zwana też niekiedy diabelskim trójkątem, zyskała reputację cmentarzyska statków, samolotów i ludzi. Autorzy wielu artykułów i książek utrzymują, że te liczne zaginięcia mają jakąś paranormalną przyczynę, sugerując wszystko – od działalności kosmitów przez morskie potwory po najazdy mieszkańców zagubionego miasta Atlantydy, którzy wynurzają się i porywają ludzi, aby zaczerpnąć trochę świeżej krwi.

Wydaje się, że współczesne rozemocjonowanie Trójkątem Bermudzkim osiągnęło masę krytyczną w lutym 1964 roku, kiedy to dziennikarz Vincent H. Gaddis opublikował w piśmie „Argosy” artykuł z nagłówkiem *Zabójczy Trójkąt Bermudzki*. Powołując się na wcześniejsze spekulacje prasowe reportera Associated Press Edwarda Van Winkle Jonesa oraz George’a X. Sanda, Gaddis twierdził, że liczbę statków i samolotów, które w niewyjaśniony sposób znikły na tym obszarze, można wyjaśnić jedynie, jak to nazwał, „przekleństwem trójkąta” czy „tajemniczą zmorą nawiedzającą Atlantyk przy naszych południowo-wschodnich wybrzeżach”.

Pismo „Time” w opublikowanym w 1991 roku artykule donosiło, że w ciągu minionych czterdziestu pięciu lat doszło do ponad stu niewyjaśnionych zaginięć samolotów i statków. Choć Gaddis mógł

podsycić tę współczesną fascynację trójkątem, to jednak budził on lęk już od bardzo dawna: we wrześniu 1492 roku Krzysztof Kolumb zanotował, że gdy przemierzał ten obszar, widział „dziwne światła na niebie”, a igła kompasu, zamiast stale wskazywać magnetyczną północ, szaleńczo się kręciła.

Wśród wielu niewytłumaczonych zaginięć w Trójkącie Bermudzkim najbardziej gorączkowe spekulacje wywołał przypadek lotu 19, na długo przykuwając uwagę mediów. 5 grudnia 1945 roku tuż po godzinie czternastej pięć bombowców torpedowych amerykańskiej marynarki wojennej Grumman TBM Avenger wystartowało z wojskowego lotniska w Fort Lauderdale na Florydzie do rutynowego lotu w ramach szkoleń nawigacyjnych. Pogoda i widoczność były dobre. W ćwiczeniach uczestniczyło łącznie czternastu ludzi, a dowodził nimi instruktor płk Charles Carroll Taylor, weteran drugiej wojny światowej mający na swoim koncie przeszło 2500 godzin lotów i wiele misji bojowych na Pacyfiku. Wszyscy piloci mieli pełne kwalifikacje, każdy z nich zaliczył 300–450 godzin lotów, z czego przynajmniej 55 godzin pilotowania TBM Avenger.

Pogoda w Fort Lauderdale była piękna i słoneczna, a prognozy dla obszaru ćwiczeń określano jako „korzystne”. Przewidywano przelotne deszcze z prędkością wiatru przy powierzchni w granicach 40–60 kilometrów na godzinę; pułap chmur w obszarach opadów miał się znajdować na wysokości 760 metrów, lecz poza tym niebo powinno być czyste. Stan morza określano jako umiarkowany do wzburzonego. Była zima, a warunki te nie były pod żadnym względem skrajne ani niezwykłe, toteż nic nie przemawiało za zaniechaniem ćwiczeń nawigacyjnych.

Samolot TBM, z powodu swej wytrzymałości zwany „żelaznym ptakiem”, był – i jest, gdyż kilka egzemplarzy wciąż jeszcze lata – dużą,

solidną, trzymiejscową maszyną zaprojektowaną tak, by wytrzymać nieprzyjacielski ogień i forsowne lądowania na lotniskowcu. Piloci czasów drugiej wojny światowej mawiali, że lata niczym ciężarówka, niekoniecznie jednak miała to być uwaga krytyczna.

W locie 19 uczestniczyły cztery samoloty TBM-1C (BuNo 45714 – FT3, BuNo 46094 – FT36, BuNo 46325 – FT81 i BuNo 73209 – FT117) oraz jeden samolot TBM-3 (BuNo 23307 – FT28). „BuNo” oznacza numer seryjny samolotu, a „FT” – numer namalowany na ogonie. Wszystkie maszyny w chwili startu miały pełny zapas paliwa. We wszystkich jednak usunięto z jakiegoś powodu zegar kokpitowy. Ponieważ celem tych konkretnych ćwiczeń miało być między innymi szkolenie w zakresie zasad nawigacji zliczeniowej, brak zegarów jest dziwny – być może jednak nie chodziło o nic bardziej złowieszczego niż rutynowa konserwacja. Ponieważ wszyscy członkowie załóg mieli oczywiście zegarki na rękę, nie wydawało się, by brak zegarów kokpitowych miał stanowić jakiś problem.

Lot 19 miał tego dnia do wykonania ćwiczenie pod nazwą „Problem nawigacyjny nr 1”: polecieć 104 kilometry niemal dokładnie na wschód; po drodze zrzucić bomby na ławicę Hen and Chickens, skalisty szelf w pobliżu Bimini, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy archipelagiem Florida Keys a Bahamami; utrzymać kierunek na wschód przez dalsze 124 kilometry; zawrócić na północ, utrzymując kurs 346 stopni przez następnych 135 kilometrów; wreszcie zawrócić na południowy zachód, przyjmując kurs 241 stopni, i dolecieć do punktu wyjścia. Misja ta na pierwszy rzut oka była prosta, by nie powiedzieć łatwa – lot po zwykłym trójkącie nie powinien sprawić większego problemu żadnemu ze szkolonych nawigatorów. Nawet gdyby któryś ze świeżo upieczonych lotników zgubił drogę, bardzo doświadczony instruktor lotu przejąłby po prostu kierownictwo i zawrócił go na właściwy kurs. Wszystkie załogi

poinstruowano, że mają lecieć w szyku dość zwartym, by przez cały czas utrzymywać wzajemny kontakt wzrokowy.

Około godziny 13.15, na krótko przed porą planowanego startu, zdarzyło się coś dziwnego: płk Taylor zgłosił się do oficera dyżurnego szkoleń lotniczych i poprosił o wyłączenie z misji. Nie podał żadnego powodu, powiedział jedynie, że „nie chce brać tego lotu”. Oficer dyżurny odpowiedział, że nie znajdzie nikogo na zastępstwo, zwłaszcza w tak krótkim czasie.

Każdy pilot miał indywidualnie prowadzić nawigację zliczeniową, opierając się na wskazaniach kompasu, prędkości lotu oraz czasie przelotu na każdym z trzech odcinków trasy. Od każdego z nich można było zażądać, aby prowadził lot eskadry na którymś odcinku lub jego części. Płk Taylor przyjął więc na początek ostatnią pozycję, aby śledzić przebieg ćwiczenia, podczas gdy na czoło wyszedł jeden z kursantów.

Aby kontrolować prawidłowość nawigacji oraz pomóc pilotom utrzymać kurs i bezpiecznie wrócić do bazy, dwa główne punkty trasy – w których samoloty miały wykonać zwrot – ustalono nad lądem i z lądem w zasięgu wzroku (oczywiście jeśli widoczność pozwoli). Lot na całej trasie miał się odbywać na stosunkowo niewielkiej wysokości, żeby wszyscy niezawodnie odnaleźli te punkty.

Pierwszy punkt – na zakończenie wyjściowego, skierowanego na wschód odcinka planowanego lotu z Fort Lauderdale – leżał nad północno-zachodnim cyplem wyspy Great Stirrup Cay. Tutaj eskadra, ktokolwiek by ją prowadził, miała się skierować na północ, przyjmując kurs 346 stopni, i przelecieć następnych 135 kilometrów do drugiego punktu. Ten drugi odcinek doprowadzał samoloty wprost nad wschodnią ćwiartkę wyspy Wielka Bahama, która jest zbyt duża, by ją ominąć – chyba że rzeczywiście nie widzi się całkiem nic. Mimo że pogoda zaczynała się pogarszać, jeszcze

nie powinno było być problemów z widocznością. Po tym drugim wzrokowym skontrolowaniu pozycji w odniesieniu do lądu lot miał być kontynuowany jeszcze przez jakieś 28 kilometrów – do osiągnięcia ostatniego punktu. Tu również w zasięgu wzroku znajdowała się duża wyspa, mianowicie Great Sale Cay. Dostrzegłszy ten ostatni lądowy punkt odniesienia i zweryfikowawszy w ten sposób położenie, uczestnicy szkoleń mieli wykonać ostatni zwrot na 241 stopni i skierować się prosto do bazy.

Eskadrze z pewnością udało się dotrzeć do ławicy Hen and Chickens, ponieważ o piętnastej odebrano wiadomość radiową od jednego z pilotów, który prosił o zgodę na zrzucenie ostatniej bomby. Taylor odpowiedział mu: „Śmiało, zrzucaj”.

Czterdzieści minut później, gdy eskadra powinna była znaleźć się nad Great Sale Cay lub w pobliżu, starszy instruktor nawigacyjny marynarki wojennej w Ford Lauderdale płk Robert F. Cox, który miał właśnie poprowadzić inną grupę szkoleniową, by przećwiczyła ten sam „Problem nawigacyjny nr 1”, podsłuchał niepokojącą wiadomość. Jeden z uczestników lotu 19 nadawał na 4805 (kiloherców – zwykła częstotliwość dla lotów szkoleniowych) do „Powersa” (chodziło o kpt. E.J. Powersa z amerykańskiego korpusu piechoty morskiej). Nieznany nadawca wielokrotnie pytał Powersa o wskazania jego kompasu. Po długiej zwłoce Powers odpowiedział: „Nie wiem, gdzie jesteśmy. Musieliśmy się zgubić po tym ostatnim zwrocie”.

Usłyszawszy to, Cox poinformował ośrodek kontroli w Fort Lauderdale, że zgubił się jakiś statek lub samolot – nie wiedział jaki. Nadał następnie wiadomość do Powersa: „Tu FT74 (sygnał wywoławczy Coxa). Samolot lub statek o nazwie »Powers«, zidentyfikuj się, by ktoś mógł ci pomóc”. Odpowiedzi nie było. Potem odezwał się ten sam głos, który Cox słyszał już wcześniej, tym razem identyfikując się jednoznacznie jako FT28

– płk Taylor. Cox nadał: „FT28, tu FT74, jaki masz problem?”. Taylor, który prowadził wtedy eskadrę, odpowiedział: „Oba moje kompasy wysiadły, staram się znaleźć Fort Lauderdale na Florydzie. Jestem nad lądem, ale pogoda się popsuła. Na pewno jestem nad Keys, ale nie wiem, jak daleko na południe i jak dotrzeć do Fort Lauderdale”. Gdyby Taylor i reszta eskadry byli rzeczywiście nad Florida Keys, to znajdowaliby się w odległości 240–280 kilometrów od miejsca, w którym być powinni – i mieliby poważne kłopoty.

Ośrodek kontroli w Fort Lauderdale usłyszał niektóre rozmowy pomiędzy Coxem, Taylorem i innymi pilotami lotu 19. Zakłócenia powodowane przez kubańskie rozgłośnie radiowe, szumy i ogólnie złe warunki atmosferyczne sprawiały, że odbiór radiowy był stale przerywany. O pogodzie w regionie Bahamów informowano już, że się pogarsza, chmury zalegają nisko i widoczność jest słaba.

Standardowa procedura operacyjna dla samolotu zagubionego na Atlantyku u wybrzeży Stanów Zjednoczonych nakazywała zwrot na zachód, przyjęcie kierunku 270 stopni i podążanie w stronę lądu, kierując się słońcem, jeśli da się je zobaczyć, a w przeciwnym razie opierając się na wskazaniach kompasu, nawigacji zliczeniowej, zdrowym rozsądku i własnym doświadczeniu. Zamiast jednak zawrócić na zachód, Taylor, przekonany najwidoczniej, że jest gdzieś nad Zatoką Meksykańską, kazał eskadrze przyjąć kurs na północny wschód. Ten zaś prowadził ją w dal, nad północny Atlantyk.

Traktując słowa Taylora poważnie i w przekonaniu, że eskadra znajduje się nad Florida Keys, a nie nad którąś z wysepek Cays na północ od Grand Sale, Cox poradził mu: „Trzymaj słońce na lewym skrzydle i leć na północ aż do Fort Lauderdale”. Dalsze wypadki miały pokazać, że rada ta, nawet jeśli udzielona w najlepszej wierze, była fatalna.

O 16.26 czwarta Jednostka Ratownictwa Powietrzno-Morskiego (ASRTU-4) odebrała w swojej bazie w Fort Everglades nową wiadomość od płk. Taylora: „Jestem na 3500 stóp. Włączyłem ratunkowy IFF. Czy ktoś w pobliżu ma ekran radarowy, żeby nas wypatrzyć?”. Ludzie z ASRTU-4 skontaktowali się z Fort Lauderdale, stamtąd zaś powiadomiono bazę lotnictwa marynarki wojennej w Miami i dwadzieścia innych, by próbowały zlokalizować zagubioną eskadrę. Ponieważ samolot Taylora, podobnie jak pozostałe w eskadrze, był wyposażony w radiowy transponder IFF, czyli system identyfikacji swój–obcy, zadanie to powinno być dość proste. Żadna jednak baza ani inna jednostka nie potrafiła ustalić dokładnego położenia pięciu samolotów.

O 16.45 Taylor przekazał przez radio: „Trzymamy kurs 030 stopni przez 45 minut, potem polecimy na północ upewnić się, że nie jesteśmy nad Zatoką Meksykańską”. W rzeczywistości nie był nawet w pobliżu Zatoki, a kierunek północno-północno-wschodni po prostu wyprowadzał eskadrę coraz dalej w głąb Atlantyku. O 17.03 Taylor nadał: „Zmiana kursu na 090 stopni na 10 minut”. Zamiast na Fort Lauderdale eskadra skierowała się w ten sposób w dokładnie przeciwną stronę. Jeżeli, jak często przypuszczano, Taylor omyłkowo wziął którąś z wysepek Cays na Bahamach za Florida Keys, to prowadził wszystkich na manowce. Przynajmniej jeden z pozostałych pilotów, domyślając się pomyłki, powiedział przez radio: „Cholera, gdybyśmy po prostu lecieli na zachód, bylibyśmy w domu, cholera”. Miał rację.

Po upływie jeszcze kilku pełnych niepokoju minut inni piloci przekonali Taylora do zwrotu na zachód. Kiedy jednak wciąż nie dostrzegali lądu i zaczęły zapadać ciemności, krótko po godzinie osiemnastej Taylor, wciąż wyraźnie przekonany, że znajdują się gdzieś nad Zatoką Meksykańską,

powrócił do swojej pierwotnej decyzji: „Poszliśmy za mało na wschód. Możemy równie dobrze zawrócić i znów polecieć na wschód”.

W tym czasie systemy triangulacyjne na wybrzeżu namierzyły przybliżoną, lecz rzeczywistą pozycję eskadry: znajdowała się na północ od Bahamów i na wschód od Florydy, jak się tego spodziewali wówczas niemal wszyscy prócz samego płk. Taylora. W wyniku jakiegoś wielkiego grzechu operacyjnego przeoczenia personel żadnego z zespołów lądowych, statków i samolotów, które starały się zlokalizować eskadrę lotu 19, nie wpadł na myśl, żeby przekazywać tę informację „na ślepo” – w sposób ciągły na wszystkich dostępnych kanałach. W rezultacie ani Taylor, ani żaden z jego pilotów nie dowiedzieli się nigdy, gdzie się właściwie znajdują.

O 18.20, gdy samolotom zaczęło się wyczerpywać paliwo, odebrano ledwie słyszalny głos Taylora rozkazującego szkolonym pilotom przygotować się do awaryjnego wodowania: „Wszystkie samoloty zbliżyć się do zwartego szyku. Będziemy musieli wodować awaryjnie, chyba że dotrzemy do lądu […] kiedy zapas paliwa w którymś samolocie spadnie poniżej dziesięciu galonów, schodzimy wszyscy razem…”. W tym samym niemal czasie kapitan brytyjskiego tankowca „Viscount Empire”, znajdującego się na północny wschód od Bahamów na trasie do Fort Lauderdale, przekazał ASRTU-4, że na tym obszarze rozszalał się już sztorm, morze jest bardzo wzburzone i wieją huraganowe wiatry.

Taylor i jakiś inny kursant, być może kpt. Powers, na zmianę prowadzili eskadrę, która beznadziejnym zygzakiem leciała tam i z powrotem nad Atlantykiem. Kiedy wyczerpało się paliwo, w ciemnościach grudniowej nocy i przy strasznej pogodzie musieli wodować. Pięć samolotów z wszystkimi czternastoma ludźmi na pokładach znikło bez śladu.

Utrata eskadry uruchomiła szeroko zakrojoną morską i powietrzną akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Jako pierwsze do poszukiwań przystąpiły wodnosamolot PBY Catalina oraz dwie łodzie latające PBM Mariner. Jedna z nich, PBM-5 BuNo 59225, wystartowała w tę zimową noc z bazy lotnictwa marynarki wojennej Banana River (obecnie baza lotnicza Patrick) o 19.27 z trzynastoma osobami na pokładzie.

Kilka minut później BuNo 59225 nadała rutynowy komunikat radiowy o swoim położeniu. Wiadomość ta nie zawierała żadnej wzmianki o problemach z samolotem. O godzinie 21.15 tankowiec SS „Gaines Mills” – który płynął swoją rutynową trasą bez żadnego związku z lotami wojskowymi – poinformował o dostrzeżeniu wielkiego ognistego wybuchu na pozycji 28°59' N 80°25' W. Ku niebu wystrzelił słup ognia, który sięgał do wysokości 30 metrów i płonął przez 10 minut. Uważa się obecnie, że był to widok powietrznej eksplozji BuNo 59225, gdyż dokładnie w tym czasie maszyna przestała odpowiadać na komunikaty radiowe i znikła. SS „Gaines Mills” popłynął całą naprzód ku prawdopodobnemu miejscu katastrofy, lecz pomimo gruntownych poszukiwań nie znaleziono żadnych śladów Marinera i jego załogi.

To drugie zniknięcie, do którego doszło bezpośrednio po utracie lotu 19, pogłębiło tajemnicę Trójkąta Bermudzkiego. Jak to możliwe, że sześć nowoczesnych amerykańskich samolotów wojskowych znikło tego samego dnia bez żadnego wyjaśnienia? Wielu ludzi uważało wówczas i później, że zdarzyło się coś naprawdę dziwnego. Bardziej sceptyczni komentatorzy przekonują, że łódź latająca PBM Mariner była znana z tego, że przy pełnych zbiornikach dochodziło do ulatniania się oparów benzyny; załogi nazywały nawet tę maszynę „latającym zbiornikiem paliwa”. Ponieważ BuNo 59225 znikła z radarów w tym samym czasie, gdy dostrzeżono ognisty wybuch, najprostszym i najlogiczniejszym wyjaśnieniem jest

przyjęcie, że maszyna eksplodowała w locie, potwierdzając swoją całkowicie fatalną reputację.

O świcie następnego dnia marynarka wojenna wysłała na poszukiwanie eskadry lotu 19 i PBM Mariner ponad 300 okrętów i samolotów. Przez pięć dni przeszukiwano ląd i morze, lecz nie znaleziono żadnych ciał, plam paliwa ani wraków.

Incydent ten znalazł przejmujący epilog w maju 1991 roku, kiedy zespół poszukujący zatopionych hiszpańskich galeonów odkrył wraki wszystkich pięciu bombowców torpedowych w odległości zaledwie 16 kilometrów od wybrzeża Ford Lauderdale. Niewiele brakło, by udało im się powrócić do bazy.

W latach 40. ubiegłego wieku zaginęły również dwa samoloty pasażerskie Avro Tudor IV linii British South American Airways. Pierwszy, „Star Tiger” z sygnałem wywoławczym G-AHNP, znikł gdzieś na tym obszarze 30 stycznia 1948 roku wraz z 31 pasażerami i załogą.

Siostrzany samolot „Star Ariel” G-AGRE znikł niecały rok później, 17 stycznia 1949 roku. O ile „Star Tiger” walczył ze strasznymi warunkami pogodowymi i przypuszczalnie został zniesiony przez wiatr z kursu zbyt daleko, by wylądować na ziemi przed wyczerpaniem się paliwa, o tyle „Star Ariel” zaginął przy dobrej pogodzie. W ramach śledztwa przeprowadzonego w sprawie tego wypadku sformułowano hipotezę, że do zniknięcia samolotu mogły się przyczynić pewne charakterystyczne problemy z komunikacją występujące w tym regionie. W konkluzji śledztwa stwierdzono, dodając kolejny punkt do smutnej listy niewyjaśnionych zaginięć w Trójkącie Bermudzkim, że „wobec nieodnalezienia wraku i spowodowanego tym braku dowodów przyczyna wypadku pozostaje nieznana”.

28 grudnia 1948 roku samolot pasażerski Douglas DC-3 Dakota na trasie z San Juan na Puerto Rico do Miami zaginął wraz z 26 pasażerami w odległości 80 kilometrów od portu przeznaczenia, znów w podejrzanym obszarze. Po ostatnim komunikacie potwierdzającym, że samolot zbliża się do lotniska, powtórzył się schemat aż nadto dobrze znany: DC-3 wraz z wszystkimi 32 osobami na pokładzie znikł i nigdy więcej go nie widziano ani nie słyszano. W tym przypadku konkluzja śledztwa przeprowadzonego przez Radę ds. Lotnictwa Cywilnego była następująca: „Dostępne informacje nie są wystarczające, by ustalić przypuszczalną przyczynę tego zaginięcia”.

Innym przykładem wskazywanym niekiedy jako dowód na działanie w Trójkącie Bermudzkim jakichś złowrogich paranormalnych sił jest zaginięcie w marcu 1918 roku statku USS „Cyclops”. Ten bardzo duży frachtowiec z całą załogą liczącą 308 ludzi oraz ładunkiem 11 tysięcy ton rudy manganu znikł gdzieś pomiędzy Barbados a Baltimore. Ze statku nie odebrano żadnego wezwania pomocy, a mimo szeroko zakrojonych poszukiwań nie natrafiono na żaden ślad wraku. Prezydent Woodrow Wilson powiedział w związku z tą katastrofą: „Tylko Bóg i morze wiedzą, co się stało z tym wielkim statkiem”.

Późniejsze, bardzo podobne zaginięcia dwóch siostrzanych statków USS „Cyclops”, mianowicie USS „Proteus” i USS „Nereus”, mogą jednak podsuwać bardziej prozaiczną przyczynę utraty tych masowców: katastrofalną awarię konstrukcji. Wszystkie trzy statki były przeładowane, a pod wpływem rudy manganu, którą stale przewoziły, doszło do skorodowania dwuteowych belek strukturalnych, toteż mogły po prostu nagle i bez ostrzeżenia przełamać się w pół i zatonąć, idąc na dno tak szybko, że nikt na pokładzie nie zdążył nadać wezwania pomocy.

Przykładów statków i samolotów ginących w Trójkącie Bermudzkim jest o wiele więcej, za dużo, by je tu wymienić – potrzebna byłaby do tego osobna książka. Jak jednak widzieliśmy powyżej, kiedy tylko zaczniemy się bliżej przyglądać tym wypadkom, niemal zawsze dostrzeżemy pewną dwuznaczność. Z jednej strony zaginięcia te wydają się tak dziwne i nagłe, że opierają się wszelkiemu racjonalnemu wyjaśnieniu; z drugiej zaś późniejsze i nowocześniejsze badania mogą ujawniać prawdopodobne i dość prozaiczne ich przyczyny.

Nie powstrzymało to powodzi publikacji, w których twierdzi się, że wszystkie te zniknięcia są zjawiskami niemożliwymi do wyjaśnienia przez konwencjonalną naukę. Jedna z bardziej szalonych spośród przedstawianych teorii głosi, że wszyscy ludzie, którzy zaginęli w Trójkącie Bermudzkim (być może nawet wraz ze statkami i samolotami), wpadli w ręce mieszkańców zatopionej Atlantydy, o której Platon wspomniał w roku 360 p.n.e. w swoich dialogach *Timajos* i *Kritias*.

Pisarz Charles Berlitz utrzymywał nawet, że sama Atlantyda była ofiarą Trójkąta Bermudzkiego. Jego wersja zdarzeń jest następująca: kiedy Trójkąt pochłonął Atlantydę, jej mieszkańcy postanowili utrzymywać swoją liczebność, porywając niewinnych ludzi przemierzających ten obszar. Udaje się im to dzięki jakiejś niegodziwej a zaawansowanej technologii, którą sami rozwinęli. W jaki jednak sposób porwanym duszyczkom udaje się pozostawać przy życiu w głębi morza – to nie zostaje gruntownie wyjaśnione.

Jedną z domniemanych lokalizacji Atlantydy jest Droga Bimini, ta sama skalna formacja, na którą samoloty lotu 19 zrzuciły bomby w dniu zaginięcia. Bombardowanie zaginionej cywilizacji przypuszczalnie denerwuje jej członków nie mniej niż obywateli bombardowanej cywilizacji współczesnej. W obu przypadkach należy się liczyć z odwetem.

Niektórzy teoretycy w podejrzanie zgrabnym nawiązaniu do Wielkiej Piramidy w Gizie twierdzą, że mieszkańcy Atlantydy wykorzystują moc „ognistych kryształów” działających w tym samym rejestrze harmonicznym co grobowiec Chufu, by komunikować się poprzez niewidzialną, lecz potężną globalną macierz. Taki pomysł może nieźle rozbawić, jednak nawet w świecie, który ma niekiedy kłopoty z prawdą, nie można go raczej traktować w kategorii czystych faktów.

Inna ze śmielszych teorii głosi, że za wszystkie zaginięcia odpowiedzialni są kosmici porywający niczego niepodejrzewających ludzi podróżujących po Trójkącie Bermudzkim, by przeprowadzać na nich mniej lub bardziej nieprzyjemne eksperymenty. Dlaczego chodzi akurat o Trójkąt Bermudzki, a nie jakiekolwiek inne miejsce na świecie? Jedna z odpowiedzi wskazuje na działanie ściśle tajnego ośrodka Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych we Fresh Creek na archipelagu Andros na Bahamach.

Atlantycki Ośrodek Testów i Ocen Podmorskich, bo tak brzmi oficjalna nazwa tego obiektu, jest podwodnym odpowiednikiem Strefy 51 w Nevadzie. Przeprowadza się w nim specjalne szkolenia operacyjne amerykańskich sił morskich, testuje broń i prowadzi badania nad sonarami. Według pewnej pomysłowej interpretacji zakresu działalności ośrodka we Fresh Creek rząd amerykański potajemnie współpracuje tam z istotami pozaziemskimi. Współpraca ta ma na celu opracowanie tajnej superbroni, która pozwoli Stanom Zjednoczonym i ich kosmicznym sojusznikom osiągnąć dominację globalną i międzyplanetarną. Na potrzeby tych badań porywa się niewinnych pasażerów podróżujących w powietrzu i wodą na obszarze Trójkąta Bermudzkiego, aby w roli królików doświadczalnych posłużyli do dziwacznych i makabrycznych eksperymentów.

Pasażerowie wielkich statków wycieczkowych donosili, że w rejonie Bahamów widywali UFO. Powinniśmy jedynie mimochodem dodać, że na pokładach tych imponujących jednostek są stale dostępne mocne koktajle.

Aby podważyć twierdzenia, że przyczyny zaginięć w Trójkącie Bermudzkim mają charakter nadnaturalny, pozaziemski lub paranormalny, trzeźwo myślący i profesjonalni naukowcy przedstawili kilka bardziej racjonalnych wyjaśnień. Nie najmniej ważny wśród nich jest zwykły ludzki błąd: lotnicy i marynarze są czasami nieprzygotowani i nieodpowiednio wyposażeni jak na warunki, jakie mogą napotkać w regionie słynnym ze zmiennej pogody. Mogą również popełniać katastrofalne błędy nawigacyjne, co być może – chociaż niekoniecznie – zdarzyło się w przypadku lotu 19. Upijają się, wdają się w bijatyki w ośrodkach kontroli i ogólnie zawalają sprawę.

Badania przeprowadzone w 2016 roku przez Norwegów sugerują, że przyczyną znikania samolotów i statków mogły być gigantyczne pęcherze metanu uwalniające się bez ostrzeżenia z ogromnych pokładów gazu uwięzionych pod dnem morskim. Taki pęcherz metanu wynurza się na powierzchnię i pęka niczym balon, wytwarzając kieszeń powietrzną pochłaniającą statki i samoloty z niczego niepodejrzewającymi ludźmi, trochę jak żarłacz ludojad, który jednym kłapnięciem paszczy porywa surfera.

Chodzi ponadto o obszar nieprzewidywalnej i niekiedy bardzo burzliwej pogody. Do jej przerażającego arsenału należą huragany, cyklony i nagłe nawałnice. Częste są też tropikalne burze, podczas których uderzenia piorunów i elektryczne zaburzenia atmosferyczne mogą wywoływać poważne anomalie w działaniu kompasów, zakłócenia komunikacji radiowej i awarie urządzeń. Lokalną specjalnością są też pioruny kuliste, które wyjaśniają być może „dziwne światła”, o jakich pisał

Kolumb w swoim dzienniku; nie zapominajmy również o wspinających się pod niebo i żarłocznych trąbach wodnych, które wyrastają nie wiadomo gdzie i mkną przez morze. Nikt nie chciałby się znaleźć na ich drodze.

A nagłe prądy zstępujące bardzo zimnego powietrza? Od specjalisty do spraw satelitów w Amerykańskim Krajowym Ośrodku Badań nad Huraganami dowiadujemy się, że „w warunkach bardzo niestabilnej pogody gwałtownie opadające z góry zimne powietrze może uderzać o powierzchnię niczym bomba, eksplodując w postaci gigantycznej fali wiatru i wody”. Naukowcy starają się też obecnie ustalić, czy te „bomby powietrzne” mogą być wytwarzane przez tak zwane sześciokątne chmury.

Wszystkie tego rodzaju zjawiska pogodowe mogą oczywiście występować w wielu innych częściach świata, nie tylko w Trójkącie Bermudzkim. I chociaż stwarzają one statkom i samolotom poważne, a niekiedy fatalne w skutkach problemy, londyński ubezpieczyciel morski Lloyd’s nie zalicza z tego powodu Trójkąta Bermudzkiego do najniebezpieczniejszych miejsc na naszej planecie. W 1997 roku rzecznik prasowy tej firmy powiedział: „Straty [na obszarze Trójkąta Bermudzkiego] są dokładnie takie same jak na innych szerokich przestworzach oceanów”, i dodał, że składki ubezpieczeniowe pobierane za przejście przez ten rejon nie są wyższe niż na innych rutynowych trasach morskich. Dla branży ubezpieczeniowej niebezpieczne jest morze samo w sobie i nie ma znaczenia, gdzie zdarzyłoby się nam żeglować.

Z ubezpieczycielem zgadza się amerykańska Straż Ochrony Wybrzeża: „Badając wiele przypadków utraty samolotów i statków na tym obszarze, do jakich doszło w minionych latach, nie stwierdzono niczego, co wskazywałoby na przyczyny inne niż naturalne. Nigdy nie zidentyfikowano żadnych czynników nadzwyczajnych”. Przykładowo siódmy dystrykt Straży donosił, że w 1975 roku u wybrzeży Stanów Zjednoczonych znikło

w niewyjaśniony sposób i bez śladu 21 statków, lecz tylko cztery spośród nich w Trójkącie Bermudzkim. Zważywszy na to, że morza w tym rejonie zaliczają się do najbardziej zatłoczonych na świecie, gdyż co roku przemierza je ponad 150 tysięcy jednostek pływających najróżniejszej wielkości, oraz że co roku odbiera się na tym obszarze ponad 10 tysięcy wezwań o pomoc, Straż Ochrony Wybrzeża uważa, iż zaskakujący może być raczej fakt, że zaginięć w obrębie „diabelskiego trójkąta" nie jest znacznie więcej.

W 1975 roku Lawrence Kusche, naczelny sceptyk Trójkąta Bermudzkiego, pilot i ongiś bibliotekarz w Arizonie, napisał książkę *The Bermuda Triangle Mystery – Solved*. Jej uzupełnieniem stał się wydany w 1980 roku nowy tytuł: *The Disappearance of Flight 19*. Jako skrupulatny badacz Kusche przeczesał setki oficjalnych dokumentów, osobiście przeleciał trasę lotu 19 i przeprowadził bezpośrednie wywiady z głównymi świadkami wydarzeń, badając ponad 50 zgłoszonych zaginięć, do których doszło w tym rejonie. Przedstawione przez niego dowody w znacznym stopniu przyczyniają się do obalenia wyobrażeń, że którekolwiek zaginięcie statku lub samolotu w Trójkącie Bermudzkim jest w jakiejkolwiek mierze tajemnicze.

Jeśli Kusche ma rację, to „tajemnica Trójkąta Bermudzkiego" jest niczym więcej jak wytworem korzystającej z okazji wyobraźni dziennikarskiej. Odkąd historia ta nabrała rozgłosu, napływ sensacyjnych książek i artykułów sprawił, że ludzie zaczęli zauważać – i odnotowywać – zaginięcia na tym obszarze znacznie pilniej niż w innych rejonach świata. Nie wydaje się, by ktoś przeprowadził podobną analizę utraty samolotów, statków i ludzi na jakimś innym obszarze. Ale czy pomimo to w sprawie Trójkąta Bermudzkiego nie pozostał aby jakiś element wątpliwości? Co sądzi o tym czytelnik?

„MARY CELESTE”

„…smutna i milcząca tajemnica morza…”

Oto piękny statek z nowym takielunkiem; jego smukły dziób czysto tnie fale Atlantyku. Płynąca pod pełnymi żaglami brygantyna zakreśla długi, powolny, kręty ślad, szybko nurkując, gdy stacza się na sterburtę, a potem pośpiesznie wspina się na grzbiet kolejnej fali. Ten ruch wprawia w zachwyt małą Sophię Briggs. Troszkę ponaddwuletnia dziewczynka podskakuje na górnym pokładzie, krzyczy z radości, gdy opadający statek na chwilkę wprawia ją w stan nieważkości, a potem wesoło piszczy, gdy pokład znów pędzi w górę i zmusza ją do przykucnięcia. Jej paplanina i wymyślane przez nią zabawy są rozrywką dla załogi.

Jej matka Sarah Briggs, której listy są przepełnione miłością do dziecka i dają nam obraz tego żywego, ujmującego kwiatuszka, pilnie strzeże Sophii. Dziecko jest w najmniej rozważnym wieku. Drewniane nadburcie otaczające górny pokład jest niskie: morskie wody przepływają półtora metra poniżej miejsca, na którym obie stoją. Od czasu do czasu, gdy Atlantyk postanawia wprowadzić do swojego rytmu przypadkowe zakłócenie, „Mary Celeste” ciężko uderza w wodę: wielka fala rozbija się wysoko nad dziobem, eksplodując milionami maleńkich kropelek, które chwytają światło słońca i wybuchają tysiącem tęcz, a potem opadają, obsypując matkę i dziecko kłującym gradem. A jednak obie muszą korzystać ze świeżego powietrza i ruchu: pogoda jest coraz cieplejsza i w kajucie kapitańskiej zaczyna być duszno.

Po dwudziestu dniach podróży z Nowego Jorku statek handlowy zbliża się do Azorów i w dobrym tempie zmierza do Gibraltaru. Ojciec Sophii kapitan Benjamin Spooner Briggs jest zadowolony z postępów: co dzień zapisuje w dzienniku, że wszystko idzie dobrze. 25 listopada 1872 roku dokonuje ostatniego wpisu: „O 8 wschodni cypel w odległości 6 mil SSW”. Ma na myśli wschodni cypel St Mary, najbardziej na wschód i południe wysuniętej wyspy archipelagu Azorów, a ósemka oznacza godzinę ósmą rano.

To ostatnia wiadomość, jaką mamy o Sarze Elizabeth, o tryskającej energią Sophii Matildzie, o kapitanie Briggsie i siedmiu członkach załogi „Mary Celeste”. Statek będzie płynął bez nich. Nigdy nie znajdzie się żaden ślad po tych ludziach ani znak od nich.

Jak mamy przystąpić do wyjaśniania tej tajemnicy? Rankiem we wtorek 5 listopada 1872 roku „Mary Celeste” odcumowała przy pirsie numer 50 nabrzeża East River w Nowym Jorku i postawiła żagle, przyjmując kurs na Genuę przez Gibraltar. Dowodzony przez trzydziestosiedmioletniego kapitana Briggsa statek niósł ładunek czystego alkoholu. Spirytus znajdował się w 1700 zaszpuntowanych baryłkach ułożonych na skos w ładowni w trzech lub czterech warstwach i zabezpieczonych drewnianymi klinami, by nie przesuwały się podczas morskiej podróży.

Pogoda była zła, toteż Briggs postanowił zakotwiczyć u brzegów Staten Island na dwa dni do czasu, aż się poprawi. Tak więc „Mary Celeste” rozpoczęła swoją właściwą transatlantycką podróż dopiero rankiem 7 listopada. Kapitan miał duże doświadczenie jako dowódca morskich statków handlowych i zaliczył już wiele udanych rejsów. Jego żona – a zarazem kuzynka – Sarah towarzyszyła mu już we wcześniejszych podróżach, lecz mała Sophia Matilda była na morzu nowicjuszką.

Siedmioletni syn Briggsów Arthur pozostał w domu rodzinnym w Marion w stanie Massachusetts pod opieką babki ojczystej.

Sądząc po listach, jakie Briggs i Sarah pisali w dniach poprzedzających podróż, wszystko było w zupełnym porządku. Małżonkowie spodziewali się dobrych zysków: Benjamin Briggs wykupił „osiem dwudziestych czwartych" udziałów w statku, a niezależnie od dobrego zarobku na dostawie alkoholu na zlecenie handlującej winem firmy Meissner, Ackerman and Co., „Mary Celeste" miała już zarezerwowany na drogę powrotną do Nowego Jorku przewóz ładunku owoców z Messyny. Pani Briggs, zapalona amatorka muzyki i śpiewu, zadbała przed wypłynięciem, aby w kajucie męża zainstalowano jej cenną fisharmonię.

W skład załogi „Mary Celeste" wchodzili:

Pierwszy oficer: Albert G. Richardson, lat 28, który podczas wojny secesyjnej w latach 1864–1865 odbył zaszczytną służbę w kompanii A piechoty obrony wybrzeża ochotników stanu Maine. Pod rozkazami kpt. Briggsa płynął nie po raz pierwszy;

Drugi oficer: Andrew Gilling, lat 28;

Steward i kuk: Edward William Head, lat 23. Świeżo zaślubiony w chwili rozpoczęcia rejsu był – według kpt. Jamesa H. Winchestera, większościowego właściciela statku – „szanowany przez wszystkich, którzy go znali".

Wszyscy pozostali członkowie załogi byli Niemcami i zaciągnęli się jako marynarze. Byli to:

Volkert Lorenzen, lat 29;

Boz Lorenzen, brat powyższego, lat 25;

Arian Martens, lat 35;

Gottlieb Goodschaad, lat 23.

Wszyscy niemieccy członkowie załogi wywodzili się z solidnych, bogobojnych środowisk i z każdego punktu widzenia sprawiają wrażenie soli ziemi. Ich rodziny – w tym małe dzieci – polegały na przekazach pieniędzy z zarobków, jakie regularnie przysyłali do domów, i byłyby zrozpaczone, gdyby coś się przytrafiło ich żywicielom. Nie ma żadnego zapisu ani innego świadectwa wskazującego, by charakter któregoś z członków załogi nie był nienaganny, a mnóstwo świadczy o tym, że byli jednako godni zaufania.

Osiem dni później, 15 listopada, z nowojorskiego portu wypłynął jeszcze jeden statek, brygantyna „Dei Gratia”. Obie jednostki były bardzo podobne pod względem konstrukcji i wielkości; trzydziestoczteroletni kapitan „Dei Gratia” David Reed Morehouse podobnie jak Benjamin Briggs sprawiał wrażenie pierwszorzędnego żeglarza. Morehouse, urodzony w Sandy Cove w Nowej Szkocji, ruszył na morze w wieku szesnastu lat. Szybko wykazał się wyjątkową sprawnością w nawigacji i sztuce żeglarskiej, toteż w wieku dwudziestu jeden lat po raz pierwszy objął dowództwo statku handlowego.

Tak się zdarzyło, że „Dei Gratia” w pierwszym odcinku rejsu również kierowała się na Gibraltar, wioząc ładunek ropy naftowej. Kapitan żeglował „na rozkazy”, co oznaczało, że firma spedycyjna miała dopiero w Gibraltarze powiadomić Morehouse’a, dokąd ma dostarczyć paliwo. Był to wówczas całkiem zwyczajny sposób postępowania.

Aby dotrzeć do Gibraltaru, oba statki miały minąć Azory, leżące jakieś 4140 kilometrów na wschód od Nowego Jorku, daleko na Oceanie Atlantyckim. Azory są miejscem naprawdę izolowanym: najbliższy ląd, wybrzeże Portugalii, leży 1360 kilometrów na wschód. Wybrzeża Afryki są

odległe o 1510 kilometrów, a kanadyjska Nowa Fundlandia o 1925 kilometrów w kierunku północno-zachodnim. Jakkolwiek spojrzelibyśmy na mapę, Azory jawią się jako archipelag otoczony tysiącami kilometrów kwadratowych pustego, otwartego morza.

Pomimo to kpt. Morehouse dziewiętnastego dnia swojej podróży, we środę 4 grudnia 1872 roku, około godziny pierwszej w południe dostrzegł inny statek.

Odkrycie

Morehouse wyjął lunetę. Im dokładniej przyglądał się obcemu statkowi, tym mniej podobał mu się jego wygląd. Płynący z wiatrem żaglowiec znajdował się w odległości około 4 mil na prawo i na wiatr od dziobu „Dei Gratia”. Fachowe oko Morehouse’a dostrzegło, że z ustawieniem żagli obcego statku jest źle: napięte były jedynie kliwer i przedni sztaksel, podczas gdy dolny fokmarsel luźno łopotał na wietrze. Luźny, łopoczący żagiel to zawsze zły znak – świadczy bądź o nieudolności załogi, bądź o kłopotach. Również część takielunku wyglądała dziwnie. Po wodzie ciągnęły się opadające z burt liny, a statek nie trzymał się kursu – myszkował w prawo i w lewo, jakby przy sterze nie było nikogo, kto utrzymywałby stały kurs. Choć na masztach nie powiewały żadne sygnały niebezpieczeństwa, Morehouse ocenił, że obcy statek może potrzebować pomocy, i rozkazał załodze zmienić kurs w jego kierunku. Kiedy się przybliżyli, zobaczyli na pomalowanej na czarno pawęży wyraźny biały napis: „Mary Celeste”.

„Ahoj, brygantyna »Mary Celeste«! – zawołał Morehouse. – Czy potrzebujecie pomocy?” Na pokładzie nie było widać nikogo ani nikt nie odpowiedział. Co jeszcze dziwniejsze, nikogo nie było u steru: „Mary

Celeste” posuwała się powoli prawym halsem, wydawało się jednak, że żegluje bez żadnego udziału człowieka. Ustawienie żagli i kierunek wiatru oznaczały, że „Mary Celeste” w chwili jej odkrycia kierowała się z grubsza na północny zachód, z powrotem do Stanów Zjednoczonych – a nie na wschód w stronę Gibraltaru.

O ile żagle i olinowanie „Mary Celeste” nie były w należytym ładzie, o tyle nic nie świadczyło, aby bądź one, bądź sam statek zostały poważniej uszkodzone. Było to bardzo niezwykłe, by nie powiedzieć więcej. Na pokładzie „Dei Gratia” zgromadziła się już teraz obok kapitana cała siódemka członków załogi. Wszyscy podobnie jak on byli szczerze zdumieni: dlaczego nikt ze statku nie odpowiada na ich powtarzane wezwania? Dlaczego nikogo nie widać? Gdzie jest załoga?

Morehouse rozkazał trzem ludziom opuścić łódź i powiosłować na „Mary Celeste”, by zbadać sprawę. Pierwszy oficer Oliver Deveau i drugi oficer John Wright wsiedli do szalupy i chwycili wiosła, a marynarz John Johnson usiadł przy sterze. Po krótkiej, choć przyprawiającej o zawrót głowy przejażdżce po stromych falach – wiatr właśnie się wzmógł i fala wciąż wzbierała – Deveau i Wright wspięli się na pokład obcego statku. Johnson pozostał w łodzi przycumowanej przy burcie, na wypadek gdyby tamci dwaj dostrzegli jakieś niebezpieczeństwo i wszyscy musieli szybko uciec. Nie było jeszcze żadnego powodu, by podejrzewać zagrożenie – ale też zupełnie nie było wiadomo, co znajdą na pokładzie.

Wszedłszy na pokład, Deveau przede wszystkim obwołał statek, mając nadzieję, że znajdzie kogoś przy życiu. W drugiej kolejności, jak przystało na dobrego żeglarza, zbadał pompy: zaczynał już podejrzewać, że statek został porzucony. Skoro tak, to kapitan „Mary Celeste” musiał być przekonany, że jednostka tonie.

Nie tonęła. Pierwszy oficer znalazł obie pompy, były w pełni sprawne. Zauważył jednak pewną nieprawidłowość: mechanizm jednej z nich był „wyciągnięty” – czyli usunięty z obudowy – aby można było zanurzyć w niej sondę w formie pręta. Oznaczało to, że ktoś próbował skontrolować poziom wody w ładowni. Deveau znalazł pręt leżący na górnym pokładzie, nie mógł go jednak użyć, gdyż był już mokry. Wskazywało to, że albo niedawno używał go ktoś z załogi statku, albo że zamókł od wody morskiej.

Deveau dołączył teraz do Wrighta i razem zaczęli badać statek. Powoli przechodząc przez ciche korytarze i kajuty, nie zobaczyli ani nie usłyszeli żywej duszy. Deveau, wypatrzywszy w kajucie pierwszego oficera kawał liny z uwiązaną na końcu śrubą, opuścił ją w obudowę pompy. Gdy ją wyciągnął, stwierdził, że w ładowni jest około metra wody. Było to sporo, lecz mając dwie sprawne pompy, nie było się czym martwić: w tamtych czasach wszystkie żaglowce nabierały wody podczas długich morskich podróży. Radzono z tym sobie rutynowo za pomocą pomp.

Kontynuując poszukiwania, Deveau odkrył morską wodę jeszcze w „nadbudowie dziobowej” – szerokiej, niskiej konstrukcji mieszczącej kajuty, a wysuniętej na fordek – oraz między pokładami. Może się wydawać, że była to już sprawa poważniejsza, ale nie: statek nie był zalany wodą, niezdolny do żeglugi ani tonący. Gdyby ktokolwiek pozostał na pokładzie, szybko pozbyłby się tej morskiej wody.

Deveau zauważył, że pokrywy forluku oraz achterluku (nad magazynem rufowym) zostały zdjęte i ułożone obok odpowiednich luków. Umożliwiało to wnikanie do wnętrza statku deszczu i bryzgów słonej wody oraz niewątpliwie wyjaśniało po części obecność wody na statku. Wszystko inne, co wydarzyło się na „Mary Celeste”, nie miało żadnego wyjaśnienia. Naktuz – drewniana szafka mieszcząca kompas statku – był zrzucony

z podstawy i uszkodzony, a sam kompas rozbity tak, że nie dałoby się go naprawić.

Fok i górny fokmarsel zostały najwyraźniej zerwane przez silniejszy wiatr, a dolny fokmarsel „wisiał na czterech rogach”. Główny sztaksel został ściągnięty i pozostawiony w bezładzie na dachu nadbudowy dziobowej. Kliwer i przedni sztaksel wciąż były ustawione na prawy hals, co wyjaśniało, dlaczego statek jakby niezdarnie starał się wrócić do domu – niczym koń, który się zgubił i zawierza się instynktowi. Wszystkie inne żagle były zwinięte i choć z obu burt zwisało parę lin, znakomita większość olinowania, w tym gafelfał i pikfał, pozostawały nietknięte.

W poprzek głównego luku „Mary Celeste” były przytwierdzone przewiązy i odbijacze, co wskazywało, że mogła się tam znajdować szalupa. Jeśli jednak rzeczywiście tam była i jeśli zwodowano ją jako łódź ratunkową, to trzeba by spuścić ją ręcznie przy burcie. Tymczasem na statku nie było żadnych żurawików, czyli małych dźwigów. Sześciu czy siedmiu silnych członków załogi z powodzeniem mogło zwodować niewielką szalupę, ale Deveau i Wright nie mieli możliwości ustalenia, czy rzeczywiście to się stało. Stwierdzili jedynie, że na pokładzie nie ma nikogo. Wyniki inspekcji dogłębnie zdumiały obu oficerów: jako doświadczeni żeglarze oceniali, że „Mary Celeste” jest zdolna do żeglugi. A jednak została porzucona. Dlaczego?

Im bardziej starali się dociec, co mogło się zdarzyć, tym tajemnica stawała się głębsza. Nigdzie nie mogli znaleźć najważniejszych instrumentów nawigacyjnych statku: kapitański chronometr potrzebny do ustalania długości geograficznej, sekstans do pomiaru zarówno długości, jak i szerokości, księga locji, certyfikat okrętu i inne ważne dokumenty – wszystko to znikło z kajuty kapitańskiej. Dziennik okrętowy, w którym odnotowuje się pozycję statku, kurs, prędkość i najważniejsze wydarzenia,

znajdował się w kajucie pierwszego oficera, natomiast tabliczka nawigacyjna służąca do przeprowadzania wstępnych obliczeń, zanim ostateczne dane wprowadzi się do właściwego dziennika okrętowego, leżała na stole. W kajucie kapitana „Mary Celeste” oficerowie odnaleźli elementy garderoby sugerujące, że towarzyszyły mu w podróży kobieta i mała dziewczynka – niemal na pewno najbliższe osoby. Było to odkrycie przejmujące, które czyniło sprawę porzucenia statku jeszcze bardziej niepokojącą.

W kambuzie ani nigdzie indziej na statku nie było przygotowanego jedzenia, lecz Wright i Deveau znaleźli w spiżarni zapasy wystarczające na sześć miesięcy oraz mnóstwo czystej wody pitnej. Nie było żadnego stołu zastawionego jedzeniem i piciem, od którego w pośpiechu by odstąpiono – choć później miał się stać podstawą interesującej opowieści.

Na statku nie było żadnego śladu użycia przemocy, pożaru ani eksplozji w ładowni. Nie wydawało się, by ktoś majstrował przy cennym ładunku alkoholu.

Jakieś pół godziny po wejściu na pokład „Mary Celeste” Deveau i Wright wsiedli do szalupy i wrócili na swój statek. Powiedzieli Morehouse’owi, że ilość wody na opuszczonym statku nie jest tak wielka, by nie dało się jej usunąć, popracowawszy przy pompach, a uszkodzenia żagli, olinowania i sprzętu da się szybko zreperować. Obaj – a byli to bardzo doświadczeni żeglarze – zgodnie oceniali, że statek jest absolutnie zdolny do żeglugi i po prostych naprawach można nim „popłynąć dookoła świata”. Nie potrafili jedynie odpowiedzieć na pytanie, które wciąż powtarzał Morehouse: skoro statek był sprawny, to czemu został porzucony?

Kapitan „Dei Gratia” i jego załoga rozpoczęli następnie długą dyskusję. Cała ósemka wiedziała, że „Mary Celeste” sama w sobie jako nietknięty statek jest warta duże pieniądze z nagrody za uratowane mienie. Do tego dochodził jej płynny ładunek, który również przyniósłby ładną sumę. Gdyby dostarczyli „Mary Celeste” w takim stanie, w jakim ją znaleźli, ubezpieczyciele w pewnością by ich wynagrodzili.

Pierwszy oficer Oliver Deveau zaproponował, że przejmie dowództwo nad porzuconym statkiem i z dwójką członków załogi „Dei Gratia” pożegluje nim do Gibraltaru. Reszta załogi go poparła. Morehouse stanął w ten sposób przed trudną decyzją. Zważywszy na to, że zawsze ktoś musi być przy sterze i stać na wachcie, trzech ludzi żadną miarą nie wystarczało, by całkowicie bezpiecznie pożeglować „Mary Celeste”. Pozostawienie tylko czterech ludzi na pokładzie „Dei Gratia” również łamało wszelkie zasady zdrowego rozsądku i bezpiecznej żeglugi. Był środek zimy, a od Gibraltaru dzieliło ich wciąż 600 mil pełnego morza. Wiatr się nie uspokajał, a morze wciąż było wzburzone. Całe doświadczenie i rozsądek Morehouse’a odwodziły go od przyjęcia propozycji Deveau. Ale była też potencjalna zdobycz: kołysała się spokojnie w odległości paru kabli, czekając, aż przerobi się ją na gotówkę.

Gdyby pozostawili bezradnie dryfujący statek i pożeglowali w swoją stronę, nie zyskaliby nic. Czy mają zaryzykować utratę obu statków w nadziei, że otrzymają nagrodę za uratowanie jednego?

Morehouse podjął wreszcie decyzję. Deveau zabierze matów Charlesa Lunda i Augustusa Andersona, by wraz z nimi pożeglować „Mary Celeste” do Gibraltaru. Wszyscy trzej byli zachwyceni. Od razu przystępując do dzieła, zabrali ze sobą z „Dei Gratia” niewielką łódź, kompas, zegar, barometr i trochę gotowego jedzenia. Ryzyko zmniejszał nieco fakt, że

Deveau miał już okazję dowodzić brygiem, był doskonałym nawigatorem i biegle posługiwał się własnym sekstansem.

Około czwartej po południu 4 grudnia Deveau, Anderson i Lund weszli na pokład porzuconego statku i przystąpili do napraw. Do dziewiątej wieczorem wypompowali większość wody, zawiesili zapasowy trajsel w miejsce brakującego foka, przeprowadzili bieżące naprawy takielunku i postawili pozostałe żagle stosownie do panujących warunków. Mając w pobliżu „Dei Gratia”, „Mary Celeste” znów zwróciła smukły dziób w stronę Gibraltaru i ruszyła w drogę.

Początkowo wszystko szło dobrze: pogoda się poprawiała i oba statki utrzymywały kontakt wzrokowy. Potem, niemal bez ostrzeżenia, w Cieśninie Gibraltarskiej dopadł ich sztorm. Burza rozdzieliła statki. „Dei Gratia” wyszła z niej lepiej i stanęła w porcie wieczorem 12 grudnia. Kapitan Morehouse musiał wytrzymać cały dzień i noc pełen największego niepokoju, kiedy przechadzał się wzdłuż długiego muru portowego wyrastającego gdzieś daleko w cieniach olbrzymiej Skały Gibraltarskiej, oczekując drugiego statku.

Niepotrzebnie się martwił: „Mary Celeste” dotarła do portu wczesnym rankiem w piątek 13 grudnia. Datę tę uważa się za pechową i w tym przypadku taka była: z rozkazu T.J. Vecchia, szeryfa Sądu Wiceadmiralicji, władze portowe zajęły uratowany statek, gdy tylko przycumował przy nabrzeżu. Zważywszy na oczywiste ofiary śmiertelne i dziwnie nienaruszony stan brygantyny, Vecchio nakazał również natychmiastowe przeprowadzenie urzędowego śledztwa.

Niemal wszystko, co wiemy o odkryciu „Mary Celeste”, o stanie jednostki w chwili, gdy została znaleziona, oraz o wszystkim, co dotyczy jej domniemanego porzucenia i uratowania, zostało wzięte z oficjalnych zeznań złożonych w toku tego postępowania przez kapitana Morehouse’a,

pierwszego oficera Deveau i sześciu pozostałych członków załogi „Dei Gratia”. Kłopot z tym, że nie wiemy, czy mówili oni prawdę.

18 grudnia 1872 roku Sąd Admiralicji w Gibraltarze zebrał się, by rozpocząć przesłuchania w sprawie o nagrodę za uratowanie „Mary Celeste” wniesioną przez właścicieli i załogę „Dei Gratia”. Sprawę odnotowano oficjalnie jako: „Królowa reprezentowana przez admiralicję w sprawie o uznanie statku »Mary Celeste« i jego ładunku za porzucone”.

Na scenę wkracza człowiek o dość niezwykłym nazwisku: Federick Solly Flood. Jako rzecznik Królowej od samego początku nie pozostawia wątpliwości, że podejrzewa załogę „Dei Gratia” o przestępstwo. Nie wierzy, aby spotkanie dwóch statków było sprawą przypadku. W zmowie z członkiem lub członkami załogi „Mary Celeste” ludzie z „Dei Gratia” musieli dokonać gwałtownego, ale z góry zaplanowanego przestępstwa. Motyw był oczywisty: pieniądze za odzyskany statek. Co więcej, rozumował Flood, „Mary Celeste” nie mogła bez załogi przebyć jakichś 600 mil od swojej ostatniej pozycji odnotowanej w dzienniku okrętowym. A już z pewnością nie do miejsca, w którym natrafiła na nią „Dei Gratia”. Jego zdaniem niektórzy lub wszyscy ludzie zebrani przed nim w sądzie zrealizowali plan, zgodnie z którym miało wyglądać tak, jakby „Mary Celeste” została porzucona i przypadkowo odzyskana; następnie mieli podzielić się pieniędzmi za uratowanie statku.

Pierwszym świadkiem, jakiego wezwano przed sąd, był Oliver Deveau. Opowiedział historię w zasadzie taką, jak ją wyżej przedstawiliśmy, tyle że znacznie bardziej szczegółowo. Przeskakując od punktu do punktu i nie zawsze trzymając się zadawanych mu pytań, pierwszy oficer nie zrobił nic, by rozwiać podejrzenia Solly’ego Flooda:

Wiatr w ciągu ostatnich czterech dni przez znalezieniem statku był północno-zachodni. Wszędzie były pozostawione męskie ubrania: ich sztormiaki, buty, nawet fajki, jakby odeszli w wielkim pośpiechu. Mówię, że odeszli w pośpiechu, z tego powodu, że marynarz na ogół zabiera takie rzeczy, zwłaszcza fajkę, jeśli się bardzo nie śpieszy…

Stwierdziłem, że zarówno forluk, jak i achterluk są otwarte; w naktuzie dziura, sporo wody pomiędzy pokładami – nadbudowa dziobowa pełna wody aż po zrębnicę. Nadbudowa dziobowa jest na górnym pokładzie. Wszystko w kajucie znalazłem mokre, było w niej sporo wody: zegar był zepsuty przez wodę, świetlik w kajucie był otwarty i uniesiony, kompas w naktuzie był zniszczony.

Zobaczyłem wszystkie rzeczy kapitana pozostawione, mam na myśli jego ubranie, meble itd. – łóżko wyglądało tak, jakby dopiero wstali, łóżko i inne ubrania były mokre. Uznałem, że była kobieta na pokładzie. Znalazłem mapy i książki kapitana, było ich trochę, w kajucie – niektóre w dwóch torbach pod łóżkiem, a jakieś dwie lub trzy luźne mapy na łóżku. Nie znalazłem żadnych map na stole.

Znalazłem dziennik okrętowy w kajucie oficera na jego biurku, tabliczkę nawigacyjną na stole w kajucie. W dzienniku okrętowym znalazłem zapisy aż do 24 listopada, a na tabliczce wpis datowany 25 listopada pokazujący, że osiągnęli wyspę St Mary. Pierwszego dnia nie zauważyłem zapisu na tabliczce, dokonywałem na niej własnych wpisów i w ten sposób niechcący wymazałem tamten zapis, gdy zacząłem używać tabliczki; tak mi się przynajmniej wydaje. Nie znalazłem certyfikatu okrętu ani innych dokumentów dotyczących statku, lecz tylko trochę listów i księgi rachunkowe…

W kajucie oficera nad łóżkiem wisiały dwie mapy pokazujące trasę statku do 24 listopada, jedna pod łóżkiem, a druga, jak powiedziałem, wisząca nad nim. Nie jestem pewien, czy mapa z zaznaczoną trasą statku znajdowała się nad łóżkiem oficera, czy pod nim. Wydawało się, że wszystko było pozostawione w kajucie jakby w pośpiechu, ale wszystko na swoich miejscach. Na łóżku kapitana zauważyłem odciśnięcie po leżącym tam dziecku…

Cały statek sprawiał wrażenie, że jest w dobrej kondycji i prawie nowy. W kajucie było o wiele więcej rzeczy, ale nie potrafię ich wszystkich wymienić – wszystkie były mokre. Świetlik nie był zamknięty, tylko otwarty, luki były otwarte, kajuta była mokra, ale nie było w niej wody […] woda oczywiście wypłynęła z niej […] maszty były dobre, reje w porządku, olinowanie w dużym nieporządku – część olinowania ruchomego zerwana, przepadła – stałe olinowanie było w porządku, górny fokmarsel i fok przepadły, pewnie zerwane z rej przez wiatr. Dolny fokmarsel wisiał na czterech rogach […] powinienem powiedzieć, że statek był zdatny do żeglugi, statek prawie nowy. Kotwice i łańcuchy w porządku. Nie było łodzi ani żurawików przy burcie. Nie wydaje mi się, aby używano tam żurawików. Wyglądało tak, jakby łódź była na pokładzie. Do żurawików rufowych była przymocowana sztaba, tak że nie było tam żadnej łodzi…

Flood był teraz jeszcze bardziej pewien, że w tej sprawie użyto przemocy. Jego przekonanie przerodziło się w obsesję. Wziął Olivera Deveau w ostry krzyżowy ogień pytań, licząc na to, że przyłapie go na kłamstwie. Pierwszego oficera trudno jednak było wzruszyć. Choć Flood nękał go i wypytywał, ile tylko mógł, Deveau relacjonował tę samą, choćby i niezbyt uporządkowaną opowieść. Floodowi udało się jednak – sposobem

przypominającym nieco postępowanie dentysty wyrywającego szczególnie oporny ząb – wyciągnąć pewne dodatkowe przydatne informacje:

> Rozmawialiśmy w naszej podróży z jedną brygantyną idącą do Bostonu, ale nie przechodziliśmy koło żadnej innej jednostki podobnej klasy ani takiej nie widzieliśmy. Dlatego pierwsza okazja, żebyśmy mogli zobaczyć tę jednostkę, była w dniu, w którym ją znaleźliśmy w takim stanie, w jakim była – jako opuszczoną. Nie potrafię powiedzieć, gdzie nasz statek był 24 albo 25 listopada, musiałbym zajrzeć do swojego dziennika okrętowego. Nie wiem, czy byliśmy na północ od tamtej jednostki. Wiem, że byliśmy gdzieś pomiędzy szerokością 40° a 42°. Wiem tylko, że byliśmy na północ od jednostki, bo zobaczyłem jej trasę zaznaczoną na jej mapie.
>
> Nie widzieliśmy wyspy St Mary na żadnym odcinku naszego rejsu. Nie znam szerokości ani długości geograficznej St Mary, musiałbym spojrzeć na mapę. Wcześniej tylko raz płynąłem z Nowego Jorku do Gibraltaru i wtedy nie widziałem St Mary. Nigdy nie byłem w pobliżu St Mary – nigdy jej nie widziałem…
>
> […] Można byłoby zobaczyć, czy nad głównym lukiem były przytwierdzone łodzie, ale na tym statku nie było to odpowiednie miejsce. Nie było widać żadnych przewiązów, dlatego nie mogę przysiąc, że „Mary Celeste” miała w ogóle jakąś łódź, ale były dwa odbijacze tam, gdzie łódź byłaby umocowana…
>
> Myślę, że załoga zaniepokoiła się […] że sondowali pompy i może stwierdzili w tamtym momencie jakąś ilość wody – i myśląc, że statek zatonie, porzucili go.

W tym miejscu zeznania Deveau urzędnik przedstawił dowód C, mapę „Mary Celeste”. Pierwszy oficer powiedział:

> Mapa tutaj pokazana to mapa, jaką znalazłem na pokładzie „Mary Celeste” z zaznaczoną na niej trasą statku. Później używałem jej sam, oznaczając naszą drogę tutaj. Słowa: „»Mary Celeste« porzucona 5 grudnia 1872” są napisane moim pismem […] ta mapa to jest ta, którą znalazłem w kajucie pierwszego oficera. Szliśmy na północ od grupy [Azorów] – „Mary Celeste” szła od południa…
>
> Powinienem powiedzieć, że od punktu zaznaczonego na mapie jako ostatnia pozycja „Mary Celeste” 24 listopada do miejsca, w którym ją znaleźliśmy […], byłoby 500 do 600 mil. Jedyne wyjaśnienie tego porzucenia, jakie mogę podać, jest takie, że doszło do paniki z powodu przekonania, iż jednostka ma więcej wody, niż się później okazało. Nie potrafię się wypowiedzieć co do tego, czy porzucona jednostka mogła przepłynąć dystans do miejsca, w którym ją znaleźliśmy, w danym czasie i z takim ustawieniem żagli. [Chodzi o 11 dni pomiędzy ostatnią pozycją „Mary Celeste” odnotowaną w dzienniku okrętowym a punktem, w którym znalazła ją „Dei Gratia”]. Kiedy ją zobaczyliśmy, szła równo z prędkością półtora do dwóch węzłów z wiatrem w burtę. Początkowo mogła mieć więcej postawionych żagli. Nie szłaby równo z wiatrem z nieuwiązanym sterem…
>
> Beczki z wodą były na klockach. Klocki były przesunięte jakby w wyniku uderzeń silnej fali. Zapasowe beczki były poniżej na odpowiednim miejscu; nie były przewrócone. Gdyby jednostka przewróciła się do góry dnem, byłyby poprzewracane.

Zeznania Johna Wrighta, drugiego oficera „Dei Gratia”, oraz pozostałych członków załogi mniej lub bardziej dokładnie powtarzały to, co powiedział Deveau. Ostatniego świadka sąd przesłuchał 20 grudnia. Nawet jeśli wszystkie zeznania zgadzały się ogólnie i w szczegółach – a być może właśnie dlatego – nie pomogły sędziom wyrobić sobie przekonania, że wiedzą, co właściwie stało się na pokładzie „Mary Celeste”.

Wiadomości o tym dziwnym przypadku zaczęły się rozchodzić, wywołując ogólną fascynację „tajemnicą «Mary Celeste»”. Szalone wymysły przedstawiano jako fakty. Podejrzenia rzucano na wszystkich uczestników zdarzeń z wyjątkiem Sophii Matildy.

23 grudnia Flooda i cały sąd zaskoczyła i rozgniewała wiadomość, że „Dei Gratia” stojąca w porcie od 12 grudnia oddała cumy i pożeglowała z ładunkiem ropy do Genui. Dowodził nią nie kto inny, jak główny świadek w sprawie, Oliver Deveau. Okazało się więc, że port przeznaczenia „Dei Gratia”, dopiero niedawno podany kapitanowi Morehouse’owi, był taki sam jak port przeznaczenia „Mary Celeste”. Ta kolejna zbieżność podsyciła wątpliwości w umyśle Flooda i wielu innych. Morehouse pozostał w Gibraltarze na wypadek – jak sam to ujął – gdyby zażądano od niego zajęcia się jakimiś innymi sprawami mogącymi wpłynąć na decyzję sądu.

Tego samego dnia Flood, wciąż zdecydowany dowieść swojej teorii o przestępstwie, przeprowadził inspekcję „Mary Celeste”. Flood, szeryf Thomas J. Vecchio, rzeczoznawca okrętowy John Austin oraz lokalny nurek nazwiskiem Ricardo Portunato przez kilka godzin badali statek wewnątrz i zewnątrz. Wright i Deveau zgodnie przysięgali, że nigdzie na pokładzie nie widzieli krwi ani żadnego innego śladu przemocy. Tymczasem – w dramatycznej chwili, która według Flooda dowodziła, że wszystkie jego podejrzenia były uzasadnione – szeryf Vecchio odnalazł szablę w pochwie.

Leżała na pokładzie kajuty kapitana. Dlaczego nikt z załogi „Dei Gratia” nie poinformował o niej sądu?

7 stycznia Flood, mocniej niż dotąd przekonany, że w sprawie doszło do morderstwa, przeprowadził „jeszcze bardziej drobiazgowe poszukiwania śladów przemocy”, tym razem w towarzystwie nie tylko Vecchia, ale aż czterech kapitanów marynarki wojennej oraz pułkownika saperów. W liście do Londyńskiej Rady Handlu donosił:

> Na podstawie oględzin wydaje się, że dziób wraku po obu stronach został ostatnio nacięty ostrym narzędziem, ale jednostka była dokładnie uszczelniona, w bardzo dobrym stanie i pod każdym względem zdolna do żeglugi, dobrze zaopatrzona i nie napotkała żadnej naprawdę złej pogody oraz nie dało się odkryć żadnych śladów pożaru, alarmu pożarowego, eksplozji ani innej przyczyny, której można by przypisać jej porzucenie. Znaleziono jednak szablę, która, jak mi się wydaje, ujawnia ślady krwi i została wytarta przed włożeniem do pochwy… Podczas oględzin relingu pokładu rufowego na prawej burcie zostały odkryte ślady jakby krwi i ślad uderzenia jakby ostrą siekierą. Po zejściu przez forluk zauważono, że przy jednej beczce zawierającej podobno alkohol coś majstrowano… [Deveau i Wright, jak pamiętamy, nie zauważyli tego podczas wstępnych oględzin statku].
>
> Znaleziono również mapę roboczą i dziennik okrętowy statku […] uzupełniane do południa 24 listopada […] zapisy na tabliczce nawigacyjnej są kontynuowane […] do 8 rano następnego dnia, o której to godzinie wschodni punkt St Mary [w archipelagu Azorów] znajdował się w odległości sześciu mil na południowo-południowy zachód – statek od poprzedniego południa płynął zatem znacznie wolniej niż zanotowano na tabliczce. […] Od tamtej pory

minęło osiem tygodni i zupełnie nic nie słyszano o kapitanie, załodze ani nieszczęsnej damie i dziecku.

Według mojej własnej teorii czy domysłu załoga dostała się do alkoholu i w pijackiej furii zamordowała kapitana o nazwisku Briggs, jego żonę i dziecko oraz pierwszego oficera; potem sprawcy uszkodzili burty przy dziobie jednostki, chcąc stworzyć pozory, że uderzyła o skały […] i że w którymś momencie pomiędzy 25 listopada a 5 grudnia uciekli na pokładzie innej jednostki zmierzającej do jakiegoś portu w Ameryce Północnej lub Południowej albo w Indiach Zachodnich…

Frederick Flood nie miał jednak szczęścia, bo nic z tego się nie potwierdziło. Ekspertyza sądowa „śladów krwi” na szabli wykazała, że są to plamy rdzy albo jakiejś korozji. Flood ripostował, że ostrze zostało „wytarte cytryną”, aby usunąć te ślady, lecz już mało kto traktował go poważnie.

Kolejnym ciosem dla jego teorii było stwierdzenie, że alkohol w ładowniach „Mary Celeste” był w postaci czystej, a więc trujący, jeśli nie został mocno rozcieńczony. Oznaczało to, że nawet gdyby członkowie załogi „Mary Celeste” rzeczywiście otwarli którąś beczkę i ulegli pokusie pijatyki, to raczej śmiertelnie by się zatruli lub rozchorowali, niż zaczęli szaleć na statku owładnięci morderczymi myślami. Ślady na relingu również nie okazały się plamami krwi. Długie na prawie dwa metry i głębokie na centymetr nacięcia po obu stronach dziobu „Mary Celeste” pozostały jednak zagadką, przynajmniej dla rzeczoznawcy okrętowego Johna Austina. W swoim zeznaniu powiedział: „uszkodzenia te powstały bardzo niedawno, nie mogły być wywołane przez pogodę i najwyraźniej dokonano ich jakimś ostrym narzędziem tnącym”. Te bliźniacze nacięcia na

dziobie wciąż są jednym z najdziwniejszych, niewyjaśnionych szczegółów całego tajemniczego zdarzenia.

Na scenie pojawił się nowy aktor: kapitan R.W. Shufeldt. Jako dowódca USS „Plymouth” przybył do Gibraltaru 5 lutego. Na żądanie Horatia Sprague’a, konsula amerykańskiego w Gibraltarze, Shufeldt przeprowadził nowe oględziny „Mary Celeste”. Ostatecznie był to statek amerykański, a jego właściciele, podobnie jak kilkoro zaginionych pasażerów i członków załogi, byli obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Kapitan Shufeldt przystąpił do pracy z przykładną szybkością i wydajnością. W swoim raporcie stwierdza on:

> Uważam, że jednostka została porzucona przez kapitana i załogę w chwili paniki i bez żadnego dostatecznego powodu […]. Odrzucam koncepcję buntu, ponieważ nie ma żadnych śladów przemocy na pokładach ani w kajutach; ponadto siły dowództwa i marynarzy były tak równo podzielone, że trudno byłoby, aby bunt doprowadził do takiego wyniku.
>
> Uszkodzenia na dziobie brygantyny wydają mi się niczym innym jak rozszczepieniami powstałymi podczas wyginania, które następnie zostały powiększone od działania morza […]
>
> Kapitan, jeśli przeżył, będzie żałował swojego pochopnego działania. Nawet jeśli jednak nigdy już nie usłyszymy o kapitanie i załodze, wciąż będę uważał, że stracili życie na łodzi, w której porzucili „Mary Celeste”, i będę z zainteresowaniem wspominał tę smutną i milczącą tajemnicę morza […]

Flood podejrzewał bunt lub porwanie między innymi także z uwagi na dystans, jaki „Mary Celeste” przebyła pomiędzy datą jej domniemanego porzucenia 24 listopada a datą domniemanego odkrycia 5 grudnia.

Argumentował, że wobec przeważającego wiatru „mniej więcej z północy” jednostka przez większość tego odcinka musiała iść lewym, a nie prawym halsem. Skoro tak, oznaczało to, że nie mogła przebyć tak wielkiego dystansu, „idąc prawym halsem”.

W jednym z kilku listów do Londyńskiej Rady Handlu Flood napisał: „Okoliczności te prowadzą mnie do wniosku, że chociaż ani w dzienniku okrętowym, ani na tabliczce »Mary Celeste« nie znaleziono żadnych zapisów późniejszych niż godzina 8 rano 25 listopada, to w rzeczywistości statek został porzucony dopiero kilka dni później i to prawdopodobnie o wiele dalej na wschód niż położenie, w którym go odnaleziono…”.

Nic nie mogło zachwiać przekonaniem Flooda, że niektórzy lub wszyscy członkowie załogi „Mary Celeste” zbuntowali się, zabili pozostałych na pokładzie z kapitanem i jego rodziną włącznie, a potem jakoś znikli – albo też, że załoga „Dei Gratia” wymordowała wszystkich na pokładzie „Mary Celeste”, by uzyskać pieniądze za uratowanie wraku.

Nie da się ustalić, jakim kursem płynęła pozbawiona sternika „Mary Celeste” w tym najważniejszym okresie; mogła niejeden raz samoistnie zmieniać kierunek i nawet przy średniej prędkości 1,5 węzła jest całkiem możliwe, że pokonała około 600 mil na zachód.

Deveau bez przeszkód dostarczył ładunek „Dei Gratia” do Genui 16 stycznia 1873 roku. Potem pożeglował do Messyny. Znów był to ten sam port, do którego miała popłynąć „Mary Celeste” po powrotny ładunek świeżych owoców. Słowo „zbieżność” zaczyna się powtarzać aż nazbyt często.

Kiedy „Dei Gratia” stała w Genui, gibraltarski sąd po raz ostatni wezwał Deveau do złożenia zeznań. Deveau powrócił do Gibraltaru parowcem i 4 marca 1873 roku zajął – zapewne doskonale mu już znane – miejsce dla świadka. Flood podjął ostatnią próbę, znów wyciągając ze

swojego najbardziej podejrzanego świadka szczegóły, o których Deveau wcześniej nie wspominał. Najważniejsze dotyczyły szabli:

> Nie widziałem żadnych pozostałości falenia ani liny łodzi, które byłyby przywiązane do relingu. Nie zauważyłem żadnego śladu siekiery na relingu ani cięcia. […] Nie potrafię powiedzieć, skąd wzięło się to nacięcie na relingu – wydaje się, że zostało zrobione ostrą siekierą, a ja nie myślę, żeby zrobili to moi ludzie w czasie, gdy żeglowaliśmy jednostką. Nie widziałem żadnych nowych siekier na pokładzie „Celeste”; była stara siekiera, którą znaleźliśmy na pokładzie…
>
> Nie dostrzegłem na pokładzie żadnych oznak krwi. Nie zauważyłem żadnych oznak ani śladów krwi na pokładzie. Nie potrafię powiedzieć, czy jakieś tam były, czy też nie; nigdy nie myliśmy pokładów „Mary Celeste” ani ich nie szorowaliśmy. Było nas za mało, żeby to robić. Morze zmyło pokłady. [W tym miejscu Flood powiedział sądowi, że słona woda zawiera kwas chlorowy, który rozpuszcza krew].
>
> […] Znalazłem tę szablę [wskazując na dowód leżący na stole sędziowskim] pod koją kapitana […] nie było w niej nic godnego uwagi. Nie wydaje mi się, aby coś godnego uwagi było w niej teraz – wygląda na zardzewiałą. Myślę, że odłożyłem ją tam, gdzie ją znalazłem, albo gdzieś w pobliżu. Nie widziałem jej u dołu drabinki – może któryś z moich ludzi ją tam położył. Nie byłem na pokładzie, […] kiedy szeryf przybył na „Celeste” aresztować statek, i dlatego nie widziałem, jak znalazł szablę.

W zeznaniach Deveau na pierwszy plan wybijają się dwie sprawy. Opisując, jak pierwszy raz wszedł do kajuty Johna Wrighta, pierwszego

oficera „Mary Celeste”, powiedział: „W dzienniku okrętowym znalazłem zapisy aż do 24 listopada, a na tabliczce wpis datowany na 25 listopada pokazujący, że osiągnęli wyspę St Mary. Pierwszego dnia nie zauważyłem zapisu na tabliczce, dokonywałem na niej własnych wpisów i w ten sposób niechcący wymazałem tamten zapis, gdy zacząłem używać tabliczki; tak mi się przynajmniej wydaje”. Zważywszy na to, że wszystkie zapisy w dzienniku i na tabliczce były i wciąż pozostają niezmiernie ważne dla prób rozwikłania tajemnicy, niepewność Deveau daje powody do zaniepokojenia.

Deveau wkracza na dryfujący statek; odkrywa, że opuszczono go w wielkim pośpiechu; znajduje białą broń pod łóżkiem kapitana i nie może sobie przypomnieć, czy zmienił zapisy na tabliczce nawigacyjnej. Jak niesamowite musiało być to pierwsze przeszukiwanie pomieszczeń statku widma? I jak zapadające w pamięć?

Ale nawet jeśli tak, to czy mamy wierzyć, że Deveau był zatwardziałym łajdakiem ukrywającym swoją przywódczą rolę w bezwzględnej i cynicznej masakrze? Gdyby tak było, to postąpiłby dość głupio, pozostawiając gdzieś szablę, zamiast wyrzucić ją do morza, a potem zapominając wspomnieć o niej sądowi. Sam fakt, że tak swobodnie wypowiada się w tej sprawie – i tyle zapomina – przemawia na jego korzyść. Zawsze też powracamy do braku jakichkolwiek śladów krwi czy oznak przemocy.

Ostatnie zeznanie Deveau zakończyło proces. „Mary Celeste” z nowym kapitanem i nową załogą wypłynęła z Gibraltaru 10 marca 1873 roku i 21 marca dotarła do Genui, gdzie wyładowała cargo „w dobrym stanie”. Główny właściciel brygantyny kapitan James H. Winchester przypłynął z Nowego Jorku, by ustalić, co stało się z jego statkiem. W Gibraltarze zabawił kilka tygodni i musiał z wielką ulgą przyjąć wydany przez Sąd Admiralicji rozkaz uwolnienia „Mary Celeste”: mógł teraz odebrać 3400

dolarów – w 2018 roku kwotę równoważną 65 tysiącom funtów – należnych za dostarczenie alkoholu. Czy zainkasował również jakąś wypłatę za odrębne ubezpieczenie ładunku brygantyny do wysokości 6522 funtów i 3 szylingów, tego nie wiadomo.

Co zatem naprawdę zdarzyło się na pokładzie „Mary Celeste”? Przedostatni wpis do dziennika okrętowego z ranka 25 listopada jest następujący: „o godzinie 5 osiągnięto wyspę St Mary, kurs ESE”. W żeglarskim żargonie oznacza to, że statek miał ląd w zasięgu wzroku. Trzy godziny później, jak pamiętamy, dokonano ostatniego wpisu o treści: „O 8 wschodni cypel w odległości 6 mil SSW”. W żadnym z tych zapisów nic nie wskazuje na zagrożenie statku ani nie wspomina się o pogorszeniu pogody.

Jeśli wierzyć zapisom, w ciągu tych trzech godzin „Mary Celeste” pokonała około 20 mil wokół północnego brzegu St Mary. O godzinie ósmej odnotowano prędkość 8 węzłów, co z grubsza odpowiada dystansowi zapisanemu w dzienniku. Sugeruje to również, że wszystkie żagle były odpowiednio postawione i że statek płynął normalnie. Potem nie mamy już nic. Historia „Mary Celeste” kończy się milczeniem, które trwa już od blisko stu pięćdziesięciu lat.

25 listopada nie było morskiej mgły, która ograniczałaby widoczność albo oszukiwała zmysły, a wiatr o poranku był lekki. W miarę jednak upływu dnia pogoda się pogarszała, a po południu szalał już silny wicher. Czy morze wzburzyło się tak bardzo, że kapitan Briggs zaczął się obawiać, iż statek może zatonąć? Gdyby tak było, to dlaczego na statku nie było więcej wody, gdy go odnaleziono, oraz dlaczego nie stwierdzono większych uszkodzeń takielunku i ładunku? I dlaczego ktoś miałby pozostawić podczas sztormu dwa otwarte luki w górnym pokładzie?

Dla ośmiu sprawnych, zmieniających się przy wiosłach mężczyzn odległość 6 mil nie jest trudna do pokonania. Jeśli jednak rzeczywiście zdecydowali się wobec jakiegoś niebezpieczeństwa zwodować szalupę i ruszyć w stronę St Mary, to co się z nimi stało?

Każdy żeglarz wie, że wsiadanie do małej łodzi na wzburzonym morzu to zły pomysł: za duże jest prawdopodobieństwo, że zostanie zalana falami i wszyscy zatoną. Każdy zdolny do żeglugi statek z uwagi na swoją wielkość i masę ma znacznie większe szanse przetrwania sztormu niż mała łódź. Briggs raczej nie ryzykowałby życia żony i dziecka, jak również własnego, nie mając po temu jakiegoś bardzo przekonującego powodu.

W ciągu minionych lat przedstawiano w celu wyjaśnienia tej tajemnicy wszelkiego rodzaju teorie – niektóre inteligentne, inne mniej. Jedna z najpoważniejszych głosi, że doszło do jakiejś eksplozji spowodowanej oparami ulatniającymi się z beczek z alkoholem. Jako pierwszy zaproponował ją dr Oliver Cobb, kuzyn zarówno kapitana Briggsa, jak i jego żony, a przy tym człowiek, który nie potrafił się pogodzić z niewyjaśnionym zniknięciem krewnych i był zdecydowany ustalić, co się z nimi stało.

Cobb uważał, że z powodu ogólnie złej pogody towarzyszącej „Mary Celeste”, zanim dotarła do Azorów, załoga trzymała ładownię szczelnie zamkniętą. Kiedy statek pożeglował na południe i temperatura powietrza wzrosła – rozumował Cobb – opary alkoholu, który wyciekł z którejś beczki lub z kilku beczek, ogrzały się, rozprzestrzeniły i stały się bardziej lotne. Taki wyciek magazynowanych lotnych substancji, nazywany „porcją dla anioła”, był trudny do uniknięcia, zwłaszcza gdy pojemnikami były drewniane beczki. Potem albo dwie obręcze spinające beczki przypadkowo zderzyły się, wywołując iskrę, albo ktoś z załogi wszedł do ładowni z otwartym ogniem. Niezależnie od tego, co spowodowało zapłon,

w przyjętej przez Cobba wersji wydarzeń opary etanolu z potężnym hukiem eksplodowały, przerażając wszystkich na pokładzie i skłaniając ich do porzucenia statku.

Urzędnicy, którzy dokonali oględzin jednostki w Gibraltarze, kategorycznie odrzucili wyjaśnienie Cobba. Wszyscy się zgodzili, że nie było dowodów świadczących o jakiejkolwiek eksplozji czy pożarze. Ale czy mieli rację? W 2006 roku prof. Andrea Sella z wydziału chemii londyńskiego University College postanowił przetestować teorię dr. Cobba zgodnie z współczesnymi rygorami naukowymi.

Sella poprosił swojego kolegę Marty'ego Jopsona o zbudowanie repliki ładowni „Mary Celeste". Używając papierowych sześcianów zamiast drewnianych baryłek, napełnili przestrzeń butanem, który jest nie mniej lotny niż etanol, wycofali się na bezpieczną odległość i spowodowali zapłon. Gaz eksplodował z głośnym „bum!". Przez pomieszczenie przetoczyła się z rykiem wielka kula ognia. Wybuch odrzucił również pokrywy obu luków w suficie modelu ładowni. Komentując te wyniki, które mogłyby skądinąd wprawić w konfuzję tych z nas, którzy nie są naukowcami, prof. Sella powiedział: „Wywołaliśmy eksplozję mieszanki paliwa i powietrza, wytwarzając bardzo silną falę uderzeniową. Pojawiła się spektakularna fala płomieni, lecz poza nią powietrze było stosunkowo chłodne. Nie pozostały żadne ślady sadzy, nic nie było spalone ani przypalone". W konkluzji Sella dodaje wagi teorii dr. Cobba: „Odzwierciedla to warunki na pokładzie »Mary Celeste«. Wybuch byłby wystarczający, by zerwać pokrywy luków, i głęboko przeraziłby wszystkich na pokładzie".

Tak więc śmiertelnie przerażony odgłosem i gwałtownością wybuchu oraz obawiając się, że za chwilę eksploduje cały ładunek, kapitan Briggs wydał rozkaz opuszczenia statku. Dwóch czy trzech ludzi rzuciło się

refować żagle, inni pobiegli do szalupy. Gdy tylko ją zwodowali, wszyscy wsiedli do niej i z całą prędkością odeszli na wiosłach.

Cobb uważał, że gdy wszyscy znaleźli się w szalupie, ktoś z załogi przywiązał ją do „Mary Celeste” za pomocą długiej liny. Uciekinierzy luzowali ją tak długo, aż uznali, że znajdują się w bezpiecznej odległości od statku – jak się im wydawało – bliskiego eksplozji. Potem „Mary Celeste”, choć pozbawiona załogi, lecz z żaglami zrefowanymi tak, by nie osiągała zbytniej prędkości i nie stwarzała im zagrożenia przy coraz bardziej wzburzonym morzu, pociągnęła ich za sobą. Wszyscy w szalupie z obawą wypatrywali oznak pożaru lub drugiego wybuchu. Kiedy nic się nie zdarzyło, powinni byli po prostu przyciągnąć się za linę do statku i powrócić na pokład. Następnie zaś, upewniwszy się, że ładunek nie grozi już wybuchem, mogliby bezpiecznie kontynuować rejs. Tymczasem, jak sądził Cobb, wzburzone morze chłostane nagłą wichurą zerwało linę holowniczą. Nie mogąc wrócić na statek, znaleźli się na łasce żywiołu. Jakaś fala zalała szalupę, wskutek czego wszyscy potonęli lub zmarli z wyczerpania.

Teoria ta jest przekonująca, lecz pozostaje bez potwierdzenia. Jeśli nie mogli użyć liny, bo się zerwała, dlaczego po prostu nie wrócili na statek na wiosłach? Czy zapomnieli je zabrać?

Co jeszcze mogło się zdarzyć? W niektórych co bardziej szalonych, fantastycznych wyjaśnieniach tego, co się przytrafiło „Mary Celeste”, niezmiennie pojawia się gigantyczny kraken, stała ozdoba morskich opowieści. Nie ma żadnego naukowego dowodu, by istniało coś większego niż gigantyczne gatunki ośmiornic – nigdy nie znaleziono żadnych szczątków kałamarnicowatego stworu dość wielkiego, aby mógł zaatakować i na dodatek zatopić jakąś większą jednostkę. O największych

głębiach oceanu wiemy jednak bardzo niewiele i więcej jest rzeczy pod niebem i powierzchnią morza, niżby się nam śniło.

Jules Verne w swojej wspaniałej fantastycznonaukowej powieści *20 000 mil podmorskiej żeglugi* przedstawia kałamarnicę dość wielką, by można ją było uznać za krakena, atakującą „Nautiliusa”, okręt podwodny kapitana Nemo. Okręt musi się wynurzyć i stoczyć walkę z potworem, by go odegnać. Wiktoriański poeta laureatus Alfred Tennyson w napisanym w 1830 roku sonecie *Kraken* daje nam ze swej strony zapadający w pamięć opis tego mitycznego stworu:

> Pod dzikiej toni bałwanem spienionym,
> Gdzie nieprzebita, mroczna otchłań czeka,
> Prastarym snem, odwiecznym, niezmąconym,
> Śpi Kraken. Stąd najbledszy brzask ucieka.
> W bok – bezmiar gąbek olbrzymich pęcznieje,
> A dalej w głąb – gdzie refleks mży zwodniczy
> Grot pełnych cudów, pieczar tajemniczych –
> Polipów senne, szmaragdowe knieje
> Gęstwiną macek kołyszą ospale.
> Tam leży monstrum, zawieszone w czasie,
> Tłuste robaki pożera bezładnie.
> Aż w dzień ostatni żar rozpali fale.
> Wtedy na bestię po raz pierwszy padnie
> Wzrok ludzi i aniołów – gdy wypłynie
> I ze straszliwym rykiem na powierzchni zginie*.

Samice kałamarnicy olbrzymiej (dorastające do większych rozmiarów niż samce) mogą osiągać 13 metrów długości – jednak myśl, że stworzenie

choćby i tej wielkości mogłoby się nagle wyłonić z otchłani, opleść statek wielkości „Mary Celeste” i porwać całą jego załogę, wymaga od nas, byśmy zapomnieli o sceptycyzmie. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że kraken rzeczywiście wypływa z głębi, chwyta swoimi mackami i topi sternika na wachcie i wszystkich innych, którzy znaleźli się na górnym pokładzie. Czy potem inni, słysząc krzyki przerażenia ofiar, puściliby się pędem na górę, by zobaczyć, co się dzieje, po to tylko, aby kolejno stawać się łupem potwora i dać mu się zawlec na śmierć? Jedynym, co świadczyłoby na korzyść tej hipotezy, jest znak cięcia na relingu statku. Czyżby ktoś próbował odrąbać gigantyczną mackę, podczas gdy pozostali tłoczyli się do szalupy?

Piraci? Trochę na nich za późno – w roku 1872 i na środku Atlantyku. Nawet u szczytu swojej aktywności morscy rabusie kręcili się zwykle w pobliżu portów albo włóczyli wzdłuż powszechnie znanych wybrzeży handlowych, wyglądając łatwej zdobyczy. Porwanie przez kosmitów? Znów wkraczamy w krainę absurdu. Góra lodowa? Dane o pogodzie w obszarze Azorów każą odrzucić takie możliwości – jesteśmy tu o wiele za daleko na południe nawet dla najbardziej zbłąkanej bryły lodu. A może ktoś z załogi nagle oszalał, zaszlachtował lub zastrzelił wszystkich na pokładzie, a potem sam rzucił się w morze?

A co z przekonaniem Solly’ego Flooda, że albo doszło do buntu, albo mamy do czynienia z jakimś wcześniej obmyślonym spiskiem? Jak widzieliśmy, wszystkie oficjalne zeznania i dowody przemawiają na niekorzyść tych domysłów.

Gdyby doszło do zwykłego buntu niektórych lub wszystkich członków załogi „Mary Celeste” oraz wynikłej z niego masakry, to właściwie dokąd mieliby się udać buntownicy po opanowaniu statku? Dlaczego nie pozostali na pokładzie całkowicie zdolnej do żeglugi i cennej jednostki, nie

pożeglowali w jakieś odległe miejsce, gdzie mogliby sprzedać statek wraz z ładunkiem temu, kto zapłaciłby najwięcej, a potem zniknąć z zarobionymi pieniędzmi?

A teoria, w myśl której Briggs i Morehouse znali się wcześniej? Załóżmy, że będąc w Nowym Jorku przed wyruszeniem w swoje rejsy, obaj kapitanowie spotkali się i ukartowali plan upozorowania porzucenia statku. Kiedy mieli w zasięgu wzroku Azory, ludzie z „Dei Gratia" przejęli „Mary Celeste". W tej wersji zdarzeń pasażerowie i załoga statku widma powiosłowali wtedy na St Mary, aby w tym odosobnionym i zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu czekać na swój udział w wynagrodzeniu za uratowany statek. Kiedy jednak kierowali się ku lądowi, rozszalał się nagły sztorm, zalewając łódź i topiąc wszystkich. Załoga „Dei Gratia" zrobiła potem jak najlepszy użytek z tego niefortunnego biegu spraw, żeglując obu statkami do Gibraltaru.

Czy jednak kapitan Briggs rzeczywiście ryzykowałby życie żony i dziecka dla tak ryzykownego planu, skoro dopiero co legalnie kupił jedną trzecią udziałów w statku? Czy uczciwa i bogobojna pani Briggs zgodziłaby się wziąć udział w takiej intrydze? Ani jedno, ani drugie nie wydaje się prawdopodobne.

Załóżmy teraz, że „Dei Gratia" i „Mary Celeste" spotkały się czystym przypadkiem. Kapitanowie wymienili uprzejmości i Briggs zaprosił Morehouse'a i paru jego ludzi – może Deveau i Wrighta – do siebie na szklaneczkę. Zdawszy sobie nagle sprawę, że mają okazję zarobku, ludzie z „Dei Gratia" rzucili się na pasażerów i załogę „Mary Celeste", wymordowali ich wszystkich włącznie z Sophią Matildą, a ich ciała cisnęli w morze. Potem popłynęli obu statkami do Gibraltaru – jak w poprzednim scenariuszu.

Przemawia przeciw temu wcześniejsza od dawna utrwalona dobra reputacja ludzi z „Dei Gratia”. Podobnie olbrzymie ryzyko żeglowania dwiema brygantynami jeszcze przez 600 mil, z załogami ledwie czterech ludzi na jednym i trzech na drugim statku. Gdyby sztorm, który ich zaskoczył, rozszalał się, zanim znaleźli się w stosunkowo bezpiecznej Cieśninie Gibraltarskiej, oba statki ze wszystkimi na pokładzie łatwo mogłyby przepaść.

Kwota nagrody za uratowanie wraku w żadnym razie nie mogła być z góry dokładnie znana. Płatności zależą w takich wypadkach przede wszystkim od tego, czy sąd uwierzy, że rzeczywiście doszło do uratowania statku, a nawet wtedy wypłacana suma zostaje ustalona dość swobodnie. „Mary Celeste” wraz z ładunkiem ubezpieczono wprawdzie łącznie na 17 400 dolarów, a wartość ładunku oszacowano na 6522 funty i 3 szylingi, jednak ostateczna nagroda za uratowanie jednostki wyniosła ledwie 1705 dolarów. To zaś trzeba było podzielić pomiędzy właścicieli „Dei Gratia” i załogę. Dowody sugerują, że żadna z zainteresowanych stron nie była zadowolona ani z wielkości kwoty, ani z jej podziału.

I wreszcie, jak widzieliśmy, choć 25 listopada rzeczywiście wiał huragan, to „Mary Celeste” podobnie jak wszystkie jednostki tego typu była zbudowana z myślą o pełnomorskiej żegludze i powinna była wytrzymać wszystko prócz najcięższego sztormu czy tajfunu, a dane o pogodzie na Azorach o niczym takim nie wspominają. Zatem podwodne trzęsienie ziemi – nagle otwarła się ogromna pustka i pochłonęła statek? Tego po prostu nie wiemy.

W następstwie tej tragedii wielu szarlatanów i różnych ludzi czyhających na okazję twierdziło, że byli na pokładzie „Mary Celeste” przed jej odnalezieniem albo mają jakąś szczególną wiedzę w sprawie tej tajemnicy. Wszystko to były mniej lub bardziej bezczelne próby zarobienia

na katastrofie, zdobycia sławy lub jednego i drugiego. Rewelacje te bez wyjątku okazały się fałszywe.

Na scenie pojawił się nawet wielki twórca Sherlocka Holmesa sir Arthur Conan Doyle. W 1884 roku dwudziestopięcioletni wówczas Doyle opublikował anonimowo w „Cornhill Magazine” tekst pod tytułem *J. Habakuk Jephson Statement*. Choć opiera się on na prawdziwej historii „Mary Celeste”, jest niemal całkowicie fikcją literacką. Autor obsadza statek – nazwał go „Marie Celeste” i ta wersja nazwy utrzymuje się do dziś – postaciami własnego pomysłu. Jeden z tych ludzi, Septimus Goring, jest czarnym charakterem historii. Goring w jakiś sposób zakłóca kurs statku, który zamiast do docelowej Lizbony trafia ostatecznie do wybrzeży Afryki Zachodniej. Tutaj Goring z trzema wspólnikami obezwładniają i kneblują narratora, tytułowego pana Jephsona. Na sygnał ze statku inni uczestnicy zbrodniczego spisku przypływają czółnami z lądu, zabijają resztę załogi i pozostawiają statek porzucony i dryfujący. Pozbywszy się uczciwych członków załogi, buntownicy napadają na pobliską osadę, którą Septimus Goring zamierza rządzić niczym monarcha absolutny. Ponieważ Jephson nie jest już Goringowi do niczego przydatny, i na niego przychodzi kolej, by paść ofiarą mordu.

Udaje mu się przeżyć dzięki „dziwnemu czarnemu kamieniowi”, jaki ma przy sobie. Mało godny zaufania narrator Doyle’a mówi, że jeszcze zanim zaokrętował się na „Marie Celeste”, dostał go od Marty, starej czarnej niewolnicy, która pielęgnowała go, gdy odniósł rany, walcząc w wojnie secesyjnej po stronie Unii. Marta powiedziała Jephsonowi, że jest mu wdzięczna za to, co zrobił dla niewolników, angażując się w sprawę abolicjonistów, i chce mu dać w nagrodę czarny kamień. Niesłychanie szczęśliwym trafem – nie mówiąc już o tym, że w jednym z najniezwyklejszych nawet jak na literaturę wiktoriańską zbiegów

okoliczności – okazuje się, że kamień ów dokładnie pasuje do oczodołu w głowie posągu otoczonego głęboką czcią przez mieszkańców osady, którą Goring zamierza władać. „W jednej chwili z więźnia stawszy się półbogiem”, Jephson zostaje uwolniony, a Goring pomaga mu uciec.

Historia ta, choć absurdalna niemal w każdym szczególe, jest opowiedziana tak przekonująco, że często była uznawana – niekiedy nawet przez poważniejsze gazety – za prawdziwą relację. Frederick Solly Flood nie podzielał ogólnego entuzjazmu: „*J. Habakuk Jephson Statement* – grzmiał – jest od początku do końca wymysłem”. Amerykański konsul Sprague – równie zaskoczony, że tekst jest odbierany jako opis autentycznych wydarzeń, podczas gdy sam wiedział, że to fikcja – zwrócił się do „Cornhill Magazine” z prośbą o informację o autorze. O ile nam wiadomo, pismo ochroniło swoje źródło.

Choć zniknięcie ośmiorga ludzi z pokładu „Mary Celeste” było tragedią dla nich samych, ich rodzin i przyjaciół, zapomina się zwykle o jednej postaci tego dramatu. Arthur Briggs miał zaledwie siedem lat, gdy jego rodzice i siostrzyczka zginęli bez śladu. Każdego dnia z pewnością zastanawiał się, co się zdarzyło. Nigdy się tego nie dowiedział. Mówiąc słowami kapitana Shufeldta, los „Mary Celeste” pozostaje „smutną i milczącą tajemnicą morza”.

---

* C. Houck, *Klątwa tygrysa*, t. 3, tłum. M. Tomczak, Kraków 2012, s. 260.

GÖBEKLI TEPE

Jedno z najbardziej tajemniczych miejsc na Ziemi, kompleks starożytnych kamiennych kręgów zwany Göbekli Tepe (co znaczy „Brzuchate Wzgórze”), wprawia w zdumienie i podziw wszystkich, którzy je zwiedzają. Ten wbudowany w górskie zbocze w pobliżu Sanliurfy w południowej Turcji szereg pięknie wymodelowanych kręgów z wapienia krystalicznego nie tylko mieści głęboko ukryte starożytne tajemnice, ale też jest olśniewający artystycznie, doskonały technologicznie i zmusza nas do przepisania na nowo całej historii wczesnego rozwoju ludzkości.

Budowle Brzuchatego Wzgórza datuje się na lata 9600–7300 p.n.e., czasy, które archeolodzy nazywają preceramicznym okresem neolitycznym A – 12 tysięcy lat temu. To około sześciu tysięcy lat przed zbudowaniem zarówno Wielkiej Piramidy w Gizie, jak i Stonehenge. Wiek i tajemniczość tego stanowiska archeologicznego każą je zaliczyć do najmniej wyjaśnionych w całych dziejach. Zgodnie z od dawna ugruntowaną i hołubioną wiedzą archeologiczną dopiero wtedy, gdy zaprzestaliśmy koczowniczego, zbieracko-łowieckiego życia i osiedliliśmy się, tworząc wspólnoty rolnicze, uzyskaliśmy stabilne zaopatrzenie w żywność, czas i zasoby pozwalające wykształcić złożone społeczeństwa i zainicjować tak zwaną rewolucję wiedzy uwieńczoną technologicznym postępem współczesności.

Göbekli Tepe obala wszystkie tradycyjne spekulacje. Twórcy tego szeregu kolistych kamiennych monumentów osiągnęli biegłość w dziedzinie inżynierii, sztuki, architektury, matematyki i budownictwa, a

ich pomysłowości nie miało dorównać nic przez ponad pięć tysięcy lat od zakończenia pierwszej fazy wznoszenia budowli w Göbekli Tepe. A jednak znajdowane na tym stanowisku dowody archeologiczne sugerują, że wciąż byli oni na poły wędrownymi zbieraczami i łowcami, a miejsce to zajmowali być może tylko przy specjalnych okazjach. Jak to możliwe, że ta grupa ludzi w tak odległych czasach aż tak wyprzedzała resztę świata w każdej niemal dziedzinie ludzkich osiągnięć?

Czy byli to kosmici, a może ludzie korzystający z pomocy istot pozaziemskich? To jedna z teorii. Najważniejsze w całej tej tajemnicy są same kamienie. Każdy z odkopanych dotąd czterech głównych elementów jest otoczony liczącym 10–30 metrów średnicy kolistym murem zbudowanym ze starannie wyciętych, ściśle dopasowanych bloków. Sam fakt, że budowniczowie potrafili obrabiać kamień z dokładnością niemal taką, jak w Wielkiej Piramidzie, lecz o tysiące lat wcześniej, stanowiłby całkiem dobrą reklamę ich nadzwyczajnych umiejętności. Tym jednak, co naprawdę zdumiewa, są grupy monumentalnych pionowych słupów umieszczonych w centrum każdego okręgu. Wiele z nich wygląda tak, jakby było wyidealizowanymi przedstawieniami ponadludzkich postaci: czczonych przodków, bogów lub jakichś innych istot, o których nie mamy pojęcia. Dwukrotnie wyższe od otaczających je mniejszych monolitów, lecz podobnie jak one w kształcie litery T, olbrzymy te mają ponad sześć metrów wysokości. Każdy taki słup waży około 20 ton, co rodzi natychmiast to samo pytanie, które zadajemy sobie w Stonehenge: w jaki sposób budowniczowie przemieszczali i unosili te olbrzymie płyty?

Na wyższych kolumnach, smuklejszych i wydłużonych, wyryte są niewyraźne zarysy ramion zakończonych rękami o nienormalnie długich palcach. Podobnie jak w przypadku niektórych powstałych wiele tysięcy lat później figur z Wyspy Wielkanocnej ręce spoczywają złożone na

podbrzuszu czegoś, co może – choć niekoniecznie – miało przedstawiać ludzkie postacie. Niektóre z tych abstrakcyjnych, niesamowitych form mają naszyjniki i coś przypominającego krótką pelerynę ze zwierzęcej skóry – ściągniętej może z wilka lub lisa.

Większość kolumn jest ozdobiona znakomitymi przedstawieniami zwierząt: lwów, węży, pająków, skorpionów, lisów i byków. Podobizny te są wykonane jako zarówno wypukłe, jak i płaskie reliefy, a ich doskonałość zapiera dech w piersiach. Niczego podobnego nie widziano od czasów paleolitycznych malowideł naskalnych. Niczego podobnego w dziedzinie sztuki nie miano też dokonać przez następnych blisko pięć tysięcy lat. Nawet dziś poziom umiejętności zademonstrowany w wielu reliefach byłby trudny do doścignięcia. W poszczególnych elementach składowych kompleksu dominuje jedno stworzenie, co może oznaczać, że każdy z nich był zbudowany lub używany przez inny klan czy grupę plemienną: „ludzi skorpiona", „plemię lisa" i tak dalej.

Powierzchnie niektórych monumentalnych słupów ozdabiają reliefy ptaków przypominających żurawie lub flamingi, znajdujemy również złowrogie, mocno stylizowane sępy jakby wpatrujące się w odległy łup. Te padlinożerne ptaki trzymają w szponach okrągłe obiekty, których nie można od razu zidentyfikować, lecz według ekspertów mogą stanowić abstrakcyjne przedstawienia ludzkich głów.

Niektórzy archeolodzy uważają, że te wizerunki „czaszek" mówią nam, iż ludzie z Göbekli Tepe pozostawiali ciała swoich zmarłych wystawione na działanie żywiołów, aby sępy i kruki mogły pożreć ich szczątki, a następnie ulecieć w powietrze, unosząc w niebiosa dusze zmarłych. W niektórych odległych rejonach środkowej Azji wciąż praktykuje się tego rodzaju „pochówek powietrzny".

Jedną z wielu innych osobliwości Göbekli Tepe jest to, że nie znaleziono tam nic, co świadczyłoby o długim zasiedlaniu tego miejsca przez ludzi. Podobnie natomiast jak w Stonehenge wielkie ilości rozłupanych kości sezonowo łowionych zwierząt sugerują, że kręgi były wykorzystywane jako miejsce imponujących mięsnych uczt: ceremonialnych, stanowiących element rytuału lub kultu albo po prostu organizowanych dla rozrywki. Odkrycie olbrzymich kamiennych koryt, o pojemności blisko 200 litrów, zawierających ślady szczawianu wapnia potwierdza ostatni domysł: ten związek chemiczny z powodzeniem może być pozostałością po pierwszym na świecie piwie, jakie warzono w Göbekli Tepe. W takim zaś razie byłoby to być może miejsce sezonowych zlotów – coś na kształt współczesnego brytyjskiego festiwalu w Glastonbury – lub też spełniałoby funkcję prehistorycznego międzyplemiennego centrum kulturalnego. Jeśli tak i jeśli prawdziwa jest teoria, że grupie tych niezwykłych ludzi udało się zorganizować życie z takim powodzeniem, że więcej się bawili i mniej pracowali niż my, to ich praktyczna wiedza technologiczna oraz umiejętność radzenia sobie w środowisku naturalnym tylko pogłębiają otaczającą ich tajemnicę.

Wyłaniający się w ten sposób obraz pokojowej osiadłej wspólnoty ludzi niewiele pracujących i poświęcających większość czasu na przyjemności skłaniał nawet niektórych komentatorów do sugerowania, że Göbekli Tepe może być źródłem biblijnego przekazu o ogrodzie Edenu czy przedstawień raju w niektórych innych religiach – jako zachowane w ludowej pamięci echo czasów, w których większość ludzi nie podlegała presji niepowstrzymanych imperatywów pieniądza i pracy.

Stanowisko znajduje się na bocznej odnodze nagiego pofałdowanego wzgórza, jednego z wielu na obszarze rozciągającym się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. Jest on obecnie raczej jałowy, uważa się jednak,

że kiedy budowano kręgi, klimat był łagodniejszy, opadów było więcej, a tereny te były zieleńsze, obfitowały w bogate i różnorodne ostoje zwierzyny łownej, w tym antylop.

Od 1998 roku, kiedy niemiecki archeolog Klaus Schmidt odkrył stanowisko Göbekli Tepe, odkopano w całości tylko cztery spośród tajemniczych kamiennych budowli. Badania geofizyczne wskazują, że w pobliżu ukrytych jest przynajmniej szesnaście innych, podobnych kompleksów megalitycznych, a Schmidt uważa, że może ich być o kilkadziesiąt więcej. Oznacza to, że w ciągu setek lat pomiędzy różnymi fazami tworzenia licznych kamiennych kręgów Göbekli Tepe w budowę musiały być zaangażowane tysiące ludzi. To z kolei mówi nam, że musieli oni zamieszkiwać okoliczne tereny przez dłuższe, choć przerywane okresy, a żyjąc tu, musieli mieć zapewniony dostęp do zasobów żywności.

Niektórzy eksperci uważają dziś, że aby zaopatrzyć w żywność tłumy, które gromadziły się okresowo w Göbekli Tepe, by budować monumenty, a potem świętować lub odprawiać obrzędy, wspólnoty te musiały wynaleźć rolnictwo kilka tysięcy lat wcześniej, niż dotąd sądzono. Badania mikroskopowe i analiza DNA starożytnych ziaren zbóż, jakie znaleziono w pobliżu, wskazuje, że są to pozostałości pierwszych na świecie znanych odmian dzikiej pszenicy samopszy i dzikiego jęczmienia. Są to najstarsze znane dowody uprawy roślin, które podobnie jak wszystko inne „pierwsze”, co wciąż odkrywa się w Göbekli Tepe, świadczą o tym, że zwycięzcy wyścigu w stronę rolnictwa pozostawili rywali daleko w tyle.

Jakie zatem było rzeczywiste przeznaczenie Göbekli Tepe? Czy ludzie zbierali się tu na zabawę czy na modły? Czy umiejscowienie na szczycie wzgórza oznacza, że było to obserwatorium astronomiczne służące do pomiaru ruchów Słońca lub Księżyca albo przewidywania uderzenia komety? Nikt jak dotąd nie potrafi udzielić stanowczej odpowiedzi.

Im dokładniej archeolodzy badają ten kompleks, tym mniej znajdują ostatecznych rozwiązań, natomiast tajemnica neolitycznego ludu jego budowniczych tylko się pogłębia. Niektórzy eksperci uważają, że kamienne kręgi mogą stanowić najstarsze przedstawienie zodiaku. Za pierwszych na świecie astronomów od dawna uważano starożytnych Babilończyków. Brzuchate Wzgórze sugeruje jednak, że to założenie również było błędne. Na obwodzie kręgu D znajduje się dwanaście kamiennych znaków – ta sama dwunastka odmierza dziś upływ kalendarzowych miesięcy, tę samą mamy na zegarach i w zodiaku. Dlaczego budowniczowie tej monumentalnej architektury przyjęli za jej podstawę liczbę 12, skoro mamy dziesięć palców u rąk i dziesięć u nóg? I czy to pradawne użycie przez nich okrągłej dwunastki wpłynęło na to, że my także posługujemy się tą liczbą?

Naukowcy z uniwersytetu w Edynburgu pracują nad teorią, w myśl której pierwszy krąg zbudowany w Göbekli Tepe był obserwatorium religijnym wzniesionym w celu odnotowywania, a być może przewidywania pojawiania się w neolitycznych czasach komet i deszczów meteorów. Zgodnie z tą teorią dziwna i egzotyczna symbolika szczególnie uderzająca w wypadku kolumny zwanej „kamieniem sępa” dokumentuje katastrofalny upadek komety, jaki nastąpił około 11 000 roku p.n.e. Jeśli kometa rzeczywiście uderzyła w Błękitną Planetę – a eksperci nie są zgodni co do tego, czy takie zdarzenie naprawdę nastąpiło – to tego rodzaju katastrofalne zjawisko niemal z pewnością wywołało w środowisku powszechny chaos. Mogłoby również być przyczyną minizlodowacenia w tak zwanym przez naukowców młodszym dryasie. Dowody przemawiające na rzecz teorii o uderzeniu komety zyskały na sile, gdy badacze odnaleźli w warstwie geologicznej młodszego dryasu arcydrobne „nanodiamenty”. Te maleńkie kamienie szlachetne mogły powstać jedynie

w warunkach skrajnie wysokiej temperatury i ogromnego ciśnienia – takich właśnie, jakie występują podczas uderzenia komety w Ziemię.

Czy coś z tego ma sens? Budowa pierwszych okręgów w Göbekli Tepe rozpoczęła się około 10 800 roku p.n.e., a zakończyła mniej więcej w 9600 p.n.e. – ten odcinek czasu niemal dokładnie odpowiada zdarzeniu z młodszego dryasu. Dziwny symboliczny piktogram na „kamieniu sępa" może w takim ujęciu nie być pomnikiem upamiętniającym uwolnienie od ciała, czyli serię pochówków powietrznych. Mógłby natomiast bezpośrednio nawiązywać zarówno do uderzenia komety, jak i do wywołanej przez nie katastrofy ekologicznej. Kula w ręce dziwnej, dziobatej postaci w lewej dolnej ćwiartce reliefu oznacza kometę; sęp symbolizuje chaos w środowisku.

Ostatnią nierozwiązaną zagadką jest to, że ludzie z Göbekli Tepe w pewnej chwili nagle porzucili te piękne monumenty, nad których stworzeniem tak ciężko pracowali. Co więcej, jak wskazują dostępne dziś dowody, rozmyślnie je zakopali, ukrywając w ten sposób przed ludzkim wzrokiem.

Dlaczego to zrobili? Czy z jakiegoś niejasnego powodu chcieli ukryć przed przyszłymi pokoleniami świadectwo swojego prehistorycznego geniuszu? Czy jakieś niepowodzenie zasmuciło ich do tego stopnia, że postanowili dosłownie pogrzebać przeszłość? A może był to akt archeologicznego altruizmu zmierzający do zachowania tego niezwykłego dziedzictwa dla przyszłych pokoleń, by mogły je odkryć i cieszyć się nim? Znów nikt nie zna odpowiedzi. Jedno jest pewne: Göbekli Tepe jest jednym z najważniejszych prehistorycznych stanowisk archeologicznych. Odkopane jak dotąd kręgi, same w sobie cudowne i tajemnicze, mogą stanowić dopiero początek największych znalezisk w dziejach archeologii.

WIELKA PIRAMIDA W GIZIE

Kiedy Wielka Piramida była nowa, musiała przypominać jakiś surrealistyczny efekt specjalny, pnąc się w górę z pustynnego krajobrazu koloru khaki, oślepiając spoglądających na nią i w pełni słonecznego światła każąc im odwrócić wzrok. Podziw. Trwoga. Respekt. Oto narzędzia potężnego władcy. Tym zaś, kto jakieś cztery i pół tysiąca lat temu rozkazał zbudować piramidę jako własny monument grobowy, był Cheops, egipski faraon, czyli bóg-król, z czwartej dynastii.

Piramidzie, którą dziś widzimy, brakuje przede wszystkim 170 tysięcy ton okładziny z polerowanego wapienia. Kiedy pierwotnie była nią pokryta, budowla świeciła w słońcu oślepiającą jaskrawą bielą – widoczna dzięki temu z każdej strony z odległości wielu kilometrów. Nieliczne pozostałe płyty tego śnieżnego zewnętrznego okrycia są połączone tak precyzyjnie, że mówi się, iż nie da się pomiędzy nie wsunąć ostrza sztyletu. Wielka Piramida w swej całości stanowi wyczyn inżynierski, który dziś – nie mniej niż w czasach jej powstania – każe się zastanawiać: w jaki sposób dokonali go starożytni Egipcjanie?

Zdarza się niekiedy, że akurat wtedy, gdy wygląda na to, iż nauka wyjaśniła wszystko, tłumacząc jakieś starożytne cudo w pełni i raz na zawsze, badany monument jakby podnosi rękę i mówi: „Chwileczkę! Mam więcej do ujawnienia – jeśli tylko wiecie, jak patrzeć”.

Wielka Piramida w Gizie jest taką właśnie zuchwałą zagadką, wyrzucającą z siebie nowe niespodzianki i tajemnice właśnie

wtedy, gdy archeolodzy – i wielu zapalonych miłośników piramid na całym świecie – najmniej się tego spodziewają.

Wielka Piramida z ociąganiem i tylko po kawałeczku ujawniała swoje sekrety pokoleniom badaczy. Różnią się oni – często nawet gwałtownie spierają – w interpretacjach jej znaczenia, wszyscy jednak są zgodni co do jednego: jest to zdumiewający monument, jedna z najkolosalniejszych pojedynczych budowli, jakie kiedykolwiek wzniesiono, pilnie strzegąca swoich starożytnych sekretów. Być może wkrótce ujawni kolejny z nich.

Archeolodzy uważają, że ten najstarszy z siedmiu cudów świata pomimo swych ogromnych rozmiarów i wewnętrznej złożoności został zbudowany w jednym szalonym zrywie przez liczącą kilka tysięcy ludzi armię robotników śpieszących ukończyć ją przed śmiercią Cheopsa; budowa zajęła im 10–20 lat i skończyła się około roku 2565 p.n.e. (Eksperci nie są zgodni co do okresu panowania Cheopsa – przyjmuje się wprawdzie, że rozpoczęło się w roku 2589 p.n.e., ale jeśli chodzi o to, jak długo trwało, szacunki są bardzo rozbieżne: od 25 do 63 lat).

Cheops chciał, by jego grobowiec był najbardziej imponujący i największy, jaki kiedykolwiek zbudowano, i właściwie mu się udało: wzbijając się na wysokość 147 metrów, Wielka Piramida przez blisko cztery tysiące lat pozostawała najwyższym i największym monumentem na świecie. Jeśli jednak chodzi o bezpieczne przechowanie zmumifikowanych szczątków faraona na wieczność, to miał mniej szczęścia, gdyż wydaje się, że monument zawiódł; pomimo potężnego granitowego grobowca we wnętrzu piramidy, który ze swą dziwną aurą władzy i znakomicie wykończonymi powierzchniami nadawałby się na idealne miejsce spoczynku dla każdego monarchy, nigdy nie znaleziono ani jednej kostki z ciała Cheopsa.

Wielka piramida ma wysokość jakichś pięćdziesięciu pięter i szacuje się, że do jej budowy użyto około 2,3 miliona kamiennych bloków. Jej podstawa w kształcie kwadratu, którego boki długości 230,4 metra są zorientowane dokładnie na cztery strony świata, zajmuje powierzchnię odpowiadającą z grubsza sześciu kwartałom współczesnego miasta.

Portret Cheopsa przekazany przez greckiego historyka Herodota, jedno z bardzo nielicznych źródeł, z których możemy się czegoś dowiedzieć o tym faraonie, jest bezlitośnie obciążający. W 440 roku p.n.e., jakieś dwa tysiące lat po śmierci faraona, a dwa i pół tysiąca lat temu, Herodot pisał: „Aż do króla Rampsynita panował w Egipcie w pełni ład prawny, jak opowiadali, i Egipt cieszył się wielkim dobrobytem, a po nim król Cheops przywiódł go do skrajnej nędzy. Zamknął on bowiem wszystkie świątynie i naprzód powstrzymał Egipcjan od składania ofiar, następnie wszystkim rozkazał, żeby dla niego pracowali”*. Sugeruje to, że piramidę wzniesiono kosztem wpędzenia całego narodu w niewolę – a jednak dowiadujemy się od Herodota, że Cheops i tak potrzebował mnóstwo pieniędzy na jej budowę.

Herodota nazywa się często „ojcem historiografii”, ale równie dobrze zasługiwałby na miano „ojca złośliwej plotki”. Opowiada on, iż okrucieństwo i chciwość Cheopsa były tak wielkie, że nawet zmusił on jedną ze swoich czterech córek do nierządu, by uzyskać dodatkowe pieniądze na mauzoleum. Córka faraona, pisze Herodot, posłusznie przystąpiła do pracy w lupanarze, lecz miała przy tym swój tajny plan: „Wykonywała rozkaz ojca, ale i o tym myślała, aby po sobie samej zostawić pamiątkę, i prosiła każdego, kto ją odwiedził, ażeby jej podarował jeden kamień [do tego dzieła]. Z tych kamieni, mówili, wybudowała piramidę, stojącą pośrodku trzech innych, a przed wielką piramidą”**. Historia niemal na pewno równie nieścisła co nieprzyzwoita, a mająca na

celu jednoczesne podniecenie wyobraźni czytelnika i nadszarpnięcie reputacji wcześniejszej konkurencyjnej cywilizacji. W rzeczywistości trzy główne piramidy w Gizie zostały zbudowane przez władców, których imiona noszą: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa – wszyscy oni byli królami z czwartej dynastii – i żadna córka nie ma tu nic do rzeczy. Stoją one na zachodnim brzegu Nilu w prowincji Giza, od której wzięły swoje miano, parę kilometrów na południowy zachód od Kairu, dzisiejszej rozległej stolicy Egiptu.

Wielka Piramida ma trzy tajemne pomieszczenia, z których najgłębsze zostało wykute w skalnym podłożu niemal dokładnie pod jej wierzchołkiem. Wszystkie trzy komnaty są ułożone jedna nad drugą, prawie w jednej linii. W niektórych wcześniejszych piramidach grobowiec faraona znajdował się w najniższej komorze; jeśli jednak ta podziemna komora pod Wielką Piramidą miała być kiedykolwiek przeznaczona na szczątki Cheopsa, to nastąpiła zmiana planu. Nigdy jej nie ukończono. Natomiast od ukrytego wcześniej zewnętrznego wejścia wykonanego na wysokości osiemnastu metrów w północnej ścianie budowli schodzi w dół grubo ciosany korytarz, otwierając się w coś w rodzaju sztucznej pieczary wykutej w skale podłoża. Pośrodku pieczary znajduje się niewielki szyb, którego przeznaczenie, podobnie jak tak wielu innych elementów Wielkiej Piramidy, jest nieznane. Z tego ciasnego i przyprawiającego o klaustrofobię pomieszczenia biegnie kolejny tunel, który po niewielu metrach kończy się nagle, okazując się ślepym zaułkiem – znów jakby budowniczowie, czy raczej Cheops, zmienili zdanie.

Wróćmy do korytarza prowadzącego w dół. Wydaje się, iż upłynęły ponad trzy tysiące lat, zanim ktoś odkrył, że mniej więcej na trzydziestym metrze jego długości stromo w górę odchodzi inne przejście. Opowiada się na przykład, że jego istnienie wyszło na jaw dopiero z początkiem IX

wieku, kiedy to Al-Mamun, panujący w latach 813–833 kalif z dynastii Abbasydów, polecił zespołowi robotników wykuć tunel zwiadowczy w północnej ścianie piramidy. Zaatakowali oni budowlę na poziomie gruntu, poniżej – jak dziś wiemy – ukrytego wcześniej wejścia do tego korytarza. Szczęśliwym trafem – a w tej sytuacji Al-Mamun i jego ludzie mieli niezwykłe szczęście – ich tunel doszedł do niego akurat w punkcie, w którym znajdowała się potężna granitowa płyta mająca ukryć wejście do korytarza prowadzącego w górę; płytę tę starożytni budowniczowie wpasowali pomiędzy sąsiednie bloki, a następnie zamaskowali wapienną okładziną, by wyglądała jak one.

Mówi się, że coś jest zbyt dobre, aby było prawdziwe, kiedy więc dowiadujemy się, że kopaczom przydarzyło się akurat trafić w odpowiednie miejsce, też jesteśmy skłonni powątpiewać w ich łut szczęścia. Badań Al-Mamuna nie znamy z relacji współczesnych, lecz ze sporządzonych dopiero setki lat później, toteż zarówno cała ta opowieść, jak i jej wiarygodność wciąż są przedmiotem dyskusji.

Nie umniejsza to w żaden sposób majestatu i tajemniczości Wielkiej Piramidy ani tego, co następnie odkryli ludzie Al-Mamuna. Pnący się w górę korytarz prowadzi prosto aż do serca piramidy, po czym nagle rozszerza się w zapierającą dech w piersiach, szeroką na osiem i pół metra Wielką Galerię. Utworzona z masywnych, precyzyjnie połączonych bloków granitu, stanowi ona wspaniałe ceremonialne przejście prowadzące do równie niezwykłego, przypominającego grobowiec pomieszczenia zwanego Komorą Króla. Znajduje się w niej potężny sarkofag z czerwonego granitu, najwyraźniej przeznaczony na szczątki Cheopsa. Kłopot jedynie z tym, że nigdy nie znaleziono w nim choćby kostki z palca faraona. Nie ma również żadnych śladów ani wiadomości, by w tej komnacie odkryto kiedykolwiek

jakieś złote czy cenne artefakty, czyli wyposażenie grobowe, jakie widzimy w miejscach pochówku innych członków starożytnych egipskich rodów królewskich. Całe pomieszczenie pozostaje upiornie – i niewytłumaczalnie – puste.

Nad Komorą Króla znajduje się pięć pionowo ułożonych niewielkich pomieszczeń, a jeszcze ponad nimi umieszczono kamienny zwornik w kształcie odwróconej litery V zmniejszający obciążenie stropów. Wąski i niski korytarz prowadzący od górnego końca Wielkiej Galerii kończy się ostatnią, tajemną niegdyś komorą. Odkryto ją dopiero wtedy, gdy ktoś wysadził dynamitem ciężką kamienną płytę zamykającą dostęp do niej. Ściany tego dziwnego małego pomieszczenia są pokryte graffiti nabazgranymi w XIX wieku. Pozostała wszakże jedna wiadomość od starożytnych Egipcjan. Jest dziś wyróżniona szeregiem małych czerwonych obramowań i głosi: „Była tu brygada Cheopsa”.

Wąski, poziomy korytarz prowadzi od podstawy Wielkiej Galerii do Komory Królowej. Od Komory Królowej i Komory Króla prowadzą na zewnątrz tak zwane kanały wentylacyjne. Para kanałów wyprowadzona z Komory Królowej kończy się tajemniczymi małymi „drzwiczkami” – ponieważ jednak kanały były badane za pomocą robota, nikt nie wie, co, i czy w ogóle coś – leży za nimi. Czy drzwiczki ukrywają wejście do prawdziwych grobowców zawierających mumie króla Cheopsa i jego królowej oraz dwoiste nagromadzenie bajecznych skarbów? Czy Komora Króla, Wielka Galeria i cały system odkrytych dotąd korytarzy to tylko skomplikowana przykrywka zbudowana po to, by zamaskować ukrytą jak dotąd prawdę? Możemy tylko spekulować – i mieć nadzieję.

Większość Egipcjan za czasów Cheopsa wierzyła, że ciało faraona musi być zakonserwowane, aby zapewnić nie tylko powodzenie w życiu pozagrobowym jemu samemu, ale także doczesne przetrwanie jego

poddanych. Tak więc zarówno w życiu, jak i w śmierci zdrowie faraona oraz społeczeństwa, którym władał, były ze sobą utożsamiane. W tej mistycznej symbiozie każde z nich potrzebowało drugiego do przetrwania. Wiara ta była w znacznym stopniu ukierunkowana na zachowanie Nilu: jeśli faraon cieszył się dobrym zdrowiem i był zadowolony, to jakby dzięki jakiejś harmonijnej magii Nil dostarczał swoich corocznych darów: optymalnej ilości wody, by nawodnić ziemię, zapewniając jej żyzność i wystarczające na cały rok zbiory.

Co więcej, kiedy faraon szczęśliwie został uniesiony do swojej niebiańskiej rezydencji u boku Ra, mógł szeptać bogu-słońcu na ucho życzenia swojego ludu. Był tylko jeden szkopuł: aby zagwarantować Cheopsowi szczęśliwe życie pozagrobowe, grobowiec musiał być gotów na przyjęcie jego szczątków przed jego śmiercią. Mauzoleum wykończone później byłoby już nieprzydatne. Dlatego właśnie drugi faraon z czwartej dynastii egipskiego Starego Państwa zaangażował tysiące wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych robotników walczących z czasem – i bardzo prawdopodobne, że pracujących na okrągło – by skończyć budowę w terminie. Trzeba było wydobyć w kamieniołomach sześć milionów ton kamienia, przewieźć go na plac budowy, wymierzyć, wyciąć i obrobić bloki, nadając im dokładnie określoną wielkość i kształt, a następnie z nieznaną wcześniej dokładnością umieścić je we właściwych miejscach, by stworzyć budowlę. To znów sugeruje, że siły roboczej nie stanowili niewolnicy zmuszani do pracy przez niegodziwego Cheopsa, lecz dobrowolnie zatrudniający się ludzie pobierający wynagrodzenie w pieniądzu, żywności i kwaterunku.

Fakt, że budowniczowie ci wykonali ten królewski rozkaz w ciągu jakichś dwudziestu pięciu lat, używając jedynie miedzianych, kamiennych i drewnianych narzędzi, sam w sobie jest cudowny. Szczególnie zaś nie do

wiary jest to, że jeśli oszacowania mówiące o 2,3 miliona bloków użytych do budowy Wielkiej Piramidy są poprawne, to rzesza pracowników licząca 20–30 tysięcy ludzi musiała kłaść na swoim miejscu wielkie, średnio dwutonowe bloki po jednym co sześć minut – przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu przez ćwierć wieku. W palącym upale, pod uderzeniami burz piaskowych, niekiedy w ulewie i prawie na pewno przy wybuchających od czasu do czasu epidemiach. W jaki sposób, zważywszy między innymi na oczywistą trudność pracy w nocy, było to możliwe?

„Zwoje piramidy”

W 2013 roku francuski architekt Pierre Tallet dokonał prawdziwie niezwykłego odkrycia. W miejscu zwanym Wadi el-Garf, na wschodnim brzegu Morza Czerwonego, w odległości 240 kilometrów od Gizy, odnalazł w zapieczętowanym schowku najstarsze znane zwoje papirusu. Jeden z tych od dawna ukrytych dokumentów okazał się dziennikiem nadzorcy imieniem Merer. W dwudziestym szóstym roku panowania Cheopsa, czyli w 2563 roku p.n.e., Merer dowodził liczącą dwustu ludzi załogą – jednym z wielu nazywanych w ten sposób konkurencyjnych zespołów, których zadaniem było dostarczanie kamienia na budowę Wielkiej Piramidy. Dowiadujemy się od niego, że wraz ze swoimi ludźmi regularnie udawał się do Tury, jakieś 13 kilometrów od Gizy, aby wybrać wysokiej jakości bloki wapienia, z którego słynął tamtejszy kamieniołom. Potem załoga własnymi siłami dostarczała je na specjalnie wybudowane łodzie, skąd były wysyłane na plac budowy.

Ponieważ starożytni Egipcjanie uważali, że setek wielotonowych bloków kamiennych nie da się transportować lądem – warto to rozważyć w związku ze Stonehenge – archeolodzy są obecnie przekonani, że Cheops

rozkazał zbudować wraz ze wszystkim innym nowy system kanałów. Ten zdumiewający cud techniki kończył się portem położonym tuż przy piramidzie. W pobliżu Cheops kazał też wznieść pierwsze na świecie dwukondygnacyjne bloki mieszkalne, by pomieścić w nich armię swoich robotników; aby ich wyżywić, uruchomił produkcję chleba na skalę prawdziwie przemysłową, a przy okazji doprowadził do olbrzymiego rozwoju egipskiego rolnictwa.

Monumentalne innowacje Cheopsa obejmowały również budowę rozległej sieci połączeń komunikacyjnych, w tym mola w Wadi el-Garf, które obsługiwało pierwszy na świecie duży sztuczny port. Przysyłano tu z Synaju cenną miedź potrzebną do wykonywania dłut do wycinania kamienia; drewno przychodziło z Libanu, turkusy być może z Afganistanu. Granit natomiast, z którego zbudowano Wielką Galerię oraz grobowiec, transportowano Nilem z położonego w górze rzeki Asuanu.

Czy całą tą gorączkową aktywnością Cheops doprowadził starożytny Egipt do bankructwa? Czy ludzie przymierali głodem, a pracowników odrywano od ich własnych gospodarstw i poletek, by trudzili się przy nowej infrastrukturze? Nic podobnego. Wszystkie pomysły Cheopsa – w tym także ustanowienie ogromnej biurokracji – razem wzięte sprawiły, że ten niezwykły władca uruchomił pierwszą na świecie gospodarkę przemysłową na wielką skalę, budując nie tylko własne mauzoleum, ale także, jak można twierdzić, fundamenty późniejszego nowoczesnego Egiptu.

W jaki sposób w czasie krótszym niż dwieście lat starożytni Egipcjanie przeszli od budowania z suszonych cegieł nieskomplikowanych, „schodkowych” piramid zwanych mastabami (z arabskiego „ława”), takich jak na przykład piramida króla Dżesera zbudowana w Sakkarze w 2750 roku p.n.e., do monumentalnej, wysoce złożonej kamiennej architektury Wielkiej Piramidy? Okres ten nie wydaje się dość długi na tak olbrzymi

skok technologii i wyobraźni. Dlatego właśnie niektórzy są przekonani, że budowniczowie piramid musieli korzystać z czyjejś pomocy. Jedna z takich pomysłowych, choć niepotwierdzonych koncepcji głosi, że Cheopsowi pomogli ukończyć pracę starożytni mentorzy – „Starzy”, lecz dowody ich istnienia i nadzwyczajnej wiedzy są dziś dla nas właściwie utracone.

Przechodząc do mniej fantastycznych wyjaśnień, warto zwrócić uwagę, że jedną z przyczyn skokowego rozwoju architektury mogło być lepsze zrozumienie matematyki. Wielka Piramida została zaprojektowana w formie pięciościanu o podstawie kwadratu i czterech ścianach w postaci równobocznych trójkątów nachylonych pod jednakowym kątem 51,8 stopnia. Kąt ten jest określony przez stosunek wysokości piramidy do promienia okręgu dokładnie obejmującego kwadratową podstawę. No cóż, to sprytne.

W jaki sposób budowniczym udawało się tak precyzyjnie wycinać ukośne bloki przeznaczone na zewnętrzną powierzchnię piramidy, zwłaszcza gdy pracowali w takim pośpiechu? I tu znów odpowiedź wskazuje na znakomite wykorzystanie matematyki. Posługując się geometrią i trygonometrią, budowniczowie stwierdzili, że wystarczy dokonywać tylko dwóch pomiarów: 14 jednostek w poziomie i 11 jednostek w pionie, aby zagwarantować, że wszystkie kamienie będą zeskosowane w dokładnie taki sam sposób, dając piramidzie doskonale jednorodne nachylenie odrobinę mniejsze od 52 stopni. Dla porównania: jest to o dobre 15 stopni więcej niż nachylenie zeskoku dzisiejszej przeciętnej skoczni narciarskiej.

Kiedy bloki były już wycięte, w jaki sposób ustawiano je na miejscach? Herodot ma coś do powiedzenia również w tej sprawie:

> Zbudowano tę piramidę w taki sposób: w odstępach, które jedni schodami, drudzy stopniami nazywają. Po zrobieniu pierwszego odstępu dźwigali resztę kamieni w górę machinami, które sporządzili z krótkich drewien, unosząc głazy z ziemi na pierwszy rząd odstępów. Ilekroć kamień wydostał się na ten rząd, kładziono go na inną machinę, która stała na pierwszym rzędzie stopni, a z tego wyciągano go za pomocą tej innej machiny na drugi rząd. Ile bowiem było rzędów stopni, tyle było machin, albo też przenoszono tę samą machinę, ponieważ była jedyna i łatwa do niesienia, na każdy szereg, ilekroć z niej kamień wyjęli (wolę podać oba sposoby, jak o nich opowiadają). Najwyższa część piramidy naprzód została ukończona, następnie wykonali przylegające do niej części, wreszcie wykończyli przyziemne i najniższe części***.

Jeśli brzmi to niejasno, to dlatego, że właśnie nie jest jasne. Skoro budowniczowie najpierw „zrobili pierwszy odstęp”, jak to możliwe, że „najwyższa część piramidy naprzód została ukończona”?

Niektórzy badacze uważają, że gotowe bloki unoszono w górę po specjalnie zbudowanej rampie prowadzącej z portu na rosnącą piramidę, posługując się systemem drewnianych sań, wałków, lin i szyn – oraz siłą mnóstwa ludzkich mięśni. Całkiem możliwe, że jeśli rzeczywiście tak było, starożytni Egipcjanie smarowali sanie i szyny tłuszczem zwierzęcym, podobnie jak być może robili budowniczowie Stonehenge. Inni przekonują, że budowa rampy niezbędnej wielkości i kształtu pochłonęłaby więcej czasu i wysiłku niż zbudowanie samej piramidy, toteż wykluczają tę możliwość. Jednym z nowszych i bardziej pomysłowych rozwiązań tej szczególnej zagadki jest koncepcja, w myśl której ze starannie wyciętych bloków zbudowano jedynie zewnętrzne powierzchnie piramidy, podczas gdy wnętrze wypełniono odpadami i gruzem powstałym podczas obróbki

kamienia. Wyjaśniałoby to również, dlaczego w pobliżu Wielkiej Piramidy nie zalega gigantyczna sterta kamiennych odpadów – chyba że Cheops kazał je wszystkie przewieźć gdzie indziej, co znów kosztowałoby mnóstwo czasu i wysiłku.

Celując w gwiazdy

Z uwagi na olbrzymią wielkość i wagę granitowych płyt, z jakich zbudowano grobowiec faraona i wiodący do niego ceremonialny korytarz, kuszący jest domysł, że budowniczowie zaczęli od tych konstrukcji, a następnie obudowali je resztą piramidy. W przeciwnym razie czy możemy uwierzyć, że po ukończeniu tej gigantycznej budowli kamiennej jako litej całości ręcznie wycinali w niej korytarze, Wielką Galerię i sam grobowiec, pracując wewnątrz piramidy, potem w jakiś sposób wciągnęli do środka olbrzymie bloki granitu, umieścili je na właściwych miejscach i tak zbudowali ostateczny kompleks grzebalny? Jedna piramida, mnóstwo zagadek.

Niektórzy komentatorzy są przekonani, że ułożenie trzech głównych piramid bezpośrednio i świadomie odzwierciedla rozmieszczenie pewnych gwiazd na niebie w czasach budowy piramidy czy nawet w okresach dawniejszych. W myśl tej teorii piramidy w Gizie są ustawione na swój sposób nie tyle po to, by pomóc faraonom dostąpić boskiego przeznaczenia, ile by stanowić coś w rodzaju gigantycznego astronomicznego budzika. Ich układ ma być rzekomo zapisem minionych katastrof, które dotknęły Ziemię – na przykład ostatniego zlodowacenia – i ostrzegać przed takimi zjawiskami w przyszłości; znów tu jednak wkraczamy w krainę spekulacji.

Nie ma jednak wątpliwości, że dwa wąskie „kanały wentylacyjne” wychodzące ukośnie w górę z Komory Króla przebijają zewnętrzną

powłokę piramidy i wydają się celować w niebo. Kanał południowy zdaniem niektórych kieruje bezpośrednio ku Alnilamowi, środkowej gwieździe w pasie Oriona. Ma to rzekomo utożsamiać Alnilama z Ozyrysem, egipskim bogiem śmierci, zmartwychwstania i płodności. Kanał północny celuje podobno w gwiazdę Alfa Draconis w konstelacji Smoka.

„Teoria korelacji z Orionem” głosi, że wszystkie trzy większe piramidy w Gizie odpowiadają Alnitakowi, Alnilamowi i Mintace, trzem gwiazdom składającym się na pas Oriona. Przy takim spojrzeniu na sprawy Sfinks reprezentuje konstelację Lwa, a Nil odpowiada Drodze Mlecznej. Choć koncepcja ta jest intrygująca, to twierdzenie, że odpowiednie uporządkowanie rzeczywiście występuje, jest przedmiotem gorącej debaty, a wielu egiptologów i naukowców stanowczo je odrzuca.

Nie brakuje innych teorii na temat znaczenia Wielkiej Piramidy. Niektórzy „piramidolodzy” spekulują, że są w niej zakodowane przepowiednie ważnych wydarzeń historycznych. Należą do nich wyjście Izraela z Egiptu, ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa i wybuch pierwszej wojny światowej. Jeśli mierzyć upływ czasu tak zwanym calem piramidowym, to Wielka Piramida ma rzekomo przestrzegać również przed nadchodzącym Armagedonem. Jeden cal brytyjski w tym systemie obliczeń jest równy jednemu rokowi słonecznemu.

Brak jakichkolwiek szczątków Cheopsa skłonił niektórych badaczy do spekulacji, że Wielka Piramida w rzeczywistości nigdy nie miała być jego mauzoleum, lecz akumulatorem energii kosmicznej lub czymś w rodzaju skarbnicy starożytnej mądrości.

Aż do niedawna wielu badaczy uważało, że otwarta przestrzeń zajmuje mniej niż 0,1 procent wnętrza piramidy, podczas gdy ponad 99,9 procent

stanowi lita skała. Nie wiadomo, czy tak jest w istocie, niemniej z końcem 2017 roku dr Kunihiro Morishima i jego koledzy z uniwersytetu w Nagoi w Japonii ogłosili, że odkryli w sercu Wielkiej Piramidy nową, nieznaną wcześniej pustkę wielokrotnie większą od komory grobowej Cheopsa. Jeśli się to potwierdzi, będzie to zdumiewające odkrycie.

Zespół badawczy posłużył się przełomową techniką naukową nazywaną radiografią mionową, aby przeprowadzić nieinwazyjne badania wewnętrznej struktury piramidy. Miony – subatomowe cząstki stanowiące produkt uboczny promieniowania kosmicznego – są tylko częściowo absorbowane przez litą skałę. Oznacza to, że można ich użyć do stworzenia czegoś w rodzaju zdjęcia rentgenowskiego budowli kamiennych. Zespół donosi, że zastosowanie tej techniki obrazowania do Wielkiej Piramidy przyniosło niezwykły wynik: bezpośrednio nad Wielką Galerią znajduje się duża pusta przestrzeń.

Przekrój poprzeczny tej długiej na przynajmniej 30 metrów pustki wskazuje, że ma ona podobną objętość jak położona niżej Wielka Galeria i według pierwszych badań biegnie z grubsza równolegle do niej. Nikt jak dotąd nie wie, co i czy w ogóle coś zawiera; nie jest też jeszcze całkiem pewne, czy przestrzeń ta ma układ horyzontalny, czy jest nachylona. Nikt wreszcie nie potrafi powiedzieć, dlaczego ją stworzono. Czy jest to po prostu „komora odciążająca”, mająca zmniejszyć ciężar konstrukcji? Czy okaże się, że miała jakieś inne, bardziej ekscytujące zadania? Twierdzi się również, że projekt ten, zwany ScanPyramids, pozwolił odkryć drugą, mniejszą pustkę w kształcie korytarza za północną ścianą piramidy.

Słynny egiptolog, archeolog i były egipski minister ds. zabytków starożytnych dr Zahi Hawass jest jednym z czołowych na świecie ekspertów od Wielkiej Piramidy. Hawass nie podziela entuzjazmu, jaki wywołało odkrycie nowych pustek. Powiedział on, że spotkawszy się

z niektórymi naukowcami realizującymi projekt i zapoznawszy się z ich wnioskami, poinformował ich, iż „nie jest to nowe odkrycie”.

Dr Morishima replikuje, że pustka „aż dotąd czyli przez 4500 lat od zbudowania piramidy, nie była nikomu znana”. Dodaje, że „duża pustka jest całkowicie zamknięta” i cokolwiek znajdowałoby się wewnątrz niej, byłoby z tego powodu „nietknięte ręką ludzką od wybudowania piramidy”.

Niezależnie od tego, czyje zdanie się potwierdzi, z pojawianiem się coraz bardziej wyrafinowanych technik badawczych, takich jak obrazowanie mionowe i laserowe skanowanie powierzchni ziemi, nauka rzuca nowe światło na starożytne budowle.

Władze egipskie nie zgadzają się zasadniczo na żadne inwazyjne odwierty w głąb piramidy, być może jednak zezwolą na wykonanie otworu o średnicy niecałych czterech centymetrów, przez który można by wprowadzić do mniejszej „pustki korytarzowej” – zakładając oczywiście, że istnieje – maleńki złożony sterowiec. Wewnątrz pomieszczenia ten powietrzny zwiadowca zostałby napełniony gazem i obleciałby je, a zainstalowana na nim kamera wykonywałaby zdjęcia. Latającego robota opróżniono by następnie z gazu, wyciągnięto przez ten sam otwór i zbadano zebrane przez niego materiały. Czy znajdzie jakieś skarby albo „cudowne rzeczy”? Czy okaże się po prostu, że jest tam tylko mnóstwo nagrzanego powietrza? Stoimy być może u progu jakiegoś nowego wielkiego odkrycia – trudno jednak wątpić, że gdyby król Cheops miał w tej sprawie coś do powiedzenia, o wiele bardziej wolałby, aby istotna tajemnica piramidy pozostała nietknięta.

---

* Herodot, *Dzieje*, tłum. S. Hammer, Warszawa 1954, s. 174.

** Tamże, s. 175–176.

*** Tamże, s. 175.

STONEHENGE

Wybierzmy się teraz w podróż w przeszłość do późnego neolitu i skupmy się na okresie około 2500 roku p.n.e., kiedy to kamień w każdej postaci budził mistyczną cześć nie tylko w Brytanii czy Europie, ale na całym świecie. Nic nie świadczy o tym lepiej niż Stonehenge, światowej sławy monument wzniesiony na równinie Salisbury, rozciągającej się na 780 kilometrach kwadratowych połaci rzadko zaludnionej ziemi na środkowym zachodzie południowej Anglii. Na obszarze tym znajdują się siedliska zagrożonego motyla modraszka adonisa (*Polyommatus bellargus*); można też tam znaleźć mnóstwo rzadkich brytyjskich roślin, takich jak storczyk drobnokwiatowy (*Neotinea ustulata*), leniec *Thesium humifusum*, marzanka pagórkowa (*Asperula cynanchica*), przytulia szorstkoowockowa (*Galium pumilum*) i czarcikęs łąkowy (*Succisa pratensis*). Mniej więcej połowę tej przestrzeni zajmują obecnie poligony armii brytyjskiej, a brak publicznego dostępu pomaga się utrzymać zagrożonym gatunkom.

Nawet dziś zatem równina ta jest miejscem niezwykłym i szczególnym. A jaka musiała być około czterech i pół tysiąca lat temu, gdy duża wspólnota rozmaitych ludzi postanowiła nadać jej jeszcze większe znaczenie? I dlaczego ludzie ci wybrali ten akurat otwarty i monotonny spłacheć pofalowanych wapiennych wzgórz? Czy dlatego – jak uważają niektórzy eksperci – że dwa spośród największych monolitów, w tym tak zwana Kamienna Pięta, leżały już w tym miejscu od końca ostatniego zlodowacenia, pozostawione przez cofający się lodowiec? Koncepcja ta wydaje się sensowna, ale wymaga jeszcze potwierdzenia.

Najnowsze dowody mocno sugerują, że mniejsze kamienie składające się na Stonehenge, tak zwane niebieskie kamienie, zostały wydobyte ze skalnych wychodni w Craig Rhos-y-felin i Carn Goedog w Pembrokeshire w zachodniej Walii i stamtąd przetransportowane. Te naturalnie występujące kolumny – o których archeolodzy sądzą, że zostały odłamane od skały za pomocą drewnianych klinów pęczniejących pod wpływem walijskiego deszczu – ważą średnio po parę ton. Tyle co rodzinny samochód, tylko że w odróżnieniu od samochodu nie mają kół. I mają postać wielkich, niekształtnych kęsów. Przemieszczenie ich na jakąkolwiek odległość było zatem niezmiernie trudne. A jednak ludziom, którzy zbudowali Stonehenge, udało się w jakiś sposób przetransportować kilkadziesiąt tych skalnych monstrów ponad 225 kilometrów z północnej części wzgórz Preseli na równinę Salisbury, a następnie rozmieścić je w układzie dla nich znaczącym, lecz dla nas wciąż tajemniczym.

Jak tego dokonali? Niektórzy uważają, że głazy ładowano na drewniane palety, które następnie były po prostu ciągnięte przez zespoły ludzi. Według innej koncepcji były wleczone siłą wołów lub ludzi na saniach lub po rolkach smarowanych tłuszczem zwierzęcym. Zgodnie z tym scenariuszem przeciągano je w górę i w dół przez wzgórza po drodze aż do dzisiejszego Milford Haven, stamtąd transportowano morzem do obecnego Bristolu, a następnie siecią rzek przewożono tratwami aż do Stonehenge. Czy ktoś chciałby spróbować przewieźć cztero- czy pięciotonowy głaz po Kanale Bristolskim na jakiejś prymitywnej drewnianej łodzi, przewalić go na tratwę, mając nadzieję, że żadna z tych jednostek pływających jakimś cudem nie zatonie po drodze; a wreszcie, dotarłszy z nim do brzegów Avon w pobliżu Stonehenge, ręcznie dostarczyć na miejsce budowy?

W żadnym z wchodzących w grę miejsc nie znaleziono jak dotąd jakichkolwiek śladów starożytnych łodzi z pierwszego okresu budowy

Stonehenge, ale ponieważ były drewniane, mogły przetrwać jedynie pod warunkiem, że zostałyby zakonserwowane w czymś takim jak torf. Jednostki te, jeśli istniały, musiałyby jednak być dość wielkie i solidne, by przewieźć cały ten ciężar, zachowując stabilność – i to samo dotyczy ewentualnych tratw. Jeśli budowniczowie łodzi nie odkryli sztuczki polegającej na użyciu balastu w celu zwiększenia stabilności, to nawet na spokojnych wodach ryzyko wywrotki musiało być wielkie. Zważywszy na to, wydaje się bardziej prawdopodobne, że monolity były na całym dystansie transportowane lądem. Wymagało to gigantycznego wysiłku i wielkich umiejętności, toteż oznaczałoby, że dziesiątki – o ile nie setki – ludzi pracowały na zmianę całymi miesiącami, jeśli nie latami.

Wydaje się przynajmniej, że ostatnie chemiczne porównania „niebieskich kamieni” ze Stonehenge z wychodniami Craig Rhos-y-felin i Carn Goedog wykluczają teorię, zgodnie z którą te konkretne kamienie zostały naniesione w pobliże Stonehenge przez lodowiec podczas ostatniego zlodowacenia.

Monument, którego niezwykłe pozostałości dziś widzimy, narodził się około 3000 roku p.n.e. jako kolista konstrukcja złożona z rowu i wału o wewnętrznej średnicy 85 metrów przebita dwoma wejściami: jedno z nich, północno-wschodnie, miało szerokość około dziesięciu metrów, mniejsze zaś południowe było szerokie na pięć metrów. W tym samym czasie wokół wewnętrznego obwodu tej pierwotnej budowli wykopano 56 dołów zwanych jamami Aubreya (od nazwiska Johna Aubreya, miłośnika starożytności i uczonego, który jako pierwszy odnotował je w 1666 roku). Wiele z nich zawierało pozostałości kremacji i istnieją dowody, że u podłoża wału, głównie po stronie wschodniej, znajduje się więcej pochówków ciałopalnych.

Mało co w Stonehenge nie budzi sporów, zwłaszcza wśród ekspertów, powszechnie jednak uważa się, że począwszy od roku 2900 p.n.e., wewnątrz pierwotnej konstrukcji złożonej z rowu i wału zaczęto stawiać kamienie – najpierw „niebieskie”, co znów sugeruje ich szczególne znaczenie w całej budowli. Ułożono je w dwóch bliźniaczych koncentrycznych szeregach, po jakieś czterdzieści w każdym, na kształt podwójnej podkowy otwartej w kierunku południowo-zachodnim. W tym samym czasie w miejscu, w którym podkowa z „niebieskich kamieni” zamknęłaby się, gdyby miała utworzyć owal, ustawiono pierwszy z jeszcze większych sarsenów, tak zwany Kamień Ołtarzowy. (Sarsen jest to głaz piaskowcowy; w odróżnieniu od „niebieskich kamieni” sarseny występują w pobliżu Stonehenge – wiele takich bloków skalnych leży na powierzchni ziemi zarówno na równinie Salisbury, jak i na wzgórzach Marlborough Downs).

Cztery dalsze monolityczne sarseny zwane Kamieniami Stacyjnymi umieszczono następnie w zgrabnym prostokącie w odległości jakichś pięciu metrów od obwodu kręgu. Wydaje się, że ich rozmieszczenie jest dopasowane do wschodu słońca podczas przesilenia letniego, zachodu słońca podczas przesilenia zimowego oraz maksymalnej północnej deklinacji księżyca.

Skoro ludzie przytransportowali „niebieskie kamienie” aż z zachodniej Walii, to – pomijając zagadkę, jak to zrobili – pojawia się jeszcze ważniejsze pytanie, mianowicie d l a c z e g o to zrobili? Dlaczego wybrali akurat te monolity, nie bacząc na odległość i teren, który szczególnie utrudniał zadanie ich przetransportowania? Dlaczego te walijskie „niebieskie kamienie” były tak ważne dla starożytnych Brytyjczyków, że cenili je bardziej niż inne?

Jedna z teorii głosi, że wierzono, iż „niebieskie kamienie” mają moc uzdrowicielską, zwłaszcza polane wodą. Jeśli to prawda, Stonehenge jawiłoby się nam jako coś w rodzaju gigantycznego mistycznego ośrodka leczniczego, do którego zewsząd przybywali ludzie chcący poddać się kuracji. Inni wskazują na muzyczne właściwości „niebieskich kamieni” – mówi się, że uderzone w pewien sposób wydają niski, dźwięczny odgłos przypominający trochę bicie współczesnego dzwonu kościelnego, a dźwięk ten mógł służyć do zwoływania ludzi, aby przybyli w to miejsce i wzięli udział w jakimś obrzędzie, obradach wspólnoty lub święcie.

Czy gdzieś pomiędzy Walią a Stonehenge wzniesiono jakiś wcześniejszy, pośredni krąg z tych samych „niebieskich kamieni”? Zaginiony monument, który został następnie rozebrany, a kamienie wykorzystano ponownie? Oznaczałoby to przynajmniej, że megality te przenoszono na tym zniechęcająco długim dystansie w dwóch etapach, a nie jednorazowo.

Czy ludzie budujący Stonehenge wierzyli, że poruszając te kamienie, w jakiś sposób ożywiają ich ducha? Ducha, który nadał im magiczną moc? Wtedy wciąż nasuwałoby się pytanie: dlaczego akurat te kamienie? Podobnie jak w wielu innych sprawach dotyczących tego znanego na całym świecie obiektu pytań jest mnóstwo, ale niewielu ludzi zgadza się co do odpowiedzi. Wiemy jednak, że Stonehenge nie pojawiło się nagle, nie wzniosło się w pełni ukształtowane w ciągu życia pokolenia czy dwóch, jak to było w przypadku Wielkiej Piramidy. Zostało wbudowane w znacznie szerszy i znacznie starszy krajobraz obrzędowy – obfitujący w inne kamienne i drewniane budowle, drogi procesyjne oraz okrągłe i podłużne kurhany, nie wspominając o dziesiątkach starożytnych cmentarzysk i wielu znacznej wielkości, starannie zbudowanych zagrodach.

Kilka dołów – w trzech z nich były osadzone duże drewniane „słupy totemiczne” – wykopano w pobliżu Stonehenge pomiędzy rokiem 8500 a 7000 p.n.e., na długo przed rozpoczęciem budowy kamiennych struktur, nikt jednak nie jest pewien, czy te dawne ślady mają bezpośredni związek z późniejszym monumentem. Setki kości zwierzęcych i okruchów krzemiennych mówią nam, że w tym samym wczesnym okresie starożytni łowcy żyli bardzo blisko miejsca, w którym ostatecznie wybudowano Stonehenge, i niedaleko od Blick Mead, strumienia stanowiącego pobliskie i niezawodne źródło świeżej wody. Ostateczne miejsce budowy kręgów mogło się zatem znajdować na szlaku wędrówki turów; były to zwierzęta podobne do byków, wielkie – mięsem jednego tura mogło się pożywić nawet do dwustu ludzi, i groźne – sam Juliusz Cezar opowiada, że podchodził do nich z należnym respektem.

Strumień Blick Mead sam w sobie jest bardzo dziwny i dość szczególny. W zasilanym przez niego jeziorku żyje specyficzny gatunek glonów porastających kamienie i skały. Wydobyte na powierzchnię glony nabierają efektownych, jaskrawych czerwonaworóżowych odcieni. Całkiem możliwe, że to zdumiewające zjawisko, które dla przednaukowego oka musiało wyglądać na magię, przyczyniło się do tego, iż ludzie uznali, że to właśnie miejsce zasługuje na rytuał, celebrację i wzniesienie odpowiedniej dziękczynnej budowli z kamienia.

Szerzej pojęty obszar Stonehenge w ciągu kolejnych kilku tysięcy lat stale ewoluował, począwszy od wspomnianej już budowli ziemnej w postaci wału i rowu oraz konstrukcji drewnianych. Do roku 3500 p.n.e. zbudowano większy kursus, czyli Stonehenge, oraz mniejszy. Te gigantyczne wydłużone budowle ziemne, być może drogi procesyjne, leżą odpowiednio dokładnie na północ i na północny zachód od centrum. (Jeden z dawniejszych komentatorów przypuszczał, że większy kursus mógł być

dawnym starożytnym torem wyścigowym…). Zbudowano też w pobliżu kolejną wielką, otoczoną wałem konstrukcję ziemną, nazywaną Piłką Robina Hooda. Nie jest jasne, czy te dawniejsze monumenty mogły wpłynąć na lokalizację samego Stonehenge, lecz wydaje się to prawdopodobne.

Dowody sugerują, że około 2500 roku p.n.e. Stonehenge przebudowano – znów z nieznanych powodów: „niebieskie kamienie” przeniesiono z ich pierwotnych pozycji w kręgu i rozpoczęto pracę nad olbrzymim kręgiem sarsenów. Wyobraźmy sobie przygotowanie trzydziestu czterometrowych skalnych monolitów ważących 6–50 ton, a następnie ustawienie ich w kręgu o średnicy 30 metrów. Trzeba przy tym zrobić to bez tego wszystkiego, co dziś wydaje się nam w oczywisty sposób dostępne – bez metalowych narzędzi, elektryczności czy takich przydatnych współczesnych urządzeń jak dźwigi. A jednak budowniczowie zdołali się jakoś uporać z tym zadaniem, a następnie na wierzchołkach pionowych płyt umieścili sześciotonowe kamienne nadproża, zamocowując je na czopy, jak to wciąż się robi w dzisiejszym ciesielstwie. Nadproża te utworzyły przebiegający przez cały krąg ciągły kamienny kapitel czy architraw, częściowo już niestety niezachowany. Współczesna doktryna konserwacji zabrania wprowadzania jakichkolwiek zmian w kamiennej budowli, czy nie byłoby jednak wspaniale zobaczyć krąg znów kompletny, w całym jego majestacie?

Wielki krąg sarsenów stał się, można by powiedzieć, czymś w rodzaju obramowania czy oprawy dla wzniesionych następnie wewnątrz niego pięciu już całkiem gigantycznych sarsenowych trylitów. Były one pierwotnie rozstawione na kształt podkowy, podobnie jak początkowo „niebieskie kamienie”. Tym razem jednak otwierała się ona ku północnemu wschodowi, w stronę nowego wejścia.

Największy, czyli Wielki Trylit, ustawiony w południowo-zachodniej ćwiartce, pnie się na potężne 7,3 metra. Każdy z jego bliźniaczych filarów, największych spośród głazów użytych w Stonehenge, waży oszałamiające 50 ton. Archeolodzy uważają, że te olbrzymie sarseny pochodzą z obszaru Marlborough Downs odległego o jakieś 32 kilometry na północ. Nawet jeśli nie musiały przebyć tak długiej drogi jak „niebieskie kamienie", to przemieszczenie tych potężnych bloków musiało stwarzać swoiście ogromne trudności wielu zapewne setkom ludzi, którzy je transportowali.

Układ „niebieskich kamieni" zmieniano w różnych czasach, aż stanęły ostatecznie w konfiguracji, jaką dziś widzimy.

Droga procesyjna zwana dziś Aleją również powstała w ostatniej fazie budowy, a łączy ona Stonehenge z odległą o niecałe dwa kilometry na południowy wschód rzeką Avon. Podobnie jak pewne elementy kręgu, w tym słynna Kamienna Pięta położona 20 metrów od północno-wschodniego wejścia, ostatnie 500 metrów Alei leży na osi wschodu słońca podczas przesilenia letniego. Prowadziła ona celebransów lub uczestniczących w obrzędach czcicieli – jeśli rzeczywiście było to miejsce kultu – w górę i do wnętrza kręgu.

Jedno z wielu pozostających bez odpowiedzi pytań, jakie musimy sobie zadawać w związku ze Stonehenge, jest następujące: dlaczego przybywali tu ludzie z odległych miejsc, nawet spoza Wysp Brytyjskich? Wiemy bowiem z całą pewnością, że tak było. Jednym z przybyłych był chłopiec pochowany w pobliżu na terenie Boscombe Down. DNA tego młodego mężczyzny, liczącego około czternastu lat w 1550 roku p.n.e., kiedy umarł, ujawnia, że urodził się gdzieś w basenie Morza Śródziemnego, w południowej Francji lub w Hiszpanii czy nawet, jak sądzą niektórzy eksperci, gdzieś w dzisiejszej Grecji. Inne ludzkie szczątki sugerują mocne powiązanie z ludźmi ze współczesnej Walii, co zapewne nie jest już tak

zaskakujące, skoro pamiętamy, że „niebieskie kamienie” przybyły z terenów dzisiejszego parku narodowego Pembrokeshire Coast.

W 2002 roku trzy kilometry od Stonehenge odkryto grób mężczyzny, nazwanego Łucznikiem z Amesbury, który żył około 2300 roku p.n.e. Jego ciało wraz z wyposażeniem grobowym starannie ułożono w specjalnie zbudowanej drewnianej komorze, którą następnie przykryto niskim kopcem ziemnym. Grób ten, uznawany za jedno z najważniejszych w Europie odkryć archeologicznych, zawierał ponad sto obiektów, o wiele więcej niż inne pochówki z tego okresu. Wśród wielu skarbów wydobyto na światło dzienne osiemnaście grotów strzał i dwa używane przez łuczników ochraniacze nadgarstka, cztery kły dzika, 122 narzędzia krzemienne, zestaw do obróbki metalu, w tym kamienne kowadło, oraz trzy miedziane noże. Niewykluczone, że noże te były próbkami dokumentującymi nową wówczas i stwarzającą wrażenie magii umiejętność wytapiania i obróbki metalu, które człowiek ów pokazywał, by otrzymać nowe zamówienia. Znalezione w grobie piękne ozdoby włosów są dotąd najstarszymi złotymi przedmiotami odkrytymi w Wielkiej Brytanii. Całość tego cudownego znaleziska można zobaczyć na własne oczy w muzeum w Salisbury.

Badania zębów Łucznika pokazały, że urodził się poza Wyspami Brytyjskimi, gdzieś w Alpach, najprawdopodobniej na terenie dzisiejszej Szwajcarii. Brakowało mu lewej rzepki, co mogło powodować, że utykał, a w szczęce miał dziurę – pozostałość po zapewne niezwykle bolesnym ropniu zębowym. Obok niego pochowano jego syna – lub bardzo bliskiego krewnego – który wraz z nim przybył z tego samego regionu Alp. W czasach gdy epoka kamienia ustępowała stopniowo erze brązu, ludzie zajmujący się obróbką metali cieszyli się szczególnym statusem, co może wyjaśniać niezwykłą pieczołowitość, z jaką pochowano Łucznika.

Wydaje się, że śmierć i obrzędy pogrzebowe odgrywały ważną rolę w rozwoju Stonehenge. W okolicy znajdują się dziesiątki miejsc pochówku, wśród nich cmentarzysko odkryte w 2017 roku pod polem pszenicy pomiędzy Stonehenge a Avebury. Eksperci uważają, że to nowe i wciąż badane znalezisko, nazwane Domem Umarłych i datowane na lata 3700–3500 p.n.e., było masową nekropolią.

Na pobliskim stanowisku Durrington Walls odkryto prehistoryczną wioskę zamieszkiwaną być może przez budowniczych Stonehenge w głównych fazach powstawania tego obiektu. Znalezione tam ślady sezonowych uczt, podczas których spożywano mięso i produkty mleczne, sugerują, że ludzie przez całe pokolenia budujący krąg i związane z nim monumenty nie byli niewolnikami. Być może pracowali z własnej inicjatywy lub w zamian za utrzymanie. Bardziej romantyczny byłby domysł, że ożywiała ich wspólna myśl wzniesienia duchowego totemu, który stałby przez tysiące lat, oddając hołd ich kulturze i wierzeniom. Gigantyczny kamienny krąg, który przetrwa tysiąclecia, to przecież nie najgorszy sposób, by upamiętnić swoje istnienie. Prawdy nie znamy, niemniej ktoś, kto jako pierwszy przekonał innych, że warto za pomocą dostępnej wówczas prymitywnej technologii zbudować z kamienia potężny kolisty monument, musiał dysponować niezwykłą charyzmą i siłą perswazji. Ukończenie kolejnych wersji Stonehenge zajmowało setki lat i włączało kolejne pokolenia w ciężką pracę. Budowa tego monumentu musiała zatem być zadaniem, które łączyło ludzi w różnym wieku pochodzących z różnych rejonów Wysp Brytyjskich, stanowiąc dla nich wspólny cel. Jeśli chcemy zjednoczyć niejednorodne plemiona i grupy z wszystkich zakątków kraju, to wspólny wysiłek taki jak budowa Stonehenge musi być znakomitą metodą osiągnięcia tego celu.

Dołączmy teraz do Tessy Durbeyfield/d’Urberville i Angela Clare’a, dwóch głównych postaci powieści *Tessa d’Urberville* napisanej w 1891 roku przez zamieszkałego w pobliżu Thomasa Hardy’ego. Kiedy Tessa zamordowała Aleca, człowieka, który ją zgwałcił, oboje z Angelem, uciekając głęboką nocą przed policją, natknęli się na nieznaną im potężną budowlę:

> Nadstawił ucha. Wicher hulając w tej budowli wydawał jakiś żałosny ton, podobny do dźwięku olbrzymiej jednostronnej harfy. Nie słysząc żadnego innego odgłosu Angel wyciągnął rękę i postąpiwszy kilka kroków naprzód, przesunął dłonią po pionowej powierzchni ściany utworzonej z jednolitego, twardego kamienia, bez żadnych spojeń ani gzymsów. Posuwając palce w górę przekonał się, że dotyka olbrzymiego czworobocznego słupa; wyciągnąwszy ramię dalej, poczuł pod ręką inny podobny kształt. W górze, na nieokreślonej wysokości, coś jeszcze bardziej zaciemniało i tak już ciemne niebo; owo coś miało kształt ogromnego architrawu łączącego poziomo dwa słupy. Oboje ostrożnie posunęli się naprzód, a odgłos ich kroków odbijał się głuchym echem o gładkie ściany, najwidoczniej pozbawione zupełnie drzwi i dachu. Tessa, przerażona, z trudem chwytała powietrze, Angel zaś, zaskoczony tym wszystkim, szepnął:
>
> – Co to może być?
>
> Macając wyciągniętymi rękami po obu stronach, natrafili na jeszcze jeden słup, wielki jak wieża, kwadratowy i nieustępliwy podobnie jak pierwsze; za nim na jeszcze inny i znów inny. Całe to miejsce złożone było z samych drzwi i słupów, a niektóre z tych ostatnich połączone były u góry architrawami.
>
> – Prawdziwa świątynia wiatrów! – zauważył Clare*.

Z tego zaś, co nam wiadomo, również świątynia słońca, księżyca i gwiazd. Obserwatorium astronomiczne? Neolityczne miejsce biesiad? Gigantyczna nekropolia? Klinika zdrowia? Europejskie centrum wymiany i interesów? Nie potrafimy sprowadzić cudu tego nadzwyczajnego monumentu do łatwych interpretacji. Dopóki będzie stał, dopóty – jak Angel Clare i Tessa d’Urberville – będziemy się starali rozwikłać jego tajemnice.

---

* T. Hardy, *Tessa d’Urberville*, tłum. R. Czekańska-Heymanowa, Warszawa 1975, s. 505–506.

TEOTIHUACÁN

Była to scena niczym żywcem wzięta z filmu o Indianie Jonesie. W 2003 roku meksykański archeolog Sergio Gómez Chávez, badając starożytne mezoamerykańskie miasto Teotihuacán, natrafił na lej krasowy. Świeżo otwarty po wielu dniach intensywnego deszczu, znajdował się u podstawy świątyni Pierzastego Węża, trzeciej co do wielkości piramidy w tym kompleksie. Chávez, obawiając się, że dziura mogłaby pochłonąć kogoś z tysięcy turystów co roku odwiedzających to miejsce, zaświecił latarką w głąb. Światło ginęło w egipskich ciemnościach. Zaintrygowany Chávez poprosił robotników, aby opuścili go w dół na linie. Znalazłszy się w leju, zdumiał się jak Alicja w Krainie Czarów, przekonał się bowiem, że szyb schodzi coraz niżej i niżej – aż do głębokości, której nie przewidywał. Co więcej, był idealnie okrągły i sprawiał wrażenie, jakby był dziełem ludzkich rąk. Potem, po pewnej chwili jazdy w dół, doszedł go z otchłani okropny odór – omal się od niego nie zadławił. Starając się zignorować ten obezwładniający smród, opuszczał się coraz niżej. Gdy po czternastu metrach takiej jazdy osiągnął dno, stanął oszołomiony, prawie oczekując, że napotka jakieś dziwne, nieznane stworzenie rodem z krainy fikcji: na przykład meksykańskiego szalonego Kapelusznika albo uśmiechniętego Kota z Ciudad Apodaca.

Tymczasem poświecił latarką i odkrył, że szyb rozszerza się w coś jeszcze bardziej niezwykłego. Od miejsca, w którym stał, odchodził w obie strony drugi, poziomy i równie idealnie cylindryczny korytarz. Dwa olbrzymie głazy, niewątpliwie celowo tu ustawione, blokowały ten korytarz

po obu stronach. Chávez zawołał na robotników, aby go wyciągnęli. Potrzebował ich pomocy, aby przesunąć głazy – wyglądało jednak na to, że wysiłek ten opłaci się tysiąckrotnie. Sądząc po tym, co już zobaczył, główny odcinek tunelu za jednym z głazów ciągnął się jakieś sto metrów, łącząc świątynię Pierzastego Węża z Cytadelą. Gdyby rzeczywiście tak było i gdyby starożytni mieszkańcy tego bajecznego miasta ustawili te ogromne przeszkody, aby zagrodzić drogę rabusiom, to jako archeolog miałby już zapewnione światowe uznanie.

Chávez ledwo mógł patrzeć, jak kolejny zespół robotników trudzi się przy oczyszczaniu drogi. Praca zdawała mu się postępować nieznośnie powoli. Wreszcie z głębi szybu rozległo się długo oczekiwane wołanie: „Odsunęliśmy. Może pan schodzić”. Czując się jeszcze bardziej niczym prawdziwy Indiana Jones, Chávez poprowadził wszystkich w głąb korytarza. Jego wstępne domysły się potwierdziły: tunel prowadził prosto pod wielki centralny plac Teotihuacán. Długi na niemal równo sto metrów kończył się czymś zdumiewającym: trzema wykutymi w skale komorami pełnymi skarbów. Chávez natrafił na jedno z najważniejszych współczesnych znalezisk archeologicznych.

Starożytne miasto Teotihuacán, jedno z najczęściej odwiedzanych, najbardziej imponujących i intrygujących stanowisk archeologicznych na świecie, leży jakieś 40 kilometrów na północny wschód od miasta Meksyku. Teotihuacán kwitło przez mniej więcej 800 lat, od roku 100 p.n.e. do 700–800 n.e.; jego całkowita powierzchnia wynosiła 83 kilometry kwadratowe, a liczbę mieszkańców szacuje się na 125 tysięcy. Nikt jednak nie wie z pewnością, kiedy dokładnie i dlaczego ta wysoce rozwinięta metropolia upadła.

Nazwa „Teotihuacán” oznacza najprawdopodobniej „miejsce narodzin bogów”. Starsze od cywilizacji azteckiej o niemal 700 lat miasto zostało

założone na bagnistym obszarze i rozrosło się, obejmując tysiące kompleksów mieszkalnych oraz budynków obrzędowych. Niektóre z nich, podobnie jak współczesne bloki mieszkalne, liczą wiele kondygnacji.

W bogatszych spośród zachowanych mieszkań widzimy ściany ozdobione cudownymi malowidłami przedstawiającymi między innymi onieśmielającą nieco Wielką Boginię. Całkiem możliwe, że była ona głównym bóstwem czczonym w tym mieście-państwie.

Nad szeroką centralną arterią miasta zwaną Drogą Umarłych wznoszą się zdumiewające i imponujące budynki świątynne. Droga przebiega wzdłuż osi północ–południe – podobnie zorientowane są inne monumenty – i łączy świątynię Słońca z Cytadelą, czyli dziedzińcem świątyni Pierzastego Węża. Nieopisanie zdumiewające, majestatyczne kamienne piramidy i platformy miasta były pierwotnie pomalowane na różne odcienie rdzawej i krwistej czerwieni. Są to między innymi piramida Księżyca, piramida Słońca oraz świątynia Pierzastego Węża, czyli Quetzalcoatla, ponadto olbrzymi rynek i wiele mniejszych miejsc kultu. Nad wszystkim wznosi się w tle wielka święta Tłusta Góra – Cerro Gordo.

Powróćmy do odkrycia w tunelu: wśród przedmiotów, które Chávez i jego zespół wydobyli na światło dzienne, wyróżniają się cztery posążki z zielonego kamienia. Przedstawiają jakby małe, wyidealizowane ludzkie istoty – może kapłanów – z jaskrawymi, lśniącymi oczami z kryształu górskiego i szatami dopasowanymi do postaci. Przeszukując swoje komory cudów, Chávez znalazł wielką liczbę pirytowych zwierciadeł, muszli (najwyraźniej mających jakieś szczególne znaczenie) oraz dziesiątki symbolicznych wisiorków. Uważa się, że kapłani czy szamani używali ich w swoich tajemnych obrzędach, korzystając z nich do komunikowania się z innymi światami.

Z tego podziemnego kompleksu wydobyto łącznie ponad 74 tysiące obiektów. Znalazły się wśród nich cudowne rzeźby jaguarów, skrzynia starannie ułożonych skrzydeł żuków, dalsze humanoidalne figurki, wszelkiego rodzaju przedmioty z jadeitu i terakoty, ceramika, biżuteria i kości zwierzęce. Po raz pierwszy od blisko dwóch tysięcy lat światło dzienne ujrzały również dziesiątki znakomicie wykonanych artefaktów z obsydianu: niezwykłe maski, których przeznaczenie nie jest pewne, lecz które mogły spełniać jakieś funkcje pogrzebowe, ozdoby stanowiące być może przedmiot handlu z sąsiednimi miastami, narzędzia i wiele innych.

Nie mniej tajemniczy jest również odkryty w tunelu model krajobrazu, coś w rodzaju starożytnej dioramy. Uważa się, że model ten – z miniaturowymi, ręcznie rzeźbionymi górami i małymi zagłębieniami wypełnionymi płynną rtęcią, przedstawiającymi być może jeziora – w połączeniu z samym korytarzem, w którym się znajduje, odzwierciedla świat podziemny, najniższy z trzech poziomów – niebieskiego, ziemskiego i podziemnego – w którego istnienie mieszkańcy Teotihuacán wierzyli podobnie jak wiele innych ludów w ciągu tysiącleci. W przeciwieństwie jednak do płomienistego i niszczycielskiego piekła chrześcijaństwa podziemny świat Teotihuacán obfitował w wodę oraz był miejscem tworzenia i odrodzenia.

Aby iluzja tego podziemnego świata była jeszcze bardziej przekonująca, budowniczowie zaimpregnowali strop tunelu skrzącym się proszkiem złożonym z pirytu, hematytu i magnetytu. Kiedy budowla była całkiem nowa, ów gwiezdny pył musiał sprawiać na ludziach wrażenie, jakby stali pod prawdziwym sklepieniem niebieskim, a nad ich głowami były widoczne planety i gwiazdy.

Ta dopracowana instalacja – tunel, diorama i cała reszta – jawi się nam jako miejsce obrzędowe, w którym ludzie mogli odkrywać i potwierdzać

swoje założycielskie mity oraz składać ofiary, by ułagodzić przerażające bóstwa Teotihuacán – z pewnością zaś zębatego i żądnego krwi boga burzy, którego wyłupiaste oczy widziały wszystko i który, gdy tylko był z czegoś niezadowolony, mógł miotać pioruny, zsyłać ogień i siać zniszczenie.

Nie wszystko w Teotihuacán budzi podziw. Aby mieć bogów zawsze po swojej stronie i zapewnić miastu prosperity, jego mieszkańcy składali ofiary z ludzi. Setki ofiar – jak się uważa, w większości byli to wzięci w niewolę nieprzyjacielscy wojownicy – zabijano na różne sposoby: ludzi zakopywano żywcem, ścinano, wyrywano im serca albo zatłukiwano ich na śmierć. Są też dowody, że składano rytualne ofiary z różnych zwierząt, między innymi pum, wilków, orłów i jadowitych węży.

Pomimo całej tej codziennej grozy piękno, osobliwość i rzemieślniczy kunszt, jakimi odznaczają się artefakty odkryte w ruinach Teotihuacán, wciąż zachwycają i zdumiewają na równi historyków sztuki, archeologów i laików. Tysiące tych przedmiotów z mozołem wydobyto, oczyszczono i drobiazgowo skatalogowano. Wciąż jednak nie wiemy tyle, ile byśmy chcieli, o pochodzeniu, ekspansji, zasięgu i zniknięciu tej niezwykłej cywilizacji. Kto ją stworzył? Jak ludzie ci zdobyli taką biegłość w zarządzaniu złożoną architekturą kamienną? Kto i dlaczego spalił i zdemolował to miasto około 750 roku?

W północnych i południowych komorach tunelu Cháveza znaleziono również setki glinianych kul otoczonych lśniącą, metaliczną skorupą żółtego jarosytu („złota głupców”, czyli utlenionych pirytów). Nikt nie wie, jakie było przeznaczenie tych dziwnych kul o średnicy od 40 do 130 milimetrów. Podobnie jak tyle innych zagadek Teotihuacán pozostawiają nas one w sferze domysłów.

RYSUNKI Z NAZCA

Olbrzymie wyimaginowane i humanoidalne istoty, gigantyczne kształty geometryczne, proste linie ciągnące się przez wiele kilometrów, dziwacznie wyglądające rośliny, zwierzęta i owady wyryte w wysoko położonym pustynnym krajobrazie południowego Peru… Rysunki z Nazca zaliczają się do najbardziej przejmujących, spektakularnych i tajemniczych dzieł sztuki kiedykolwiek stworzonych przez człowieka. Jedną z najdziwniejszych właściwości tych tajemniczych konturów jest to, że aby ujrzeć je wyraźnie i w całości, widz musi się znaleźć wysoko w powietrzu i spoglądać na nie z góry. Nie da się docenić ich piękna – ani nawet odnaleźć większego sensu w ich zarysach – z poziomu ziemi. W jaki zatem sposób zostały stworzone? Dlaczego? I dla kogo?

Rysunki zajmujące obszar jakichś 450 kilometrów kwadratowych jałowej wyżyny na wybrzeżu Peru, na południe od Limy, zaliczają się do największych tajemnic archeologicznych na świecie. Dlaczego da się je prawidłowo ująć wzrokiem tylko z wysokości i dlaczego tak wiele z nich jest tak olbrzymich? Liczni badacze starali się wyjaśnić pochodzenie i przeznaczenie tych geoglifów. Żadnemu jak dotąd nie udało się przedstawić pełnego wyjaśnienia.

Niektórzy spekulowali, że te niezwykłe figury muszą być dziełem szamanów, którzy w jakiś sposób kierowali ich tworzeniem w toku narkotycznych halucynacji uwalniających jaźń od ciała. Bardziej prozaiczne wyjaśnienie mówi, że starożytni mieszkańcy Nazca, których cywilizacja rozkwitała na tym obszarze w latach 200–700, najpierw

szkicowali dzieła na jakimś materiale pomocniczym, na przykład na welinie, a potem – dość podobnie, jak kreśli się współczesne kręgi zbożowe – przenosili je w powiększeniu na teren, posługując się linami, młotkami i drewnianymi słupkami.

Jest też możliwe, że rysunki z Nazca pełniły jakąś funkcję astronomiczną, służąc albo do ustalania kalendarza zdarzeń kosmicznych, albo do pewnych dawno zapomnianych obrzędów. Mogły być stworzone jako drogi procesyjne dla wielkiej liczby ludzi.

Inni głosili pogląd świadczący o znacznie większej wyobraźni, by nie powiedzieć, prowokacyjny, twierdząc mianowicie, że niektóre linie proste i inne kształty geometryczne są „pasami startowymi” lub lądowiskami stworzonymi przez lud Nazca bądź dla bogów, bądź dla pozaziemskich gości. Głównym zwolennikiem tej koncepcji był niemiecki pisarz Erich von Däniken. W swojej wydanej w 1968 roku książce *Wspomnienia z przyszłości* von Däniken utrzymywał, że wiele starożytnych budowli i artefaktów tak dalece wyprzedzało swoje czasy, iż mogło być stworzone tylko przez istoty spoza naszego świata albo przy ich pomocy.

Stonehenge, Wielka Piramida, *moai* z Wyspy Wielkanocnej oraz rysunki z Nazca to tylko niektóre ze skarbów archeologii, o których von Däniken twierdził, że do ich powstania musiały przyłożyć rękę istoty pozaziemskie. Uważał, że rysunki z Nazca były prymitywnymi przedstawieniami starożytnych budowli, które stały ongiś na ziemi, i że stworzono je być może po to, by zachęcić kosmitów do powrotu.

Istnieje też koncepcja, w myśl której geoglify z Nazca odzwierciedlają ukryte podziemne cieki wodne albo służą za jakieś rytualne bramy czy drogi ułatwiające odnalezienie źródeł trudno dostępnej wody. Obszar ten wyróżnia się jednym z najniższych na świecie poziomów opadów: w niektórych latach deszczu w ogóle nie ma. Zważywszy na wieloletnie

okresy suszy lub prawie suszy, łatwo zrozumieć, skąd wziął się pomysł, że linie te powstały w związku z poszukiwaniem wody albo jakiegoś rodzaju religijnymi czy obrzędowymi praktykami wywoływania deszczu.

Przypominająca kształtem wachlarz równina Nazca jest ograniczona od wschodu podnóżem Andów, z pozostałych zaś stron trzema największymi rzekami tego regionu. Bez względu na to, dlaczego dawni artyści przystąpili do swojego dzieła, wykorzystali ten płaski, pustynny i niezwykły krajobraz jako potężną arenę swojej twórczości. Po ustaleniu zaplanowanego kształtu twórcy po prostu zdrapywali najwyższą, ciemniejszą warstwę gruntu zwaną „pustynnym werniksem” z zalegającej niżej jaśniejszej gleby. Kiedy została już odkryta, ukazując zaplanowane linie, rozmieszczali usunięte wcześniej kamienie wzdłuż jednego z brzegów konturu, podkreślając go w ten sposób.

Kilka linii prostych ciągnie się przez wiele kilometrów, a długość niektórych trapezoidalnych „pasów startowych” przekracza kilometr. Najbardziej jednak zapada w pamięć zdumiewająca różnorodność i piękno form biologicznych. Pośród tak wielu niezwykłych wyróżnia się zwłaszcza kilka. Jeden z tych rysunków przedstawia chudą niczym patyk przygarbioną małpę. Wygląda tak, jakby zbierała coś z ziemi. Utworzona jedną nieprzerwaną linią i mierząca ponad 100 metrów jest niemal równie wysoka jak szeroka i ma wspaniały, zabawny ogon w kształcie ściśle zwiniętej spirali. Z figurą małpy są połączone inne, niezrozumiałe wzory geometryczne, jakby posłuszne jakiejś nieznanej i tajemniczej logice.

Jedno z bardziej przekonujących wyjaśnień kilku prostych linii i dróg sugeruje, że są one znacznikami przesilenia letniego i zimowego, stanowią zatem coś w rodzaju gigantycznego obserwatorium astronomicznego. Linie te i kształty geometryczne często dotykają rysunków zwierząt i innych postaci lub je przecinają, niemal jakby były one naziemnymi

przedstawieniami jakichś obserwowanych ciał niebieskich. Lud Nazca inaczej niż my grupował gwiazdy w konstelacje i nadawał inne niż my nazwy takim gwiazdozbiorom jak Ursa Maior – Wielka Niedźwiedzica, Taurus – Byk, Canis Maior i inne.

W takim ujęciu gwiazdozbiór znany współcześnie na Zachodzie jako Apus, czyli Rajski Ptak, może być wyobrażany przez potężne, przypominające ptaka stworzenie wspominane często w opisach rysunków w Nazca. To skrzyżowanie ogromnego kolibra z gigantycznym pterodaktylem mierzy ponad 135 metrów od koniuszka długiego, spiczastego dzioba do końca rozłożonego trójkątnego ogona. Mamy też wspaniałego pająka i rozpoznawalny na pierwszy rzut oka kontur orki. Wszystkie te geoglify są pieczołowicie wykonane i przetrwały ponad dwa tysiące lat – między innymi zapewne dzięki tak rzadkim opadom.

W tym samym rejonie znajdują się jeszcze inne monumenty współgrające pod względem historycznym i artystycznym z rysunkami z Nazca. Wydają się ujawniać tę samą artystyczną wrażliwość, wykonano je jednak na zboczach wzgórz i kopców, toteż da się je oglądać z dołu. Większość z nich przedstawia humanoidalne postacie. Archeolodzy uważają, że mogą one być dziełem wcześniejszych kultur Paracas i Topará, które rozkwitały w tym regionie pomiędzy rokiem 500 p.n.e. a 200 n.e. Nie zostały wykonane techniką zeskrobywania powierzchniowej warstwy gleby, lecz stworzono je, układając na powierzchni starannie rozmieszczone kamienie oraz wykuwając otwory w litej skale. Wyróżniają się wśród nich wykute na zboczach dziwne i niesamowite „twarze”, przypominające wykonane przez dziecko rysunki groźnego dorosłego.

Pojawienie się technologii dronów zmienia archeologię – zwłaszcza w Peru. W 2018 roku peruwiańscy archeolodzy odkryli za ich pomocą ponad pięćdziesiąt nowych geoglifów w typie rysunków z Nazca

w sąsiedniej prowincji Palpa. Są tak stare i zniszczone erozją, że nie da się ich dostrzec gołym okiem, ujawniły się natomiast dzięki dronom wyposażonym w urządzenia do trójwymiarowego mapowania o wysokiej rozdzielczości. Te świeże odkrycia mogą rzucić nowe światło na ogólne przeznaczenie i znaczenie wszystkich takich rysunków.

Wyrycie tysięcy wysoce symbolicznych, magiczno-religijnych wyobrażeń i postaci musiało być dziełem społeczeństwa silnie scalonego potężną wspólną kulturą, przekonaniami religijnymi i obrzędowością. Nawet uwzględniając brak opadów, zakrawa na cud, że rysunki te przetrwały aż do dziś w tak dobrym stanie.

Jakkolwiek były planowane i wykonywane i jakiemukolwiek celowi miały służyć, rysunki z Nazca są wybitnym dziełem zbiorowej ludzkiej wyobraźni i w pełni zasługują na miejsce na liście światowego dziedzictwa UNESCO, na której się znalazły. Aby w pełni docenić całą ich potęgę i splendor, najlepiej oglądać je z samolotu lub gondoli balonu na ogrzane powietrze. Można też wybrać się na wycieczkę wirtualną i obejrzeć je za pomocą Google Earth. W każdym razie warto to zrobić.

WYSPA WIELKANOCNA

Wyobraźmy sobie, że mamy wyprodukować nowy program telewizyjny typu *reality show*. Dwustu starannie dobranych ochotników musi przeżyć na małej pacyficznej wyspie w jednym z najodleglejszych zakątków świata. Mogą przybyć z dowolnego miejsca na ziemi, mogą dzielić się na zespoły – jeśli zechcą, nawet zespoły konkurujące ze sobą. Wszyscy jednak muszą się podporządkować zasadom gry.

Zgodnie z nimi będą żyć w warunkach, jakie panowały w XVI wieku. Oznacza to brak bieżącej wody, brak elektryczności, brak współczesnej opieki zdrowotnej, brak współczesnych urządzeń komunikacyjnych, zwłaszcza telefonów komórkowych – i oczywiście żadnych supermarketów. Zespoły będą musiały zapewnić sobie solidne zaopatrzenie w żywność, a trzeba ją zebrać i przygotować do spożycia w naprawdę dużej ilości, ponieważ zadanie będzie niezwykle wyczerpujące.

Skoro ustaliliśmy już zasady, przejdźmy do wyzwania. Trzeba wykuć w twardej szklistej skale wulkanicznej posąg *moai* wysoki na 10 metrów i ważący 90 ton. Miejscem akcji jest Wyspa Wielkanocna, a nasze zespoły próbują powtórzyć wyczyn, jakiego Rapa Nui (tak brzmiała pierwotna nazwa zarówno samej Wyspy Wielkanocnej, jak i jej mieszkańców) udało się dokonać nie tylko raz, lecz setki razy w ciągu wielu wieków.

Posąg ma być mocno stylizowanym, lecz rozpoznawalnym przedstawieniem jakiegoś ważnego przodka (członkowie każdego zespołu będą musieli uzgodnić, którego z różnych wchodzących w grę przodków sportretują). Rzeźba musi ponadto mieć wybitną wartość artystyczną,

nieproporcjonalnie duża głowa musi zajmować dokładnie trzy ósme wysokości całej postaci, a uszy mają być niezwykle długie.

Jakie są szanse, że nasi ochotnicy sobie poradzą? Raczej niewielkie. Będą musieli przede wszystkim uzgodnić jakąś formę przywództwa, a jeśli im się to nie uda, utworzyć organizację całkiem płaską, która pomimo to nie rozpadnie się wskutek sprzeczek, dąsów i jawnego konfliktu wywołanego rywalizacją, wzajemnym wywyższaniem się, lenistwem, zazdrością seksualną, głodem, przemocą, chorobami i niezliczonymi innymi problemami mogącymi utrudniać tego typu przedsięwzięcie.

Kiedy uczestnicy naszego konkursu odłupią już tę olbrzymią postać od skalnego podłoża, posługując się co najwyżej kamiennymi narzędziami, oraz wyrzeźbią ją tak, by spodobała się sędziom, będą musieli wypolerować ją pumeksem, aż powierzchnia stanie się lśniąca i cudownie gładka. Muszą ją następnie ozdobić nacinanymi liniami i uwydatnić jej części samodzielnie wykonanymi jaskrawo kolorowymi farbami.

Następne zadanie polega na przetransportowaniu rzeźby przez kilka kilometrów nierównego terenu, przy czym nie można jej uszkodzić, oraz ustawieniu jej pionowo na *ahu*. Jest to potężna platforma, którą trzeba w ramach osobnego przedsięwzięcia zbudować bez zaprawy w czasie dostosowanym do terminu instalacji gotowej statui.

Aby to wszystko było jeszcze ciekawsze, całą pracę należy wykonać bez żadnych narzędzi metalowych oraz posługując się tylko takimi linami, jakie uczestnicy zdołają wykonać z naturalnych włókien. Trzeba też przeszukać wyspę, by znaleźć dostateczną liczbę dużych drzew, których drewno mogłoby posłużyć do transportowania wyrzeźbionych już *moai* na docelowe miejsce.

Uczestnicy będą oczywiście musieli uzgodnić podział pracy: niektórzy zajmą się uprawą roślin i zbieraniem plonów, inni przygotowywaniem

potraw, jeszcze inni odłupywaniem skały; potrzebny też będzie zespół artystów nadzorujących tworzenie rzeźby i zapewniających jej twórczą doskonałość; mogą też przyjąć, że wszystkie te zadania będą wykonywane kolejno przez różne osoby, przy czym system taki musi uczciwie uwzględniać rozmaite talenty i potrzeby zainteresowanych.

Zespoły muszą również znaleźć jakiś sposób radzenia sobie z drobniejszymi czy większymi wypadkami, aby stłuczenie palca lub złamanie nogi nie groziło gwałtownym wstrzymaniem całego przedsięwzięcia. Dopracowując ten scenariusz, dostrzegamy jednak jasno, że nawet jeśli uczestnikom uda się jakoś wyciosać dziewięćdziesięciotonowy posąg ze skalnego podłoża, podźwignąć go i doszlifować, nie dopuszczając przy tym, by ktoś kogoś zamordował, to spośród wszystkich trudności, jakim będą musieli stawić czoło, największą będzie obmyślenie sposobu przetransportowania gotowej postaci przez całą wyspę na skalną platformę *ahu*. Jeżeli zaś rzeczywiście uda się im dostarczyć ją tam w jednym kawałku, to będą jeszcze musieli postawić posąg pionowo oraz zdobyć się na ostatni wyczyn, mianowicie umieścić na jego głowie zawadiacki cylindryczny czerwony kapelusz wagi kilku ton wyciosany osobno z innego rodzaju skały o nazwie scoria. (Tutaj akurat może się okazać przydatny system dźwigania za pomocą lin stosowany przy podnoszeniu wraków statków).

Sama myśl o wykonywaniu i transportowaniu *moai* w tych warunkach przyprawia nas o drżenie – co na to inspekcja pracy? Oczywiste trudności takiego zadania kazały niektórym komentatorom wątpić, by Rapa Nui mogli samodzielnie sobie z nim radzić, przy czym wskazywano, że cywilizacja tego ludu „z pewnością nie była dostatecznie zaawansowana” – czy jak tam formułowano tę lekceważącą opinię.

Do koncepcji skrajniejszych zaliczają się wysoce fantastyczne pomysły, że to istoty pozaziemskie bądź to stworzyły *moai* na miejscu, bądź też w jakiś sposób „dostarczyły” je na wyspę. Wyrażanie tego rodzaju wątpliwości świadczy w istocie o protekcjonalności, a właściwie nawet o rasizmie. Oczywiste jest, że wykorzystując specjalistyczne umiejętności, które ewoluowały i zwiększały się przez wiele pokoleń, mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej stali się ekspertami w dziedzinie swojej umiłowanej sztuki. Wciąż jednak pozostaje zagadka, jak ci eksperci transportowali przez całą wyspę gigantyczne *moai*. Proponowano różne teorie: może figury układano twarzą do góry na drewnianych wałkach i pchano lub ciągnięto; może przywiązywano je do drewnianych sań umieszczanych na drewnianych wałkach, które w miarę przeciągania przekładano z tyłu na przód. Zadanie to mógł ułatwiać tłuszcz zwierzęcy. Jest to ulubione wyjaśnienie podawane w związku z transportem monolitów Stonehenge oraz wielkich kamiennych bloków, z których zbudowano Wielką Piramidę. Z pewnością w ten właśnie sposób dziewiętnastowieczny przedsiębiorca i jarmarczny siłacz Wielki Belzoni ukradł kolosalny posąg faraona Ramzesa II, który oglądamy dziś w Muzeum Brytyjskim.

Inni komentatorzy są przekonani, że poszczególne statuy mają własne biografie: każda przedstawia najbardziej czczonego i najważniejszego przodka danej grupy plemiennej lub rodzinnej i każda została przetransportowana na swoje ostateczne miejsce w sposób najlepiej dostosowany do takich czynników jak jej waga i położenie środka ciężkości, klan jej twórców czy charakter konkretnego terenu, jaki trzeba było pokonać.

Jeśli eksperci mają rację i *moai* są „głównie żywymi twarzami (*aringa ora*) ubóstwionych przodków (*aringa ora ata tepuna*)”, to ci zmarli wodzowie czy członkowie starszyzny plemiennej są wartownikami. Umarli,

których dusze zostały na zawsze zamknięte w tych cudownych kamiennych wizerunkach, strzegą żyjących i zapewniają im przetrwanie.

Interpretację tę potwierdzają dwa fakty: po pierwsze, po licznych nieszczęściach, jakie spadły na Rapa Nui w wyniku kontaktów ze światem zewnętrznym, mieszkańcy wyspy obalili posągi na ziemię, umieszczając je twarzą w dół – jakby chcąc oszczędzić swym przodkom bolesnego widoku nędzy, w jaką popadł ich lud. Po drugie, wbrew temu, w co każą nam zwykle wierzyć programy telewizyjne, wiele *moai* wcale nie wpatruje się w morze, jakby oczekując jakiejś dostawy z daleka; ogromna większość spogląda w głąb wyspy na wspólnoty, które je zbudowały.

Rapa Nui wybudowali też w głównych odpowiednich do tego celu punktach wzdłuż północno-południowej osi wyspy szereg obserwatoriów astronomicznych zwanych *tupa*. Trzeba się było wczołgiwać do nich bardzo wąskim korytarzem, a służyły być może do ustalania kalendarza dni najbardziej sprzyjających kontaktowaniu się z duchami przodków. Jeśli to prawda, to w tych szczególnych terminach posągi ożywiano za pomocą rytualnych ceremonii.

Prawdziwą nierozwiązaną tajemnicą Wyspy Wielkanocnej może zatem być nie to, co przedstawiają *moai*, lecz to, jak je przemieszczano. W jaki sposób Rapa Nui, którzy w latach 1200–1600 zbudowali niemal 900 takich posągów, transportowali te kamienne kolosy z kamieniołomu na zboczach Rano Raraku, uśpionego wulkanu o jakieś trzy kilometry od południowo-wschodniego brzegu wyspy, do miejsc przeznaczenia? Zwłaszcza te gigantyczne i superciężkie, które starannie rozmieszczono – w rzędach liczących nawet piętnaście sztuk – na przybrzeżnych *ahu*, potężnych, zbudowanych bez zaprawy platformach stanowiących coś w rodzaju sceny teatralnej dla ponad czterystu tych figur?

W 1955 roku norweski podróżnik Thor Heyerdahl wylądował na Rapa Nui, by zbadać „twarze z Wyspy Wielkanocnej”, jak je wówczas często nazywano. Heyerdahl nie zauważył początkowo, że posągi znajdujące się wewnątrz wyspy są wkopane w ziemię na głębokość dwóch trzecich całkowitej wysokości, co miało zwiększać ich stabilność, lecz jeszcze bardziej utrudniało ich transportowanie. Niezrażony Heyerdahl zorganizował eksperyment na wielką skalę: około stu osiemdziesięciu wyspiarzy ułożyło jeden z posągów na plecach, obwiązało go linami i przeciągnęło kilkaset metrów po jednej z „dróg *moai*” rozbiegających się gwiaździście z kamieniołomu po całej wyspie. Stało się od razu jasne, że taki sposób postępowania doprowadziłby do poważnych uszkodzeń figur. Pomimo wszelkich starań norweski badacz i jego zespół nie zdołali rozwiązać zagadki, jak Rapa Nui udawało się transportować *moai*, nie narażając ich nawet na draśnięcie. Wyglądało to tak, jakby przywoływali spoza tego świata jakąś magię sprawiającą, że przepływały po ziemi niczym po wodzie.

Zgodnie z najciekawszą, a zarazem jedną z najnowszych koncepcji *moai* „chodziły”. Kilka lat temu dwóch amerykańskich archeologów zauważyło pewną różnicę pomiędzy posągami, które nazwali „przydrożnymi *moai*” – zwykle mniejszymi i albo leżącymi, albo postawionymi w pobliżu któregoś z od dawna ustalonych szlaków komunikacyjnych wyspy – a większymi przeważnie statuami ustawionymi na przybrzeżnych cokołach *ahu*. Badacze doszli do wniosku, że przydrożne *moai* nigdy nie miały być poruszane. Posągi ustawione na *ahu* wyglądały jednak inaczej niż ich przydrożni kuzyni – i to tak, jakby dało się je przemieszczać. Na ogół były większe, miały lekko zaokrąglone podstawy i obniżony środek ciężkości; wydawało się też, że wszystkie są nieco pochylone do przodu.

W chwili niezwykłego olśnienia archeolodzy pomyśleli: a co by było, gdyby dało się wprawić posąg w ruch linami obwiązanymi wokół jego głowy? Kilka zespołów ludzi mogłoby za ich pomocą łagodnie rozhuśtać go na boki. Pracując bardzo harmonijnie, stopniowo można by następnie zwiększać wychylenie i prędkość tego ruchu, aż posąg ożyłby i zaczął iść na swojej zaokrąglonej podstawie. Aby przetestować swoją teorię, badacze sporządzili pomniejszoną, lecz wciąż bardzo ciężką wersję *moai* i uwiązali po obu stronach rzeźby długie liny. Każdą z nich obsługiwał jakiś tuzin ludzi. Trzeci zespół zajął miejsce za statuą i za pomocą trzeciej liny kontrolował jej ruch, zabezpieczając ją przed przewróceniem się do przodu. Ku zdumieniu i zachwytowi wszystkich uczestników eksperymentu teoria się sprawdziła. Kołysząc się niczym jakaś gigantyczna dziecięca zabawka, posąg wesoło ruszył na przechadzkę po niewybrukowanej ścieżce, zupełnie tak, jakby miał zażyć poobiedniego spaceru. Udało mu się nawet „wejść” na niewielką pochyłość, a przy tym wszystkim powierzchnia jego górnych części nie poniosła najmniejszej szkody. Oglądanie zapisu wideo ukazującego, jak *moai* porusza się w ten dziwacznie ludzki sposób, jest doznaniem elektryzującym – można mieć wrażenie, że posąg jest pod jakimś względem rzeczywiście żywy.

Eksperyment ten mógłby wyjaśniać, jak przemieszczano mniejsze *moai*. Czy jednak naprawdę mówi nam, jak transportowano prawdziwie kolosalne posągi mające zająć honorowe miejsca na *ahu*? Raczej mało prawdopodobne. Z pewnością też nie wyjaśnia, jak ustawiano je na tych platformach, na których miały pełnić swoją wieczną wartę. Na świecie wciąż pozostaje tyle do poznania. I tak mało czasu, by to zrobić.

POTWÓR Z LOCH NESS

Wielu z nas byłoby rozczarowanych, gdyby się okazało, że współczesne wcielenie potwora z Loch Ness narodziło się w londyńskim pubie. Pisarz Digby George Gerahty mówi nam jednak, że tak właśnie się stało. W jego wydanej w 1950 roku pod pseudonimem Stephen Lister powieści *Marise* bohater – łatwo rozpoznać w nim samego autora – rozmawia z francuskim żandarmem, który przyszedł sprawdzić, czy on nie ukrywa w swojej posiadłości lwa. Gerahty mówi: „*mais non, Monsieur*, po moich zaroślach nie przechadza się żadna wielka dzika bestia”. Jednak „proszę przyjąć moje zapewnienie, że potwór z Loch Ness zrodził się w mojej obecności podczas rozmowy, jaka miała miejsce w pewnym londyńskim pubie. […] Potwór z Loch Ness został wynaleziony przez pewnego pomysłowego specjalistę od reklamy w zamian za honorarium wysokości 150 funtów”.

To bezczelne i niezwykłe wyznanie odgrzebał gdzieś prof. Henry Bauer, kryptozoolog szczerze przekonany o istnieniu Nessie. Pomimo swojej wiary w bestię lubił demaskować dotyczące jej oszustwa, a na *Marise* natrafił po skrupulatnych poszukiwaniach. Zaintrygowany zawartymi w powieści uwagami potwierdzającymi domniemane wynalezienie potwora z Loch Ness, skontaktował się z Gerahtym i poprosił go o ich wyjaśnienie. Doszło do rozmowy, w której Gerahty przyznał, że to on sam był owym „pomysłowym specjalistą od reklamy”. Powiedział, że wiosną 1933 roku „grupa właścicieli hoteli w rejonie Lossiemouth” zatrudniła go, by wymyślił sposób na zwiększenie ruchu turystycznego, który prawie zamarł w konsekwencji wielkiego kryzysu.

Gerahty powiedział na dodatek, że całkiem przypadkowo akurat w czasie, gdy mieli się do niego zwrócić hotelarze, miał jeszcze innego klienta, który prowadził agencję nieruchomości w Okanagan Valley w Kolumbii Brytyjskiej. Klient ów twierdził, że wynalazł jeziornego potwora, którego nazwał Ogopogo (no nie…), aby zwiększyć ruch turystyczny w okolicy. Powiedział też, że pomimo jawnie fantastycznej nazwy stwora plan powiódł się nad podziw, a ludzie przybywali ze wszystkich stron w nadziei, że choć przez mgnienie oka ujrzą tajemniczego Ogopogo, który przenigdy nie istniał – wyrósł jedynie w żyznej glebie wyobraźni agenta nieruchomości.

Gerahty opowiedział Bauerowi, że przykład ten zainspirował go: „Przy paru kuflach piwa […] staliśmy się akuszerami nowych narodzin potwora z Loch Ness. Musieliśmy jedynie zaaranżować zauważenie bestii. Zrobiliśmy to i śniegowa kula potoczyła się sama. Ludzie tysiącami jechali na północ, by go zobaczyć, i widywali go. To była oczywiście czysta bzdura”.

Czy wyznanie Gerahty’ego jest prawdziwe? Zmarł krótko po rozmowie z Bauerem, nie ujawniając żadnych dodatkowych informacji, na przykład nazwisk figurantów, którzy zgodzili się „zobaczyć” w Loch Ness potwora. Nie wiemy, czy rzeczywiście stał za tym Gerahty, ale rzeczywiście 2 maja 1933 roku gazeta „Inverness Courier” opublikowała artykuł z nagłówkiem: „Coś dziwnego w Loch Ness. Co to było?”. W doniesieniu pióra „korespondenta”, który wolał pozostać anonimowy, twierdzi się, że pewna para, jadąc samochodem wzdłuż zachodniego brzegu Loch Ness w pobliżu Abriachan Pier, dostrzegła coś, co wywoływało pośrodku jeziora „ogromny zamęt”. Osoby te również zachowały skromną anonimowość, w artykule mówi się jednak, że parę podróżnych stanowili „dobrze znany lokalny biznesmen” oraz jego żona, „absolwentka uniwersytetu”. Dobra

rekomendacja, uniwersyteckie wykształcenie wykluczają oczywiście wszelkie ryzyko oszustwa. Małżeństwo zatrzymało samochód i wysiadło, obserwując, jak „stworzenie bawiło się, koziołkując i nurkując przez całą minutę; kształtem ciała przypominało wieloryba, a woda wokół niego rozbryzgiwała się i burzyła niczym wrzątek w kotle”.

Współczesna legenda potwora z Loch Ness przyciągnęła powszechniejszą uwagę w wyniku zdarzenia z 22 lipca 1933 roku, kiedy inna para jadąca wzdłuż jeziora, tym razem londyńczycy, pan George Spicer z żoną, dostrzegła jakieś duże nieznane stworzenie przypominające „olbrzymiego ślimaka z długą szyją”, które przecięło im drogę, poruszając się z lewej strony na prawą. Potem znikło na stoku opadającym ku jezioru. Spicerowie jechali wówczas samochodem Drogą Wojskową gen. Wade’a prowadzącą wschodnim brzegiem Loch Ness i znajdowali się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Dores a Foyers.

George Spicer opisał to, co widzieli, w liście wysłanym do tej samej gazety „Inverness Courier”, która donosiła wcześniej o zdarzeniu przy Abriachan Pier. List opublikowano 4 sierpnia, a Spicer pisał w nim: „Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się tak zbliżyć do jakiegoś smoka lub prehistorycznego potwora. […] Wydawało się, jakby niósł małe jagnię lub jakieś inne zwierzę. Miał długą szyję poruszającą się w górę i w dół niczym kolejka w wesołym miasteczku, jego ciało było dość duże, z garbem na grzbiecie. Długość sześć do ośmiu stóp i bardzo brzydki”.

Podczas późniejszego wywiadu Spicer twierdził, że bojąc się przesadzić, świadomie zaniżył wielkość stworzenia. Kiedy uświadomiono mu, że szerokość drogi w tamtym miejscu wynosi 12 stóp [3,5 metra], zgodził się, że „Smok” musiał mieć raczej 25 stóp [7–8 metrów] długości.

W listopadzie tego bardzo dla Nessie pracowitego roku niejaki Hugh Gray przedstawił, jak sam twierdził, pierwsze zdjęcie potwora z Loch Ness.

W oświadczeniu dla prasy opisał go jako „węża o długości 40 stóp [ok. 13 metrów]”. Choć wielu przyjęło tę fotografię za dobrą monetę, innym wydawało się, że to zamazane, nieostre zdjęcie pokazuje ni mniej, ni więcej tylko labradora płynącego w kierunku aparatu z zakrzywionym patykiem w pysku. Od tamtej chwili spory w sprawie autentyczności spotkań z Nessie i jej zdjęć tylko nabierały tempa i temperatury.

Motocyklista Arthur Grant doniósł 5 stycznia 1934 roku o drugim spotkaniu z dziwnym, przedpotopowym zwierzęciem czającym się przy drodze, znów na obrzeżach Abriachan. Wywołało to najazd turystów, na co liczyli twórcy mistyfikacji – jeśli rzeczywiście jest to mistyfikacja. Nad jezioro zaczęli tłumnie przybywać goście chętni spróbować szczęścia i na własne oczy ujrzeć potwora.

Zaczął się wyłaniać pewien schemat wydarzeń, który utrzymywał się przez resztę roku 1933 i aż do 1935: miejscowi lub turyści donosili, że widzieli Nessie; „Inverness Courier” i inne lokalne media publikowały szczegóły; artykuły trafiały do prasy ogólnokrajowej i międzynarodowej; historia potwora w jeziorze narastała niczym śnieżna kula; hotele zaczęły się zapełniać. Niestety nie w Lossiemouth, ku rozgoryczeniu tamtejszych hotelarzy, którzy podobno sami zamówili mistyfikację, lecz nad północną częścią jeziora i wokół Inverness.

W grudniu 1933 roku, kiedy gorączka wokół potwora narastała i pojawiła się kusząca możliwość wielkiego wzrostu nakładów, gazeta „Daily Mail” zatrudniła eksłowcę grubego zwierza, filmowca i gwiazdę kina niemego Marmaduke’a (Duke’a) Wetherella, by przeprowadził śledztwo zmierzające do uzyskania twardych dowodów istnienia Nessie. Zdawało się, że w ciągu zaledwie kilku dni Wetherell wywiązał się ze swego zadania, „odkrywając” ślady wielkiego, niezidentyfikowanego zwierzęcia na skraju jeziora na południe od Foyers. Początkowe

podniecenie wywołane tym nadzwyczajnym odkryciem przerodziło się w rozczarowanie: eksperci z londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej po zapoznaniu się z gipsowymi odlewami tropów zwierzęcia szybko stwierdzili, że wszystkie odciski zostały wykonane tą samą lewą tylną nogą hipopotama. Co hipopotam robił w Szkocji? I dlaczego miał tylko jedną nogę? Okazało się, że Wetherell podrobił tropy „potwora" stojakiem na parasole wykonanym z nogi hipopotama. Przyłapawszy Wetherella na tej bezczelnej próbie oszukania wszystkich, wydawcy „Daily Mail" zwolnili go i wykluczyli ze śledztwa. Jego syn Ian opowiadał, że ojciec wrócił do domu, gotując się ze wściekłości. Jego gniew potem jeszcze wzrósł, gdyż gazeta wyśmiała go publicznie za numer, jaki wyciął. Grzmiąc: „Damy im tego ich potwora!", Duke przystąpił do knucia planu zemsty. (Trudno uwierzyć, by nie okrasił słowa „potwór" niecenzuralnym epitetem).

Tak się złożyło, że przyrodni brat Marmaduke'a Wetherella Christian Spurling był zdolnym artystą i modelarzem. Duke w przypływie złości zrobił coś nie do pomyślenia dziwacznego: poprosił Spurlinga o zrobienie fałszywego, lecz przekonującego potwora z Loch Ness.

Wynikiem tej mistyfikacji była tak zwana fotografia chirurga, która stała się jednym z najsłynniejszych zdjęć wszech czasów. Została opublikowana przez „Daily Mail" 21 kwietnia 1934 roku, a zobaczyły ją miliony ludzi na całym świecie. Przez ponad sześćdziesiąt lat wielu komentatorów wierzyło, że jest to prawdziwe zdjęcie Nessie wystawiającej z wody długą, łukowatą szyję, jakby miała powiedzieć: „W porządku, panie DeMille, jestem gotowa, proszę zrobić zbliżenie".

7 grudnia 1975 roku gazeta „Sunday Telegraph" w stałej rubryce „Sunday Morning with Mandrake" zamieściła materiał, w którym Mandrake – pod tym pseudonimem ukrywał się dziennikarz Peter Purser – ujawnił, w jaki sposób Marmaduke Wetherell wraz z synem Ianem

i przyrodnim bratem dokonali tej mistyfikacji. Spurling wymodelował ze szpachlówki do drewna głowę, szyję i grzbiet stworzenia przypominającego plezjozaura, a następnie przykleił je do kiosku nakręcanej zabawkowej łodzi podwodnej z ocynkowanej blachy, którą kupił za dwa szylingi i sześć pensów w domu towarowym Woolworth's w Richmond w zachodnim Londynie. Kiedy fałszywka została pomalowana na szaro i była gotowa do zwodowania, Ian Wetherell 19 kwietnia 1934 roku lub mniej więcej w tym czasie zawiózł ojca i zaprzyjaźnionego fotografa Maurice'a Chambersa nad Loch Ness. Ian wspominał, że „znaleźli wąską zatoczkę, w której drobne zmarszczki wody wyglądałyby jak pełnej wielkości fale na jeziorze, a tło odpowiadałoby rzeczywistej scenerii. Potem wystarczyło nakręcić łódź podwodną i nastawić jej zanurzenie tak, by znalazła się tuż pod wodą, a wynurzona szyja stworzenia kreśliła na powierzchni wody prawidłowe małe »V«".

Ian Wetherell wykonał swoim aparatem Leica pięć fotografii fałszywego potwora; ledwo mu się to udało, kiedy nadszedł jakiś strażnik wodny i zapytał, co robią. Aby strażnik nie zauważył fotografowanej Nessie, Marmaduke stanął na modelu i zatopił go. Omal nie zostali przyłapani, ale uszło im na sucho. Zrobione przez Iana zdjęcia Chambers wysłał do wywołania. Potem sam sfotografował je za pomocą własnego profesjonalnego aparatu. Jedna z uzyskanych odbitek była sensacyjna. Bezdyskusyjnie najlepsza w każdym sensie tego słowa, stała się „fotografią chirurga".

W tym miejscu na scenę wkracza rzeczony londyński chirurg, trzydziestopięcioletni dr Robert K. Wilson, MB, B. Chir (Cantab), FRCS [Fellowship of the Royal Colleges of Surgeons] (Edinburgh). Zaprzyjaźniony z fotografem i akwizytorem kosztownych produktów Chambersem (o którym żadną miarą nie można powiedzieć, że lubił się

popisywać, ale jednak jeździł jaskrawożółtym rolls-royce’em), zgodził się posłużyć za wiarygodne źródło fotografii „potwora”.

Chambers pożyczył Wilsonowi swój wielki aparat fotograficzny, który wraz ze skórzanym mieszkiem i magazynkiem zawierającym cztery pokryte emulsją światłoczułą szklane płytki wielkości 8 na 10 centymetrów nie był bynajmniej łatwy w obsłudze. Wilson nie był fotografem. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ chirurg podczas swej podróży do północnej Szkocji nie miał sobie zawracać głowy robieniem żadnych zdjęć. W rzeczywistości nawet nie zatrzymał się nad Loch Ness. Zamiast tego, jak uzgodnił ze swoimi współspiskowcami, pojechał prosto do sklepu chemicznego Ogston’s przy Union Street w Inverness. Wręczył właścicielowi zakładu George’owi Morrisonowi naświetlone płytki z fałszywym potworem, które Chambers dał mu w Londynie, i poszedł na kawę, czekając na wyniki.

Oglądając wywołane odbitki, Morrison uniósł brwi. Od razu zdał sobie sprawę, że jedna z nich ma przełomowe znaczenie dla świata. Poradził klientowi, by zapomniał o lokalnej gazecie „Inverness Courier”, a leżące przed nimi na kontuarze zdjęcie sprzedał na Fleet Street tej redakcji, która zaoferuje najwyższą cenę. Nic dziwnego, że wydawcy „Daily Mail”, którzy sfinansowali już wielką ekspedycję w poszukiwaniu potwora, zaproponowali za zdjęcia 100 funtów, czyli jakieś 6 tysięcy w dzisiejszym pieniądzu. Na nieszczęście dla Wilsona Brytyjskie Stowarzyszenie Medyczne ukarało go później grzywną w wysokości tysiąca funtów – 60 tysięcy w dzisiejszym pieniądzu – za to, że zgodził się firmować zdjęcia swoim nazwiskiem.

Trudno było znaleźć lepszą osobę do uwiarygodnienia zdjęć: reputacja Wilsona i cała jego przeszłość były wzorowe. Wydawał się uosobieniem cnót establishmentu. Podczas pierwszej wojny światowej jako młody

ochotnik został ranny na polu bitwy we Francji i był wyróżniony w rozkazie dziennym za wybitną odwagę. Dlaczego ten pułkownik rezerwy w Królewskim Wojskowym Korpusie Medycznym, szanowany ginekolog prowadzący lukratywną praktykę przy Queen Anne Street w centralnym Londynie, zgodził się zostać agentem zakrojonego na wielką skalę oszustwa?

Kiedy bomba wybuchła i zdumiewająca fotografia ukazała się na pierwszych stronach gazet na całym niemal świecie, wszyscy domagali się od Wilsona szczegółowych informacji o tym, jak wykonał jedno z najbardziej legendarnych zdjęć wszech czasów. On jednak okazał się świadkiem bardzo powściągliwym. Powiedział prasie, że nie chce rozgłosu. Jest po prostu lekarzem i fotografem amatorem, któremu najzwyczajniej trafiła się gratka podczas turystycznego wypadu. Jego skromność i wytrwałe pragnienie trzymania się z dala od świateł reflektorów nie tylko nie odwróciły od niego uwagi, ale wręcz przyczyniły się do przekonania wielu obserwatorów, że jest wiarygodnym, by nie powiedzieć nieskazitelnym świadkiem. Olbrzymia większość ludzi wierzyła, że Wilson rzeczywiście zobaczył potwora z Loch Ness i zrobił mu zdjęcie, a fotografia jest autentyczna. Dawni sceptycy dołączyli do milionów ludzi na całym świecie, stając po stronie Nessie. Istnienie potwora z Loch Ness stało się absolutną, niewzruszoną prawdą.

Znacznie później nieśmiały chirurg opisał swoje rzekome spotkanie z potworem pisarce Constance Whyte. Z zawodu również lekarka, była ona długoletnią biografką Nessie, członkinią założycielką Biura Badania Zjawiska Loch Ness oraz autorką książki *More Than a Legend*. Ta wydana w 1957 roku książka stanowiła kompendium uzyskanej do tamtej pory wiedzy o potworze. W toku wywiadu przeprowadzonego z myślą o nowym, zaktualizowanym wydaniu książki Wilson powiedział Whyte:

Miałem wtedy szybki samochód i po całonocnej jeździe dotarłem do Fort Augustus za wcześnie, by zjeść gdzieś śniadanie, toteż postanowiłem pojechać do Inverness…

Jakoś o siódmej czy wpół do ósmej zatrzymałem się na poboczu dwie lub trzy mile przed Invermoriston od strony Inverness w punkcie, gdzie droga biegnie jakieś sto stóp powyżej jeziora. Przeszedłem przez wał ochronny, zszedłem kilka jardów w dół zbocza i stałem, patrząc na jezioro, gdy zauważyłem duży ruch na powierzchni w odległości może dwustu czy trzystu jardów. Po jakiejś minucie obserwacji zobaczyłem, jak coś wynurza się spod powierzchni, i ujrzałem sterczącą z wody głowę jakiegoś dziwnego zwierzęcia.

Puściłem się do samochodu po aparat, potem zszedłem jakieś pięćdziesiąt jardów w dół stromego brzegu, by uzyskać lepszy widok, i nastawiłem ostrość na coś, co poruszało się po wodzie. Byłem zbyt zajęty nastawianiem aparatu, by dokładnie obserwować, lecz zrobiłem cztery ujęcia, po czym obiekt całkiem znikł. Nie miałem wtedy pojęcia, czy znajdę coś na płytkach, ale wydawało mi się to możliwe.

Cały opis tej podróży i spotkania z potworem z Loch Ness był wymysłem Wilsona. Co ciekawe, zdemaskowanie tej mistyfikacji nie tylko nie rozwiało legendy Nessie, ale jeszcze wzmocniło wiarę wielu zwolenników istnienia potwora. Jeśli zaś chodzi o „fotografię chirurga”, to doprowadziła ona do bardzo znacznego wzrostu liczby turystów przybywających nad Loch Ness.

Sukces kawału Wetherella zachęcił wielu innych; szczęścia spróbował między innymi autor pochodzącej z 1951 roku fotografii „potrójnego

garbu”. Okazało się, że przedstawiała ona trzy pokryte brezentem bele słomy unoszące się na płyciźnie u brzegu jeziora i sfotografowane w taki sposób, by wyglądały na bardzo odległe. Z upływem lat coraz więcej ludzi starało się wykorzystać legendę, tworząc fantastyczne, a niekiedy bardzo pomysłowe przedstawienia potwora. Najnowsza „Nessie” pojawiła się w 2015 roku i była dziełem operatora łodzi wycieczkowej na Loch Ness, który posłużył się do tego celu włóknem szklanym.

Niezależnie od zapewnień Gerahty’ego, że to on na nowo wynalazł potwora dla współczesności, Nessie widywano już od bardzo dawna. Wielu ludzi, w tym wybitny przyrodnik sir Peter Scott, przekonywało się, że jej wypatrywanie może się przerodzić w natręctwo. Niektórzy płacili nawet za to uszczerbkiem na reputacji.

Najstarsza znana pisemna wzmianka o potworze z Loch Ness pochodzi z *Żywota św. Kolumby*, dzieła napisanego około 700 roku przez niejakiego Adomnána. Z rozdziału 28 dowiadujemy się, że kiedy św. Kolumba głosił kazania „w prowincji Piktów”, musiał przekroczyć rzekę Nesam, czyli Ness: „Alio cumque in tempore, cum vir beatus in Pictorum provincia per aliquot moraretur dies, necesse habuit fluvium transire Nesam”, jak mówi łaciński tekst, czyli: „A potem kiedy indziej, gdy święty postanowił spędzić kilka dni w prowincji Piktów, musiał przekroczyć rzekę Ness”. Kiedy jednak dotarł na brzeg rzeki, zobaczył grupę miejscowych grzebiących ciało człowieka właśnie okrutnie zagryzionego przez potwora, który wynurzył się z głębiny. Niezrażony tym i pewien, że Bóg nie opuści go w potrzebie, św. Kolumba polecił Lugneusowi Mocuminowi, jednemu ze swoich towarzyszy, by przepłynął rzekę wpław i zabrał łódkę (*caupallum*), którą dostrzegł przycumowaną u drugiego brzegu.

Kiedy Lugneus przepływał rzekę, potwór wyczuł jego ruch. Wynurzył się z potężnym rykiem i już miał pożreć nieszczęsnego mnicha, kiedy św. Kolumba uczynił w powietrzu znak krzyża i powstrzymał straszliwą bestię. Porażona potęgą Pana przerażająca zjawa zapadła się znów w swoją wstrętną wodną kryjówkę. Jak pisze Adomnán, „wszyscy, którzy byli przerażeni, w tym obecni tam barbarzyńcy, dziękowali za cud i wysławiali wielkość wiary chrześcijańskiej”. „Barbarzyńcy” oznaczają tu zdumionych Piktów. Nie byłoby ładnie rzucać jakikolwiek cień na prawość świętego czy podawać ją w wątpliwość, lecz św. Kolumba nie po raz pierwszy użył wówczas swych cudownych mocy, by w niebezpieczeństwie uchronić pogan przed szkodą i dzięki temu zdobyć nowych konwertytów na wiarę chrześcijańską – ani nie po raz ostatni.

Kolejny sporządzony przez naocznego świadka opis dziwnego stworzenia w Loch Ness zawdzięczamy Walterowi z Bingham, dwunastowiecznemu mnichowi trafnie nazywanemu „szkockim Marco Polo”. Zainspirowany przez swojego mentora Geralda z Walii, Walter postanowił odbyć pielgrzymkę do świętych miejsc Szkocji. Z korzyścią dla potomności sporządził staranny, uzupełniony rysunkami opis swojej wędrówki po starożytnej Kaledonii. Powstała w ten sposób jedyna w swoim rodzaju książka podróżnicza poświęcona dwunastowiecznej Szkocji.

Na nasze szczęście jeden z najbardziej zwracających uwagę zapisów Waltera dotyczy spotkania z potworem z Loch Ness. Miejscem akcji znów są brzegi jakiejś rzeki wpływającej do tego jeziora. Podobnie jak św. Kolumba Walter chciał się przedostać na drugą stronę i zapytał rybaków, którzy w pobliżu naprawiali swoje sieci, czy go przewiozą. Sposób, w jaki odmówili, wskazywał, że są przerażeni, nie powiedzieli mu jednak, czego się boją.

Walter poszedł w dół rzeki i spotkał chłopca ciągnącego na linie małą łódkę. Młodzian zażądał srebrnej monety za przewiezienie mnicha na drugą stronę, lecz Walter, który przyznaje się do skąpstwa, początkowo nie chciał zapłacić. Doszedł jednak w końcu z chłopcem do porozumienia i obaj bezpiecznie przedostali się przez rzekę.

Kiedy przewoźnik ruszył w drogę powrotną, Walter zobaczył ze zgrozą, jak „olbrzymia bestia z płomieniami strzelającymi z oczu” wynurzyła się z wody, wydała ogłuszający ryk i wciągnęła chłopca wraz z łódką w głębiny.

Rysunek w manuskrypcie Waltera wyblakł tak bardzo, że jest niemal niewidoczny, jednak naukowcy wykorzystali nowatorską technologię zwaną spektroskopią powiększającą, by wielokrotnie go sfotografować, a następnie ułożyli zdjęcia jedno na drugim i przetworzyli wynik za pomocą „manipulatora Guggenheima”. Biblioteka Brytyjska twierdzi, że dość niezwykły wynik tych badań przedstawia najstarszy, choć nieco wzmocniony wizerunek Nessie. Jako wykształcony duchowny Walter mógł jednak po prostu powtórzyć, a nawet dokładnie splagiatować wcześniejszy bardzo podobny opis Adomnána.

Z upływem lat sporządzono dziesiątki rzekomych fotografii Nessie i nagrano setki sekund filmów z jej udziałem. Nic z tego nie zostało uznane za bezsprzeczny naukowy dowód istnienia potwora. Nawet jeśli tak, to wśród ponad dwóch tysięcy filmików z rzekomą Nessie zamieszczonych w portalu YouTube znalazło się trochę zajmujących, choć nie całkiem przekonujących materiałów przedstawiających wielkie zwierzokształtne obiekty sprawiające wrażenie, jakby płynęły po jeziorze lub tuż pod jego powierzchnią.

Przeprowadzono również liczne sonarowe badania wód Loch Ness znanych z nieprzejrzystości spowodowanej dużą zawartością torfu.

Wyróżnia się wśród nich „operacja Deepscan” przeprowadzona w październiku 1987 roku przez ekologa i wieloletniego poszukiwacza Nessie Adriana Shine’a. Uczestniczyło w niej jakieś dwadzieścia wyposażonych w sonary łodzi, które ustawione w tyralierę przeczesywały jezioro, poszukując w głębiach jakichkolwiek oznak życia. Nie znalazły nic. Próbki pobrane podczas późniejszych, przeprowadzonych w 2008 roku bardzo gruntownych i powolnych sonarowych badań mocno zamulonego dna jeziora znów nie dostarczyły żadnych danych wskazujących na odnalezienie żywego lub martwego dużego wodnego zwierzęcia.

Strome wzgórza otaczające większość jeziora mogą powodować nagłe podmuchy i prądy zstępujące powietrza zarysowujące powierzchnię jeziora i tworzące „kocie łapy” sprawiające wrażenie szybko poruszających się stałych obiektów. Zdarza się to zwłaszcza, gdy silny wiatr wieje na jezioro z ukosa. Również ślady pozostawiane przez łodzie mogą tworzyć „guzy” i fałdy na powierzchni, zwłaszcza przy bezwietrznej pogodzie. Takie ślady są niekiedy widoczne nawet wtedy, gdy łódź, która je pozostawiła, niknie z pola widzenia. Co do przypadków „strasznego zamętu”, o jakich donoszono w minionych latach, to lokalni sternicy łodzi pływających po jeziorze, tacy jak kapitan John McDonald, który w ciągu pięćdziesięcioletniej kariery przemierzył Loch Ness w górę i w dół jakieś 20 tysięcy razy, je lekceważą. McDonald mówi, że są to jedynie ławice dużych łososi, które często pływają w długich kolumnach, po drodze wyskakując z wody.

Jeśli w jeziorze rzeczywiście żyje jakieś wielkie wodne zwierzę, to co to jest? Specjaliści od drapieżnych morskich gadów uważają, że większości opisów naocznych świadków najlepiej odpowiada wymarły około 65 milionów lat temu i zrekonstruowany na podstawie skamielin *Plesiosaurus*.

Wikipedia mówi nam, że „*Plesiosaurus* jest to rodzaj wymarłego, wielkiego morskiego gada z nadrzędu zauropterygów, który żył w początkowej części okresu jurajskiego. […] Cechował się niewielką głową, długą smukłą szyją, szerokim jak u żółwia ciałem, krótkim ogonem i dwiema parami wielkich, wydłużonych płetw”. Opis ten pasuje dobrze do większości relacji osób, które widziały Nessie. (Niektórzy naukowcy uważają, że plezjozaur pływał w oceanach znacznie wcześniej, w późnym triasie, mniej więcej 200 milionów lat temu, ale cóż znaczy parę milionów lat różnicy w opiniach ekspertów?)

Z teorią plezjozaura mamy jednak kilka kłopotów. Jeden wiąże się z tym, że obecna powierzchnia Loch Ness, jeziora pozbawionego dostępu do morza i wyżłobionego przez lodowiec wiele tysięcy lat temu, znajduje się jakieś 16 metrów powyżej poziomu morza. Niektórzy eksperci twierdzą jednak, że gdy około 14 tysięcy lat temu lodowiec topniał, przez stosunkowo krótki okres wody jeziora były połączone z Morzem Północnym. Czy pozwoliłoby to grupie plezjozaurów popłynąć w górę Great Glen i na stałe zasiedlić jezioro? Czy cofający się lodowiec zamknął je w pułapce? Muszlę morskiego małża wydobytą niedawno przez oblepioną gliną kotwicę w pobliżu zamku Urquhart naukowcy datują na rok 14 100 p.n.e. Odpowiada to dokładnie okresowi ustępowania ostatniego zlodowacenia i towarzyszącemu mu podnoszeniu się globalnego poziomu morza. Muszla ta nieco uwiarygodnia zatem koncepcję, zgodnie z którą morze i to, co dziś jest jeziorem Loch Ness, połączyły się. Plezjozaury nie mogły jednak przetrwać przez tysiąclecia jako jedna rodzina. Pierwszą podróż musiałaby odbyć znaczna liczba tych stworzeń, które następnie przez tysiące lat dawałyby kolejne pokolenia potomstwa.

Przeciw możliwości, że Nessie jest plezjozaurem, a więc gatunkiem morskim, przemawia również fakt, że woda w dzisiejszym jeziorze nie jest

słona, lecz słodka. W odpowiedzi na to zastrzeżenie entuzjaści Nessie replikują, że z upływem lat stworzenia po prostu zaadaptowały się do zmniejszającego się zasolenia wody. Intrygujące dodatkowo jest to, że w różnych miejscach Szkocji odkrywa się coraz więcej tropów dinozaurów – w tym także na wyspie Skye, gdzie ze skamieniałego błota wciąż wyłaniają się liczące 170 milionów lat odciski stóp środkowojurajskich zauropodów, takich jak brontozaur, i teropodów, takich jak tyranozaur.

Nessie obserwowano najczęściej na wodach zatoki Urquhart, w niektórych miejscach głębokich na przeszło 200 metrów. Wpływają tu do jeziora dwie rzeczki, zapewniając odnawialne źródło pożywienia w postaci łososi i pstrągów. Mimo to niektórzy eksperci twierdzą, że w jeziorze jest po prostu za mało ryb, by mogła się w nim dłużej utrzymać przy życiu zdolna do reprodukcji grupa plezjozaurów.

Sceptycyzmowi temu można przeciwstawić wielką liczbę naocznych świadków, którzy widzieli potwora z Loch Ness. W swojej znakomitej książce na ten temat Gareth Williams mówi: „Szacuje się, że do połowy lat 70. XX wieku około 190 tysięcy ludzi donosiło, iż widziało potwora. Odrzucając oczywistych szaleńców i oszustów, uzyskujemy twardy rdzeń w postaci około trzech tysięcy obserwacji, które wydają się wiarygodne”. To piekielnie dużo. Nawet jeśli do tych „wiarygodnych” obserwacji wprowadzimy poprawkę sugerowaną przez eksperyment Adriana Shine’a, który w losowym rytmie wynurzał z wody i zanurzał w niej drewniany słupek, po czym okazało się, że jedna trzecia obserwatorów informowała dostrzeżenie czegoś innego niż kawałek drewna, to i tak pozostaną nam jakieś dwa tysiące wiarygodnych naocznych świadków. Gdyby ich zapytać, nie tylko powiedzieliby, że widzieli potwora, ale byliby gotowi potwierdzić to pod przysięgą.

Na korzyść istnienia potwora przemawia też sama wielkość i głębokość Loch Ness. Ze swoją największą głębią 230 metrów i powierzchnią 56 kilometrów kwadratowych jezioro to zawiera więcej słodkiej wody niż wszystkie jeziora Anglii i Walii razem wzięte. Jest to największy zbiornik wodny w Great Glen, szkockiej rozpadlinie ciągnącej się wzdłuż uskoku tektonicznego od Inverness na północnym wschodzie do Fort William na południowym zachodzie. Przeprowadzone w 1970 roku sonarowe mapowanie jeziora wykazało, że całkowicie wbrew wszystkim wcześniejszym badaniom batytermograficznym Loch Ness skrywa, mówiąc słowami Williamsa, „zdumiewający podwodny krajobraz grzbietów górskich, kanionów [o głębokości przekraczającej miejscami 120 metrów] oraz jaskiń, również dość wielkich, by ukryć nawet dwunastometrowe zwierzę”.

Choć po latach 30. ubiegłego wieku liczba obserwacji Nessie gwałtownie spadła, to w kolejnych pokoleniach fascynacja Loch Ness i ewentualnymi mieszkańcami tego jeziora powraca w nowych formach. W czerwcu 2018 roku zespół naukowców z uniwersytetu w Otago w Nowej Zelandii, zamierzając udowodnić istnienie potwora lub je wykluczyć, rozpoczął poszukiwanie w jeziorze „środowiskowego DNA” (eDNA). Badacze będą pobierali próbki wody z trzech różnych głębokości w różnych obszarach Loch Ness. Środowiskowe DNA to zarówno jądrowe, jak i mitochondrialne DNA odnajdywane w danym środowisku. Wydziela się ono między innym ze skór, szkieletów, śluzów, odchodów i włosów zamieszkujących w nim organizmów. Wykorzystując technikę ilościową zwaną łańcuchową reakcją polimerazy (qPRC), w próbkach wody można wykryć eDNA nawet przy bardzo małych stężeniach. Wprawdzie eDNA w otwartej wodzie nie utrzymuje się dłużej niż dziesięć dni, jednak uwięzione w osadach może przetrwać tysiące lat.

Wszyscy będą niezmiernie podekscytowani, jeśli w ten sposób zostaną odnalezione dowody istnienia jakichś pradawnych, uznawanych za dawno wymarłe gatunków – takich jak na przykład plezjozaur. Czy nawet jakiejś zmutowanej odmiany tego gatunku. Aby zapewnić naukowe rygory badania, zespół będzie pobierał odrębne próbki z różnych miejsc w pobliskich jeziorach Loch Morar, Loch Garry i Loch Oich oraz testował je osobno w celach kontrolnych. Aby uzyskać absolutną pewność, że nie popełniono żadnego błędu, oraz wykluczyć wszelką możliwość manipulowania wynikami, wszystkie próbki będzie się wysyłać do laboratoriów we Francji, Stanach Zjednoczonych, Danii, Australii i Nowej Zelandii. Naukowcy w tych pracowniach nie będą wiedzieli, skąd pochodzą badane przez nich próbki. Po przeprowadzeniu sekwencjonowania eDNA ze wszystkich próbek wyniki porówna się z międzynarodowymi bazami znanych gatunków. Jeśli w Loch Ness rzeczywiście żyje jakiś gatunek potwora, eDNA to wykaże. Nawet jeśli będzie to gatunek zupełnie nieznany nauce, to i tak uzyskane dane będzie można wykorzystać do ustalenia, do jakiej kategorii zwierząt się on zalicza. Wyników badań można się spodziewać dopiero w 2019 roku*.

Potwór z Loch Ness, czy istnieje, czy też nie, to wielki biznes przynoszący lokalnej gospodarce jakieś 25 milionów funtów rocznie. Utrzymywanie tej legendy przy życiu leży w interesie wielu ludzi, ale – sądząc po milionach turystów co roku odwiedzających ten rejon i jakichś 200 tysiącach zapytań o potwora odnotowywanych miesięcznie przez Google – nie mają się o co martwić. Sondaże pokazują, że 85 procent gości przybywa w nadziei napotkania Nessie.

Tysiące wielbicieli Nessie regularnie sprawdzają, co dzieje się na wodach jeziora, korzystając z dostępnych przez internet i nieprzerwanie czynnych kamer, jakie rozmieszczono w różnych jego punktach. Czy któryś

z tych amatorów lub jakiś zespół naukowy znajdzie kiedyś powszechnie zaakceptowany dowód istnienia potwora z Loch Ness? Taka rewelacja byłaby naprawdę w najwyższym stopniu cudowna.

---

* Podczas badań DNA 250 próbek wody z jeziora nie wykryto śladów istnienia prehistorycznego gada morskiego, zwanego plezjozaurem, ani żadnych wielkich ryb. Znaleziono natomiast DNA węgorzy, co pozwala na hipotezę, że potworem z jeziora był po prostu gigantyczny węgorz, zob. otago.ac.nz/news/news/otago717609.html (przyp. red.).

WIELKA STOPA I INNI PODEJRZANI

Jak widzieliśmy w związku z potworem w Loch Ness, nic tak bardzo nie dzieli ludzi na wierzących i niewierzących jak kryptyda, czyli „zwierzę, którego istnienie lub przetrwanie nie jest potwierdzone bądź stanowi przedmiot sporu”. Jedną z najlepiej znanych i najbardziej kontrowersyjnych kryptyd jest wielkie, włochate, przypominające małpę stworzenie występujące pod nazwą „Wielka Stopa” lub „Sasquatch”.

Zwolennicy Wielkiej Stopy twierdzą, że od czasu, gdy pierwszy raz zasugerowano istnienie tego stworzenia światowej sławy, widziano je tysiące razy, odnajdywano ślady, sporządzano odlewy tropów, uwieczniano je na zdjęciach i filmach. Niemal wszystko to odnotowano podobno w dzikich leśnych ostępach wielu regionów Stanów Zjednoczonych i Kanady. Entuzjaści utrzymują również, że zważywszy na samą liczbę i rozmaitość tych doniesień, jawne kwestionowanie istnienia tego stworzenia jest nienaukowe. Przynajmniej zaś, że wszystkie te świadectwa upoważniają do przeprowadzenia poważnych naukowych badań. Wielu innych, wśród nich niemała garstka biologów i antropologów, z miejsca odrzuca całą historię Wielkiej Stopy. Uważają ją za mistyfikację lub ludową opowieść, która współcześnie rozpoczęła się jako kawał, a potem nabrała własnego życia.

Jeśli Wielka Stopa jest mistyfikacją, to jak jej dokonano? W najlepiej znanej wersji wydarzeń w środę 27 sierpnia 1958 roku pewien mężczyzna o nazwisku Jerry Crew usuwał zarośla i pniaki na końcu budowanej właśnie drogi do zwózki drewna na północ od Willow Creek, miasteczka

położonego na pograniczu hrabstw Humboldt i Del Norte w północnej Kalifornii.

Hrabstwo Del Norte, oblewane od zachodu Oceanem Spokojnym, a od północy graniczące z Oregonem, słynie ze swojej niezwykle zróżnicowanej i bogatej flory i fauny, zwłaszcza znanych na całym świecie sekwoi wiecznie zielonych (*Sequoia sempervirens*), które potężnymi, wyniosłymi regimentami maszerują wzdłuż jego północno-zachodniego skrawka wybrzeża.

Zmierzając od tych potężnych legionów sekwoi w głąb lądu, odkrywamy na liczącym 3200 kilometrów kwadratowych obszarze dzikie i poszarpane pasmo gór Klamath. Ich szczyty sięgają 2752 metrów, teren jest rzadko zaludniony, a gleba i klimat stwarzają idealne warunki do wzrostu jednej z największych na świecie rozmaitości gatunków drzew iglastych. Te gęste lasy – wiele z nich znajduje się obecnie w granicach parków narodowych – są ponadto siedliskiem rysi, panter, niedźwiedzi czarnych, kun i licznych innych bardziej i mniej groźnych stworzeń. Mnóstwo drzew, mnóstwo zwierząt i bardzo mało ludzi w połączeniu z samą rozległością tego regionu czyni z niego obszar prawdziwie dzikiej przyrody.

Jeśli czegoś nie znamy, mamy skłonność się tego obawiać – dlatego właśnie całe mnóstwo opowieści o duchach i chochlikach, goblinach i potworach, wiedźmach i czarnoksiężnikach ma za swoje tło dzikie, niezamieszkane połacie ziemi, zwłaszcza gęste, ciemne i niedostępne lasy. Dobrym przykładem jest baśń braci Grimmów o Jasiu i Małgosi.

Wracając do naszej opowieści, znajdujemy Jerry’ego Crewa, człowieka z dobrej rodziny zamieszkałego w pobliskiej osadzie Salyer, w kabinie ciągnika firmy Caterpillar. Ciągnik jest wyposażony w lemiesz spychacza, a Crew oczyszcza i wyrównuje teren pod budowę nowej, finansowanej

przez rząd federalny drogi nad Bluff Creek. Podwykonawcą budowy jest lokalna firma Wallace Brothers Logging Company. Ludzie, którzy znali Crewa, wspominają go jako trzeźwego i solidnego obywatela z lśniąco czarnymi, krótko ostrzyżonymi włosami i szeroką klatką piersiową. Wyróżniały go jedynie odstające uszy. Nie był znany z zamiłowania do robienia kawałów.

Jak pisze Marian T. Place w swojej wydanej w 1974 roku książce *On the Track od Bigfoot*, kiedy Jerry przyjechał tego ranka do pracy, pozdrowił klaksonem Wilbura „Shorty'ego" Wallace'a, swojego szefa, a następnie udał się w miejsce, gdzie poprzedniego dnia pozostawił spychacz. Gdy przebrał się w ubranie robocze i włożył kask, zauważył obok maszyny kilka dużych, dziwnie wyglądających śladów odbitych głęboko w miękkiej ziemi. Wspiął się na ciągnik i spojrzał w dół. Z wyższego punktu widzenia ślady przestały być tylko dziwne – wyglądały też na niewiarygodnie duże. O wiele za duże, by odcisnęła je ludzka stopa. Zdawało się również, że ukazują pięć palców wyraźnie wyodrębnionych i uderzająco podobnych do ludzkich. Crew był zdumiony, wiedział, że nie mogą to być tropy niedźwiedzia.

Zastanawiając się, czy nie padł ofiarą kawału, Crew wrócił do Shorty'ego Wallace'a i opowiedział mu, co widział. Paru innych ludzi zgromadziło się, by posłuchać – fakt sam w sobie podejrzany i sugerujący kombinację, która Jerry'emu od razu przyszła na myśl. Wallace powiedział swoim wyraźnie urzeczonym słuchaczom – było tego dnia na miejscu około trzydziestu mężczyzn – że cokolwiek pozostawiło te gigantyczne ślady, może również odpowiadać za niektóre tajemnicze wydarzenia, do jakich doszło w miejscu budowy w minionych paru tygodniach. Któregoś razu olbrzymia, ponadtrzystukilogramowa zapasowa opona do maszyny do wyrównywania drogi w jakiś sposób wylądowała w rowie; kiedy indziej

jakby ktoś przerzucił – albo coś przerzuciło – pełną, ważącą dwieście kilogramów beczkę z paliwem ponad brzeg skarpy do wykopu.

Zastanawiając się nad tym, czyje – i czy w ogóle czyjeś – mogłyby być te nieprawdopodobnie wielkie tropy, ukuli nazwę „Wielka Stopa” na określenie potencjalnego winowajcy. Marian Place opowiada dalej, że Shorty Wallace „wyraźnie puścił oko”, by przerwać dyskusję, a potem powiedział swoim ludziom, żeby „koniecznie dali mu znać, jeśli zobaczą jakieś małpy zwiewające po drzewach”. Tymczasem „będzie wdzięczny, jeśli wrócą do pracy”. Ta wzmianka o małpach również wyraźnie sugeruje, że Wallace albo był autorem kawału, albo brał w nim udział.

Wieczorem tego dnia Jess Bemis, kolega Jerry’ego z pracy, opowiedział swojej żonie Coralie o tajemniczych tropach. Coralie Bemis miała w sobie coś szelmowskiego. W ciągu paru następnych dni małżeństwo trochę się zabawiło, rozpuszczając coraz to bardziej przesadzone plotki o Wielkiej Stopie siejącej zamęt na drodze nad Bluff Creek.

Wymyślanie potworów i dziwacznych stworzeń oraz robienie kawałów kolegom z pracy ma długą tradycję w życiu amerykańskich robotników. Dzięki temu czas szybciej mijał, a monotonia rutynowej i wyczerpującej pracy stawała się łatwiejsza do zniesienia. Ofiarami kawałów byli niekiedy pracownicy młodzi i nowi, co stanowiło pewną formę otrzęsin lub rytuału inicjacyjnego. W tle wszystkich tych opowieści i psotnych sztuczek pojawia się często legendarna postać Paula Bunyana – gigantycznego drwala o nadnaturalnej sile i niewątpliwie wielkich stopach, który włóczy się po lasach i puszczach w towarzystwie swojego niebieskiego wołu.

Oto jeden z wielu przykładów: z początkiem XX wieku pewien całkiem zwyczajnej postury drwal Eugene Shepard twierdził, że schwytał, a następnie pomógł zabić stworzenie, które nazwał „hodagiem”. Kiedy wieści się rozniosły, zwierza tego – pomimo jego stosunkowo niewielkiej

postury – opisywano jako „nosorożca z lasów Ameryki Północnej”. Zdjęcie przedstawiające Sheparda i jego kolegów stojących wokół martwego hodaga z siekierami, grabiami i strzelbami wykorzystano do wykonania pocztówki, która sprzedała się w setkach tysięcy sztuk. A był to tylko figiel. Shepard i jego kumple wyrzeźbili hodaga z drewna, aby oszukać opinię publiczną i samemu się zabawić. Sfingowane przez nich stworzenie przypominało – jeśli cokolwiek – krzyżówkę lisa, bulteriera i świni.

Prace przy drodze nad Bluff Creek trwały aż do połowy września, kiedy pojawiła się świeża seria gigantycznych tropów. Gdy robotnicy je zobaczyli, stracili pewność, że uczestniczą w jakiejś wyszukanej mistyfikacji. Nawet Coralie Bemis, która słyszała teraz mężczyzn zdumionym tonem opowiadających o nowych śladach, zaczęła się zastanawiać, czy aby nie pozostawiło ich jakieś prawdziwe stworzenia.

Zbadawszy nowe tropy, Jerry Crew orzekł, że o ile pierwotne odciski były wykonane w ramach jakiegoś misternego oszukaństwa, o tyle nowe wyglądają na pozostawione przez jakieś nieznane, lecz rzeczywiste stworzenie, które żyje w lesie i nocą przychodzi do obozu robotników. Jest żywo zainteresowane wszystkimi nowymi pracami, a niekiedy robi w nich bałagan, nie wiadomo po co rozrzucając ciężkie przedmioty. Żądny potwierdzić swoje nowe przekonanie, Crew przerysował na papier jeden ze śladów i zawiózł rysunek do wypychacza zwierząt o nazwisku Robert Titmus. Miał on warsztat w mieście Anderson w pobliżu Redding, jakieś 160 kilometrów na południowy wschód od Bluff Creek. Titmus powiedział Crewowi, że jego rysunek nie jest wystarczająco szczegółowy, by mógł się przydać do zidentyfikowania tajemniczego stworzenia, oraz nauczył go robić gipsowe odlewy tropów.

Kiedy Crew sporządził odlew, zadzwonił do Titmusa. Wypychacz wraz ze swoim kolegą Alem Corbettem wybrał się w podróż na północ, by

zbadać odcisk. Był długi na 46 centymetrów – znacznie większy od największej nawet ludzkiej stopy. Pomimo to nie zrobił wrażenia na Corbetcie, który powiedział: „To robotnicy robią sobie wzajemnie kawały”. Zdecydowany przekonać gości, że tak nie jest, Crew dał im mapę pokazującą drogę na miejsce budowy nad Bluff Creek i zaproponował, aby tam pojechali i sami zbadali tropy.

Podczas gdy Crew pracowicie starał się potwierdzić swoje przekonanie o realności Wielkiej Stopy, Coralie Bemis równie pracowicie pisała list ze szczegółowym opisem całej historii adresowany do Andrew Genzolego, redaktora regionalnej gazety „Humboldt Times”. Genzoli nie przejął się bardziej niż Corbett i jak on podejrzewał, że to tylko wygłupy drwali znad Bluff Creek. Tak więc na parę dni odłożył na bok materiał na niemal z pewnością najważniejszy w jego życiu artykuł.

Później, kiedy 21 września 1957 roku miał do zapełnienia jakąś kolumnę w gazecie, przypomniał sobie list Coralie. Wyciągnął go z szuflady, trochę podszlifował i opublikował. Reakcja czytelników przeszła jego wszelkie oczekiwania. Byli zelektryzowani i po prostu żądni kontynuacji. Zachęcony tym Genzoli osobiście zbadał sprawę tropów znad Bluff Creek, od nowa napisał całą historię i opublikował artykuł. I tu pojawia się Betty Allen. Ta stała korespondentka „Humboldt Times” mieszkała w Willow Creek, miasteczku położonym niedaleko od Bluff Creek. Dziś zachwala się ono jako „miejscowość wśród poszarpanych gór, położona w sercu Narodowego Lasu Sześciu Rzek […] w regionie Trinity/Shasta/Cascade, w pobliżu granicy z Oregonem, […] łatwo dostępna drogami stanowymi 96 (»malownicza boczna droga Wielkiej Stopy«) i 299”.

Jako pilna i skrupulatna dziennikarka Allen udała się do obozu nad Bluff Creek, przeprowadziła rozmowy z pracownikami i napisała jeszcze

trochę dla Genzolego i „Humboldt Times”. Jej dziennikarska werwa i polot w połączeniu z artykułami Genzolego utrzymały historię przy życiu. Potem – było to w sobotę 4 października – Jerry Crew odwiedził Genzolego z gipsowym odlewem tropu domniemanej Wielkiej Stopy. Redaktor zagwizdał. Stopa była o wiele większa od ludzkiej – do tego: miała palce. Bardzo, bardzo wielkie palce, co oznaczało, jak powiedział mu Jerry Crew, że nie była to łapa niedźwiedzia. Czy gdzieś tam w lasach żyła rasa starożytnych ludzkich gigantów, czy może rzeczywiście grasowało w nich jakieś nieznane, lecz olbrzymie zwierzę?

Genzoli kazał zrobić zdjęcie pokazujące, jak Crew przygląda się odlewowi, podczas gdy on stoi obok. Następnego ranka w niedzielnym wydaniu „Humboldt Times” ukazał się artykuł z wielkim nagłówkiem: „Olbrzymie odciski stóp skrywają tajemnicę przyjaznego giganta znad Bluff Creek”. Genzoli starannie podkreślał w nim, że stworzenie jest przyjazne: „Ludzie często byli przekonani, że są obserwowani. Uważają jednak, że nie była to »wroga obserwacja«. Niemal zawsze nazajutrz po ukończeniu kolejnego odcinka drogi znajduje się na niej ślady, jakby stworzenie miało »obowiązki nadzorcze« wobec tej budowy. Czy tropy te są ludzką mistyfikacją? A może są to rzeczywiście ślady olbrzymiego, lecz nieszkodliwego dzikiego człowieka podróżującego po puszczy? Czy może to być jakieś legendarne wielkie zwierzę? Może mamy jakiegoś krewnego himalajskiego yeti, naszego własnego Wędrującego Williego z Weitchpec (wioski w pobliżu Bluff Creek)?”.

Artykuł chwycił: było to niczym przyłożenie otwartego ognia do suchego chrustu. Wielka Stopa jednym skokiem trafiła na scenę międzynarodową. Dziennikarze i reporterzy z całego świata wydeptywali ścieżkę do drzwi Genzolego, a jego myśl o gigantycznym, włochatym (lecz

przecież przyjaznym) stworzeniu przemierzającym lasy Ameryki Północnej na trwałe zagnieździła się w zbiorowej wyobraźni.

Na nieszczęście dla wielu entuzjastów Wielkiej Stopy, którzy wierzyli w autentyczność odcisków znad Bluff Creek, okazały się one fałszerstwem.

W 2003 roku Michael Wallace opowiedział, że w 1958 nad Bluff Creek jego ojciec Wilbur ze swoim bratem Rayem poprosili jakiegoś przyjaciela o wyrzeźbienie pary drewnianych stóp. Chcieli zrobić kawał robotnikom budującym drogę. Kiedy odebrali zamówienie, Ray Wallace poprosił kolegę z pracy, by powoli przejechał z nim samochodem po obozie, a sam po drodze w różnych strategicznych punktach mocno odciskał w ziemi ślady stóp. Wallace starannie przemyślał swoją mistyfikację: ponieważ jechał samochodem, łatwiej mu było robić odciski w taki sposób, by „długość kroku” była znacznie większa niż w przypadku tropu niedźwiedzia.

To wyznanie Michaela Wallace’a być może na krótko ostudziło zapał niektórych członków wspólnoty Wielkiej Stopy. Na długą jednak metę, podobnie jak w przypadku potwora z Loch Ness czy innych słynnych na całym świecie kryptyd, ujawnienie mistyfikacji żadną miarą nie zatrzymało rozwoju legendy Wielkiej Stopy. Coraz więcej doniesień o „wielkim, włochatym, podobnym do małpy stworzeniu”, które widziano, jak susami przebiega lasy, napływało do gazet oraz stacji radiowych i telewizyjnych. Nadchodziły nie tylko z lasów północnej Kalifornii, ale także z lesistych rejonów całych Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Sugerowano niekiedy, że pierwotnymi twórcami legendy o Wielkiej Stopie byli kanadyjscy Indianie z plemienia Saliszów Nadmorskich. Zamieszkali w Kolumbii Brytyjskiej w dolinie Fraser i na wyspie Vancouver Saliszowie mieli długą tradycję opowieści o olbrzymim, włochatym człekopotworze zwanym Sasquatch. Podobne gigantyczne leśne kryptydy występują

w legendach plemion amerykańskich Indian. Historie te są o wiele starsze niż pierwsza odnotowana informacja o odkryciu dziwnych odcisków stóp, jakiego dokonał David Thompson, podróżnik i kupiec pracujący dla Northwest Company. W 1811 roku doniósł on, że w pobliżu miejsca, gdzie dziś znajduje się miasto Jasper w Albercie, zauważył na śniegu szereg tropów. Odnotował, że ślady miały 35 centymetrów długości i 20 szerokości oraz że pozostawiły je stopy tylko z czterema palcami. Było to bardzo tajemnicze. Sensacyjne wieści rozniosły się daleko.

W dzienniku Thompsona pod datą 7 stycznia 1811 roku znajduje się wpis: „Widziałem trop wielkiego zwierzęcia – miało 4 duże palce po około 3 lub 4 cale długości z małym pazurem na końcu. Przednia część podeszwy zapadała się o około 3 cale głębiej niż palce – tylna część stopy nie była wyraźnie odciśnięta. Cały ślad był długi na około 14 cali, a szeroki na 8 cali i bardzo przypominał ślad wielkiego niedźwiedzia. Było to nad strumieniem, śniegu było około 6 cali” [cytowane w: T.C. Elliott, *Journal of David Thompson*, „Oregon Historical Quarterly” nr 15, March–June 1914].

Powracając do tego wspomnienia jakieś czterdzieści lat później w *Narrative*, opisie swego życia i czasów, Thompson dodał:

> Powracam teraz do tego, co już zauważyłem z początkiem ostatniej zimy, kiedy w towarzystwie ludzi i czterech myśliwych podążałem w górę rzeki Athabasca, by przekroczyć góry. Nad jedną z odnóg tej rzeki natrafiliśmy na ślady dużego zwierzęcia, z których każdy miał czternaście cali długości i osiem cali szerokości, co zmierzyliśmy taśmą mierniczą. Ponieważ śnieg miał około sześciu cali głębokości, trop był dobrze zaznaczony i mogliśmy go widzieć aż do odległości stu jardów od nas. Zwierzę poruszało się z północy na południe. Nie próbowaliśmy podążyć za nim, ponieważ nie

mieliśmy na to czasu, a myśliwi, zazwyczaj chętni tropić i zabijać każde zwierzę, nie próbowali pójść za tą bestią, bo co kule z naszych strzelb na ptactwo poradziłyby na takie zwierzę?

Według wieści z dawnych czasów główne odnogi tej rzeki i pobliskie góry dają zamieszkanie bardzo wielkiemu zwierzęciu lub większej ich liczbie, czemu nigdy nie byłem skłonny dawać wiary. Wydawało mi się bowiem, że opowieści te płynęły z tak powszechnej wśród rodzaju ludzkiego słabości do cudowności; ale widok śladów bestii tak wielkiej wprawił mnie w osłupienie i często o niej myślałem, jednak nigdy nie mogłem skłonić się do wiary, że takie zwierzę istnieje, lecz myślałem, że mógł to być trop jakiegoś Potwornego Niedźwiedzia.

Ciekawe w tej relacji jest coś, co stanowi bezpośrednie antidotum na całą tę mistyfikację, której przyjrzeliśmy się wyżej – mianowicie pobrzmiewa ona prawdą, a zarazem jest bardzo intrygująca. O ile nam wiadomo, Thompson nie miał żadnego interesu w tworzeniu i puszczaniu w obieg fałszywego opisu tropów kryptydy. Co więcej, mówi on, że trudno mu było uwierzyć, by ślady pozostawiło coś innego niż „Potworny Niedźwiedź”. Każe się to nam zastanawiać, co właściwie widział tamtego dnia Thompson, jeśli naprawdę nie były to tropy nieznanego stworzenia?

Nie odnotowano, by legendarny dziewiętnastowieczny amerykański impresario cyrkowy P.T. Barnum zaliczał się do ludzi, którzy słyszeli o napotkanych przez Thompsona tajemniczych śladach, lecz w roku 1846 w ramach swojego niesłychanie popularnego przedstawienia w Londynie pokazywał stworzenie, które nazwał „dzikim człowiekiem”. Twierdził, że to wielkie włochate zwierzę, które na oczach zafascynowanej publiczności jadło wstrętne pożywienie, zostało „schwytane w ostępach Kalifornii”.

Aż do 1967 roku najbardziej przekonującym dowodem istnienia Wielkiej Stopy była napływająca do mediów w całych Stanach Zjednoczonych olbrzymia liczba doniesień o gigantycznych odciskach stóp. Do niektórych relacji dołączano zdjęcia, które sprawiają wrażenie uderzająco prawdziwych. Sceptycy odpowiadają, że niezbyt trudno wyciąć parę „stóp Wielkiej Stopy" ze styropianu lub jakiegoś innego materiału, a następnie przytwierdzić je do butów i do woli włóczyć się po lasach. Jeśli któryś z czytelników postanowi zabawić się tą sztuczką, powinien zawsze pamiętać, że jakiś lokalny myśliwy może zauważyć, jak porusza się wśród rozpraszanych światłem cieni, wziąć go za zwierzynę łowną i położyć trupem.

Piątkowego popołudnia 20 października 1967 roku dwaj ludzie – Roger Patterson i Bob Gimlin – dolali oliwy do ognia dyskusji na temat Wielkiej Stopy. Ci dawni pracownicy rodeo z hrabstwa Yakima w stanie Waszyngton od dawna próbowali nakręcić fabularyzowany dokument o Wielkiej Stopie. Chcieli sfilmować historię, w której Gimlin występował w roli „indiańskiego tropiciela" (miał w żyłach krew Apaczów, ale i tak wkładał perukę). Aby zwiększyć autentyczność opowieści, uwzględniono w niej również postać „starego górnika".

Patterson od dawna bardzo – by nie powiedzieć: obsesyjnie – interesował się tematem Wielkiej Stopy. Niejeden już raz odwiedzał rejon Bluff Creek, a w 1966 roku opublikował książkę pod tytułem *Do Abominable Snowmen of America Really Exist?*. Obaj panowie biedzili się nad swoją opowieścią i filmem, gdy nagle dopisało im szczęście. Jeśli zaś uwierzyć, że trwający 59,5 sekundy i liczący 954 klatki film, który Patterson nagrał tamtego jesiennego dnia wypożyczoną szesnastomilimetrową kamerą, dowodzi istnienia Wielkiej Stopy, to mieli

naprawdę przeogromne szczęście. Nagranie nie tylko zdobyło międzynarodową sławę – zalicza się do najczęściej oglądanych filmów wszech czasów – ale wciąż zdumiewa, przekonuje, wprawia w zakłopotanie i pobudza krytycyzm widzów na całym świecie.

Patterson i Gimlin opowiadali, że tamtego popołudnia szukali śladów Wielkiej Stopy, jadąc konno z grubsza na północny wschód wzdłuż wschodniego brzegu Bluff Creek w górę rzeki. Omijając wykrot jakiegoś wielkiego obalonego drzewa, zobaczyli stojące na przeciwległym brzegu rzeki duże, włochate, przypominające małpę stworzenie. Patrzyło na nich. Patterson mówił, że kiedy na nie natrafili, znajdowało się w odległości zaledwie 38 metrów od niego. Jego koń przestraszył się i stanął dęba, on zaś potrzebował około dwudziestu sekund, by nad nim zapanować. Stworzenie tymczasem odwróciło się i zaczęło się oddalać. Patterson porwał kamerę z juków, pobiegł w stronę powłóczącej nogami postaci i zaczął filmować, gdy znalazł się o rzut kamieniem od niej.

Gimlin opowiadał, że na wypadek kłopotów wyciągnął z futerału strzelbę i był gotów do strzału. Kryptyda podskakującym krokiem oddalała się w głąb lasu. Potem zaś – jest to najbardziej pamiętny i przekonujący fragment całego filmu – trzykrotnie odwróciła się, by spojrzeć na Pattersona i Gimlina. Co wtedy od razu zauważamy? Że ramiona stworzenia są bardzo długie w stosunku do reszty ciała; że ma ono pośladki, spiczastą głowę i kobiece piersi; że podeszwy jego stóp są wyraźnie jasne.

W późniejszym wywiadzie udzielonym Johnowi Willisonowi Greenowi, kanadyjskiemu dziennikarzowi i czołowemu badaczowi Wielkiej Stopy, Patterson powiedział: „Stworzenie znajdowało się po mojej lewej stronie, w odległości jakichś 125 stóp po drugiej stronie strumienia. […] Głowę miało zupełnie ludzką, choć wyraźnie bardziej pochyloną, wysokie i szerokie czoło, szerokie nozdrza. Kiedy szło, jego ramiona zwisały niemal

do kolan. Włosy miały dwa do czterech cali długości, pod spodem brązowe, jaśniejsze na końcach, pokrywały całe ciało prócz twarzy wokół nosa, ust i policzków. I był to okaz żeński: miał duże obwisłe piersi”.

Relacje Pattersona i Gimlina różnią się w kilku ważnych punktach.

Patterson mówił najpierw, że wydaje mu się, iż stworzenie miało trochę ponad dwa metry wzrostu. Później dodał do tego oszacowania jakieś 30 centymetrów. Gimlin oceniał wysokość Wielkiej Stopy na około 180 centymetrów.

Ray Wallace, brygadzista w obozie drwali nad Bluff Creek, przyznał później, że to on skierował Pattersona i Gimlina w miejsce, gdzie Wielkiej Stopie zdarzało się pokazywać. Zbieżność ta jest godna uwagi. I być może nieco za daleko idąca.

Nie znaczy to, żebyśmy chcieli podawać tę historię w wątpliwość – przynajmniej nie w takim stopniu jak Philip Morris, właściciel firmy Morris Costumes. W 2002 roku powiedział on, że sprzedał Pattersonowi „przebranie małpy”, którego ten miał użyć w swoim filmie. Gdy Patterson zadzwonił do niego z pytaniem, co zrobić, żeby „barki były bardziej masywne, a ramiona dłuższe”, poradził mu użyć naramienników do amerykańskiego futbolu, a ramiona wydłużyć patykami włożonymi do wnętrza kostiumu. Znalazł się też ktoś inny, kto twierdził, że to on wystąpił tamtego dnia w „przebraniu małpy”. Nic z tego nie zbija jednak z pantałyku niezłomnych zwolenników Wielkiej Stopy, którzy wciąż wierzą, że film Pattersona jest niepodważalnym dowodem jej istnienia.

Inne doniesienia mówią o stworzeniu wysokim nawet na prawie 240 centymetrów i ważącym blisko tonę. Barwa jego futra bywa rozmaita: czarna, szara, ciemnoczerwonawobrązowa lub ciemnokasztanowata. Niektórzy mówili, że choć właściwie nie widzieli Wielkiej Stopy, to zbliżyli

się do niej na tyle, że mogli poczuć jej woń – i był to wstrętny odór. Jeśli Wielka Stopa zostanie kiedykolwiek schwytana, będzie być może miała słówko do powiedzenia na temat tych opisów przedstawiających ją jako gigantyczną cuchnącą małpę.

Niektóre władze lokalne podjęły kroki w celu ochrony Wielkiej Stopy. W hrabstwie Skamania w stanie Waszyngton, gdzie horda rozszalałych Wielkich Stóp zaatakowała podobno obóz górników, zabicie Wielkiej Stopy jest zagrożone karą tysiąca dolarów grzywny lub pięciu lat więzienia. W urzędowym rozporządzeniu stwierdza się, że „Sasquatch, yeti, Wielka Stopa i Gigantyczna Włochata Małpa zostają niniejszym uznane za gatunki zagrożone w hrabstwie Skamania, w którym ustanawia się rezerwat dla ich ochrony”. Siuksowie, którzy znają Wielką Stopę pod nazwą *Taku he*, również zabraniają na swoich terenach polowania na nią. Łowy na tę kryptydę jednak nie ustają, choć nie używa się w nich strzelb, lecz aparatów fotograficznych i kamer, lornetek i urządzeń nagrywających.

Pomimo wielu tysięcy doniesień nikt jeszcze nigdy nie natrafił na truchło Wielkiej Stopy. Odkryte w lesie ciało prawdziwej, niewątpliwej Wielkiej Stopy? To dałoby niedowiarkom co nieco do myślenia.

ZIELONE DZIECI Z WOOLPIT

Zielone dzieci, które pojawiły się nie wiadomo skąd? Miały ubrania z jakiegoś nieznanego materiału i nie chciały jeść? Brzmi to niczym wczesnośredniowieczna przymiarka do fantastycznonaukowej powieści Johna Wyndhama. A jednak ta tajemnicza opowieść w swojej oryginalnej dwunastowiecznej wersji była przedstawiana jako prawdziwy opis zdarzeń. Wielu ludzi widziało wtedy podobno tych dwoje młodych i rozmawiało z nimi.

Relacja ta pojawia się po raz pierwszy w księdze pierwszej *Historia rerum Anglicarum* Williama z Newburgh – historii Anglii w latach 1066–1198 koncentrującej się głównie na życiu królów (królowych wówczas nie było). Około roku 1220 wyszukał ją i ponownie opowiedział Ralph z Coggeshall, a obie wersje tej opowieści są spisane po łacinie. W 1850 roku Thomas Keightley dokonał przekładu wersji Ralpha z Coggeshall i oto czego się dowiadujemy:

> Inna cudowna rzecz zdarzyła się w Suffolk przy kościele św. Marii w Wolf-pits. Mieszkańcy tego miejsca znaleźli w pobliżu otworu znajdującego się tam dołu chłopca i jego siostrę, których wszystkie członki miały tę samą formę co u innych ludzi, lecz którzy kolorem skóry różnili się od wszystkich ludzi naszego zamieszkanego świata, cała ich skóra była bowiem zabarwiona na zielono. Nikt nie potrafił zrozumieć ich mowy. Kiedy zaprowadzono je jako osobliwość do domu pewnego rycerza w Wikes, sir Richarda de

Calne’a, oboje gorzko płakali. Postawiono przed nimi chleb i inny pokarm, ale nie dotknęły niczego, choć cierpiały wielki głód, jak później przyznała dziewczyna. Nareszcie kiedy do domu przyniesiono trochę bobu właśnie naciętego, razem z łodygami, robiły z wielkim zapałem znaki, żeby im go dać. Kiedy im podano, otwierały łodygi zamiast strąków, myśląc, że mieszczą się w nich ziarna; a kiedy ich nie znalazły, znów zaczęły płakać. Obecni, widząc to, otwarli strąki i pokazali im wyłuskane ziarna. One pożywiały się nimi z zachwytem i przez długi czas nie skosztowały żadnego innego jedzenia. Chłopiec jednak zawsze był ospały i przygnębiony i w krótkim czasie umarł. Dziewczyna cieszyła się wciąż dobrym zdrowiem; a przyzwyczaiwszy się do różnego rodzaju pokarmu, całkowicie utraciła ów zielony kolor i stopniowo odzyskała zdrowy wygląd całego ciała. Potem została odnowiona chrztem świętym i żyła przez wiele lat w służbie tego rycerza (jak często słyszałem od niego i jego rodziny), a była dość swobodna i rozwiązła w swoim prowadzeniu się. Często pytana o ludzi z jej kraju twierdziła, że jego mieszkańcy i wszystko, co mają w tym kraju, jest zielonego koloru; i że nie widzą żadnego słońca, tylko mają tyle światła, ile bywa po zachodzie. Pytana, jak przybyła do naszego kraju z owym chłopcem, odpowiadała, że kiedy doglądali swojego stada, doszli do jakiejś jaskini, a wszedłszy do niej, usłyszeli zachwycające dźwięki dzwonów, których słodyczą zauroczeni, szli długi czas, wędrując po tej jaskini, aż doszli do wyjścia z niej. Kiedy z niej wyszli, nadmierne światło słońca i niezwykła temperatura powietrza powaliły ich bez zmysłów na ziemię; i leżeli tak przez długi czas. Przerażeni hałasem tych, którzy

do nich podchodzili, chcieli uciec, ale nie zdołali znaleźć wejścia do jaskini, zanim ich schwytano.

William z Newbridge albo Newburgh, albo Newbury umieszcza tę historię w czasach panowania króla Stefana. Mówi, że długo wahał się, czy w nią uwierzyć, ale w końcu uległ wobec wagi dowodów. Według Williama miejsce, gdzie pojawiły się dzieci, znajdowało się cztery lub pięć mil od Bury St Edmunds; wyszły w porze żniw z wilczych dołów; oboje utracili swoją zieloną barwę i zostali ochrzczeni, i nauczyli się angielskiego. Chłopiec, który był młodszy, umarł, ale dziewczyna poślubiła pewnego mężczyznę w Lennie i przeżyła wiele lat. Mówili, że ich kraj nazywa się Ziemia św. Marcina, jako że ten święty jest tam najbardziej czczony; że ludzie są chrześcijanami i mają kościoły; że słońce tam nie wschodzi, ale że jest też jasny kraj, który można zobaczyć z ich kraju, oddzielony od niego bardzo szeroką rzeką.

Kilka linijek da nam posmak oryginalnego manuskryptu Ralpha:

De quodam puero et puella de terra emergentibus. Aliud quogue mirum priori non dissimile in Suthfolke contigit apud Sanctam Mariam de Wulpetes. In ventus est puer quidam cum sorore sua ab accolis loci illius juxta oram cujusdam foveae quse ibidem continetur, qui formam omnium membrorum caeteris hominibus similem habebant, sed in colore cutis ab omnibus mortalibus nostrae habitabilis discrepabant. Nam tota superficies cutis eorum viridi colore tingebatur. Loquelam eorum nullus intelligere potuit. Hic igitur ad CHRONICON ANGLICANUM. 119

Niezłe, co?

William, który był kanonikiem w klasztorze augustianów w Newburgh w Yorkshire, urodził się w Bridlington, w tym samym przepięknym i rozległym hrabstwie. Wydaje się, że przeżył tu całe życie, rzadko wyjeżdżając. Jego *Historia spraw angielskich* obejmuje lata 1066–1198 i daje nam zarazem pewne wyobrażenie o tym, do czego byli zdolni postnormańscy monarchowie i ich mniej lub bardziej krwiożerczy baronowie – wydaje się, że przeważnie walczyli między sobą, doświadczając lokalną ludność wszelkiego rodzaju chaosem, oraz posługiwali się gwałtem wobec każdego, kto się z nimi nie zgadzał – oraz fascynujący wgląd w średniowieczne życie dwunastowiecznej Anglii. Poza historią zielonych dzieci z Woolpit zawiera wiele innych dziwacznych i cudownych opowieści. Ponieważ William interesował się między innymi upiorami, jego tekst zawiera najstarsze, o ile nie pierwsze brytyjskie wzmianki o wampirach.

Spisana na życzenie Ernalda, biskupa z opactwa w Rievaulx, historia Williama, choć ogólnie podobna do Ralphowej, różni się od niej pewnymi szczegółami. Dzieci są wciąż zielone, lecz zostają odkryte przez żniwiarzy, gdy wyłaniają się z jednego z *wulf-pyttes*, czyli wilczych dołów, od których wieś wzięła swoją nazwę, rozmieszczonych wokół niej w celu ochrony mieszkańców i ich inwentarza żywego przed najwyraźniej nękającymi ich w tamtych czasach wygłodniałymi bestiami. Noszą ponadto ubrania w dziwnych barwach wykonane z jakiegoś nieznanego materiału.

Parobkowie zabrali dzieci do wioski, gdzie wszyscy zbiegli się je zobaczyć, a one, choć ledwo żywe z wycieńczenia, nie chciały dotknąć żadnego pokarmu, jaki dawali im wieśniacy. Dopiero na widok koszyka zielonego bobu dzieci, mniej lub bardziej identycznie ubarwione, rzucają się na tę zdrową jarzynę i łapczywie ją pochłaniają.

Po wielu tygodniach narzuconej sobie bogatej w chlorofil i ściśle wegańskiej diety, która omal ich nie zabija, przybysze uczą się jeść chleb i inne pokarmy – po czym tracą swoją zieloną pigmentację, uczą się angielskiego i przyjmują wiarę chrześcijańską. Pomimo tego aktu otwierającego możliwość zbawienia chłopiec wkrótce umiera. Dziewczynka jednak nie tylko staje się kobietą taką jak każda w okolicy, ale wychodzi za mąż za człowieka z wioski Lynn i – jak informuje nas William na zakończenie tej historii – wciąż jeszcze żyje.

Wieśniacy z Woolpit mieli więcej szczęścia niż mieszkańcy powieści Johna Wyndhama *Kukułcze jaja z Midwich*, na podstawie której niemiecki reżyser Wolf Rilla nakręcił w 1960 roku film pod tytułem *Wioska przeklętych* i którą w 1995 zekranizował ponownie John Carpenter. Powieść przedstawia dzieci obdarzone paranormalnymi mocami: potrafią na przykład czytać w myślach nieświadomych tego wieśniaków oraz zmuszać ich do działania wbrew własnej woli. Plakat filmu uprzedza: „Strzeżcie się spojrzenia, które sparaliżuje wolę całego świata”. Gapiące się dzieci, zanim zostają ostatecznie pokonane, pozwalają sobie na odrobinę przygodnych morderstw i dają obiecujące oznaki, że są zdolne zapanować nad całą rasą ludzką. Na szczęście pewnemu profesorowi udaje się zablokować ich władzę czytania w umysłach akurat na czas wystarczający do odpalenia bomby zegarowej i zrobić na dobre porządek z tymi małymi niegodziwymi huncwotami.

Historia zielonych dzieci może też pobrzmiewać w pewnych dawniejszych opowieściach: jedną z nich jest staroangielska ludowa baśń o Jasiu i łodydze fasoli, której młody bohater wspina się po tej niezwykle żywotnej roślinie, dostając się z naszego świata do innego – odwraca zatem kierunek podróży zielonych dzieci z Ziemi św. Marcina. Warto też zauważyć, że w jednej z wersji historii zielone dzieci zostają odkryte

u wylotu wilczego dołu, co wskazuje na możliwość, że podobnie jak legendarni Romulus i Remus zostały wychowane przez wilki. Idąc jeszcze o krok dalej, możemy zaryzykować spekulację, że dzieci dotarły na powierzchnię ziemi z ukrytego, podziemnego świata w stylu Jules'a Verne'a.

Życie św. Marcina datuje się w przybliżeniu na lata 316–397. Był on synem rzymskiego oficera kawalerii, lecz odrzucił przykład ojca i wyrzekł się kariery wojskowej, stając się niezłomnym wyznawcą wczesnego chrześcijaństwa. Nawet obecnie dzieci w niektórych rejonach Flandrii, Holandii, Austrii i Niemiec celebrują dzień św. Marcina, sporządzając papierowe lampiony i odbywając z nimi procesje, podczas których śpiewają pieśni na większą jego chwałę. Sugeruje to od dawna występujący związek między tym świętym a młodymi ludźmi, którego źródła i znaczenie nie są nam już znane, lecz który być może wyjaśniał kiedyś, dlaczego zielone dzieci twierdziły, że przybyły z Ziemi św. Marcina.

Ostatnie wreszcie: małe zielone istoty, które nie mówią naszym językiem ani nie jedzą naszego jedzenia z wyjątkiem najzieleńszego, najbardziej dietetycznego warzywa, jakie potrafią znaleźć; które przyszły przez długi tunel, kierując się czarującymi dźwiękami; które noszą ubrania wykonane z nieznanych materiałów… Czy nie prowadzi to nas do wniosku, że Ziemia św. Marcina to w rzeczywistości – Mars? Albo że zielone dzieci przybyły na Ziemię z równoległego wszechświata przez jakąś dziurkę w czasoprzestrzeni?

DYSK Z FAJSTOS

To musi być dziwne uczucie: trzymać w ręku klucz do starożytnej cywilizacji i nie umieć go użyć. Czegoś takiego doświadczał zapewne włoski archeolog Luigi Pernier 3 lipca 1908 roku, kiedy znalazł dysk z Fajstos. Dysk ujrzał światło dzienne w piwnicznym pomieszczeniu w ruinach minojskiego pałacu w Fajstos w pobliżu Hagia Triada na południowym wybrzeżu Krety. Ale czy na pewno?

Dysk z Fajstos, jeden z najbardziej kontrowersyjnych obiektów w historii archeologii, stanowi również jedną z najstarszych jej tajemnic. Przez całe lata dziesiątki zawodowych i amatorskich detektywów próbowały rozszyfrować dokładne znaczenie widniejącego na nim pisma – jeśli jest to pismo – jak dotąd jednak kwestia ta nie ma powszechnie akceptowanego rozwiązania.

Na obu stronach dysku z wypalonej gliny odciśnięto szereg tajemniczych znaków. Jest ich łącznie 242 i większość uczonych zgadza się, że biegną one spiralnie od brzegu dysku do jego środka. Ale na tym właściwie zgoda się kończy. Na dysku widnieje czterdzieści pięć różnych symboli, nikt nie jest jednak pewien, czy jego minojski twórca miał na myśli odczytywanie ich zgodnie z ruchem wskazówek zegara czy w przeciwnym kierunku.

Wiele tych piktogramów czy ideogramów przedstawia rozpoznawalne obiekty. Są to: ludzka postać z uderzająco „mohikańskim” uczesaniem w stylu dawnych punków, jakich widywano w Wielkiej Brytanii w latach 70. ubiegłego wieku; łódź; dziecko; różne rodzaje ptaków; jakieś ryby;

różne owady i rośliny; kobieta – może bogini; wreszcie kilka rodzajów broni. Wydaje się ponadto, że osiemnaście cienkich wyrytych na dysku linii dzieli grupy znaków na osobne słowa lub frazy. Można też dostrzec lekkie ślady poprawek wprowadzonych przez twórcę dysku czy skrybę.

Gliniany dysk, datowany warunkowo na lata 1950–1400 p.n.e. – choć archeolodzy spierają się nawet co do tego – ma około 16 centymetrów średnicy i centymetr grubości. Jest przypuszczalnie odrobinę za mały, by stanowić planszę do gry – co sugeruje jedna z najbardziej pomysłowych teorii w sprawie jego przeznaczenia. Oczywiście jednak łatwo go przenosić, co sugeruje z kolei, że był używany w różnych miejscach.

Interpretacje zapisu na dysku są najróżniejsze: proponuje się opis powodzi, genealogię królewskiego rodu, kalendarz, morską szantę (przynajmniej na jednej stronie), hymn do ciężarnej minojskiej bogini, opis bitwy, klątwę, przesłanie od króla Nestora rozstrzygającego jakiś kreteński spór terytorialny i bardzo wiele innych.

Cywilizacja minojska była naprawdę niezwykła. Rozkwitała w środkowej epoce brązu, mniej więcej w latach 2600–1100 p.n.e., ustanawiając imperium handlowe z ośrodkiem w Krecie, które osiągnęło ostatecznie dominację na większości, a może nawet całości obszaru Morza Egejskiego. Dwa najsłynniejsze związane z nią stanowiska: Knossos i Fajstos, zaliczają się do największych odkrytych dotąd skarbów archeologii. Istnienie tej wspaniałej cywilizacji wyprzedzającej – a pod wieloma względami przewyższającej – lepiej znaną Troję stwierdzono dopiero w 1900 roku, kiedy brytyjski archeolog sir Arthur Evans zatrudnił niewielką armię lokalnych kopaczy i rozpoczął wykopaliska na pokrytym kwiatami wzgórzu w Knossos, parę kilometrów na południowy wschód od dzisiejszego Heraklionu.

Niektórzy archeolodzy uważają, że ponieważ nigdy nie znaleziono żadnych obiektów z takim samym zespołem symboli, dysk jest starannie dopracowaną mistyfikacją, czyli falsyfikatem. Oskarżają Perniera, że sfabrykował go, by przydać sobie zawodowej renomy. Ustalenie za pomocą termoluminescencji daty wytworzenia dysku pomogłoby potwierdzić jego autentyczność, ale muzeum archeologiczne w Heraklionie, gdzie obecnie się go wystawia, jak dotąd nie zgadzało się na przeprowadzenie takich badań, wskazując na kruchość zabytku.

Symbole na dysku zostały odciśnięte w glinie za pomocą trwałych, wysokiej jakości i nadających się do wielokrotnego użycia matryc, a to oznacza, że jeśli dysk z Fajstos jest autentyczny, to stanowi najstarszy na świecie znany przykład druku ruchomego – wynalezionego jakieś 2800 lat przed prasą drukarską Gutenberga, która zaczęła nieść światu światło w 1439 roku. Znaczy jednak również, że sfabrykowanie dysku byłoby zadaniem herkulesowym: każdy z czterdziestu pięciu maleńkich symboli trzeba byłoby wyciąć ręcznie na końcu osobnej sztancy, a następnie odcisnąć w świeżej glinie.

Tabliczka z wypalonej gliny określana jako PH-1, którą wydobyto kilkanaście centymetrów dalej od dysku z Fajstos, może podsuwać nam pewną niewielką wskazówkę co do jego znaczenia. Znajduje się na niej pierwszy znany przykład zapisu starożytnego minojskiego pisma, tak zwanego pisma linearnego A, które w opinii części ekspertów jest ściśle związane z inskrypcją na dysku. Inni badacze jednak całkowicie odrzucają tę interpretację.

Wiele podejmowanych jak dotąd prób rozszyfrowania napisu na dysku i jego niezwykłego zasobu symboli wiąże je z innymi starożytnymi językami, takimi jak protogrecki, anatolijski, semicki, a nawet dawny polinezyjski.

W teoriach radykalniejszych utrzymuje się, że dysk zawiera przesłanie od istot pozaziemskich albo że stanowi portal lub „gwiezdne wrota” umożliwiające ludziom podróż po czasoprzestrzeni, zapewne przez jakąś w niej dziurę. Ma się rozumieć – kiedy się nauczą, jak go używać. W tej sprawie sędziowie przysięgli też się wciąż naradzają.

Arthur Evans wraz ze swoim zespołem odkrył w Knossos olbrzymi labirynt połączonych ze sobą pomieszczeń. Szybko nazwał go „pałacem Minosa”. W rzeczywistości mógł to być kompleks wykorzystywany przez okoliczną ludność jako miejsce rytuałów religijnych i magicznych. Co do innych jego możliwych zastosowań nie ma jeszcze pełnej zgody. Bez względu jednak na przeznaczenie nawet dziś Knossos jest wspaniałym miejscem. Wiele niezwykle barwnych i rzucających się w oczy malowideł ściennych daje współczesnemu zwiedzającemu bezpośredni wgląd w to, jak mogło wyglądać życie w tym kompleksie jakieś cztery tysiące lat temu. Żywe wizerunki niezwykle ubranych kapłanek z odsłoniętymi piersiami, młodych chłopców walczących na pięści albo przeskakujących przez byki, by udowodnić siłę charakteru, kobiety w strojach zupełnie podobnych do wczesnych wersji bikini, delfiny pluskające w falach i wiele innych malarskich cudów – wszystko to daje żywe wyobrażenie o społeczeństwie cieszącym się bogatą, stabilną, szczęśliwą i żywotną kulturą. Trzeba jedynie przestrzec, że szwajcarscy artyści, których Evans zatrudnił do „poprawienia” niektórych malowideł, mogli zrobić nieco więcej niż tylko połączyć istniejące już kropki. Wiele artefaktów znalezionych na tym stanowisku zostało odtworzonych dopiero po wielu godzinach mozolnej pracy. Jeśli tylko nie mamy zastrzeżeń do takiego rodzaju restauracji – a wielu zawodowych archeologów obecnie je zgłasza – to cały ten wysiłek się opłacił, ukazując nam dziedzictwo cudów.

Jednym z pierwszych wydobytych obiektów był ryton – naczynie służące do składania libacji bogom – w kształcie byczej głowy. Trudno oderwać od niego wzrok, tyle w nim uśpionego znaczenia i mocy. Liczne wizerunki byków namalowane na ścianach oraz labiryntowa architektura podsunęły Evansowi myśl, by nowo odkrytą cywilizację nazwać od imienia Minosa, króla znanego z mitologii starożytnej Grecji.

Ten syn Zeusa i Europy oraz pierwszy król Krety kazał ateńskiemu królowi Egeuszowi co dziewięć lat przysyłać siedmiu młodych mężczyzn i siedem młodych kobiet wybranych w drodze losowania, których wprowadzano do serca labiryntu pod pałacem. Tam zaś w plątaninie mrocznych pomieszczeń czaił się Minotaur, potworny pół człowiek, pół byk. Oswojony z ciemnością, zabijał i pożerał poświęcone mu ofiary.

Przez wiele lat nikt nie wiedział, jak pokonać potwora. Wreszcie córka króla Minosa Ariadna zakochała się w herosie Tezeuszu i pomogła mu nie zagubić się w labiryncie. Udał się do niego i zabił Minotaura, ratując ostatnią partię niewinnych ofiar, a drogę powrotną odnalazł dzięki sprytowi Ariadny i kłębkowi nici.

Około roku 1628 p.n.e. wielkie trzęsienie ziemi zniszczyło zarówno wcześniejszy pałac w Fajstos, jak i kompleks w Knossos. Mogło być ono spowodowane erupcją wulkanu na pobliskiej wyspie Santoryn zwanej wówczas Terą. W tym samym czasie katastrofalnym zniszczeniom uległy również inne ośrodki minojskie. Uważa się, że samo Knossos zostało przynajmniej częściowo odbudowane pod koniec późniejszej epoki brązu.

Istnieją jeszcze dwa inne intrygujące znaleziska zawierające symbole mogące łączyć je z dyskiem z Fajstos. Jednym jest wotywny labrys, obosieczny topór znaleziony przez Spyridona Marinatosa w jaskini Arkalohori na Krecie. Drugi to fragment znacznie mniejszego glinianego dysku wydobyty we Władykaukazie w Osetii Północnej. Inskrypcje na tych

artefaktach nie zostały jednak odciśnięte jak na dysku z Fajstos, lecz je wyryto. Dysk z Władykaukazu tajemniczo zniknął z wykazów znalezisk archeologicznych.

KOT W PUDLE

> Nie potrafię naprawdę uwierzyć w teorię kwantową, ponieważ nie da się jej pogodzić z ideą, że fizyka powinna przedstawiać rzeczywistość w czasie i przestrzeni, wolną od upiornego działania na odległość.
>
> Albert Einstein, marzec 1947

Na początku było światło – i przez stulecia sądzono, że światło porusza się falami. I rzeczywiście tak jest. Potem jednak, z początkiem XX wieku dwaj spośród najważniejszych fizyków w historii Albert Einstein i Max Planck uświadomili sobie, że światło porusza się również w maleńkich oddzielnych pakietach energii zwanych kwantami (z łacińskiego *quantum*, czyli ilość), których nie da się rozbić na mniejsze cząstki. W przypadku światła te nanocząstki nazywa się fotonami.

W tym samym okresie intensywnego i rewolucyjnego rozwoju nauki fizycy odkryli również, że subatomowe cząstki takie jak fotony i elektrony wykazują „dualizm korpuskularno-falowy” – znaczy to, że mogą się zachowywać albo jak cząstki, albo jak fale. I to jest bardzo dziwne. Co jeszcze dziwniejsze, stan, jaki „wybierają” te subatomowe cząstki, zależy od tego, czy są obserwowane, czy też nie. Zachowanie takie – a charakteryzuje ono również elektrony, atomy, a nawet całe molekuły – było bardzo niepokojące, gdy odkryto je z początkiem XX wieku. Pozostaje bardzo niepokojące do dzisiaj.

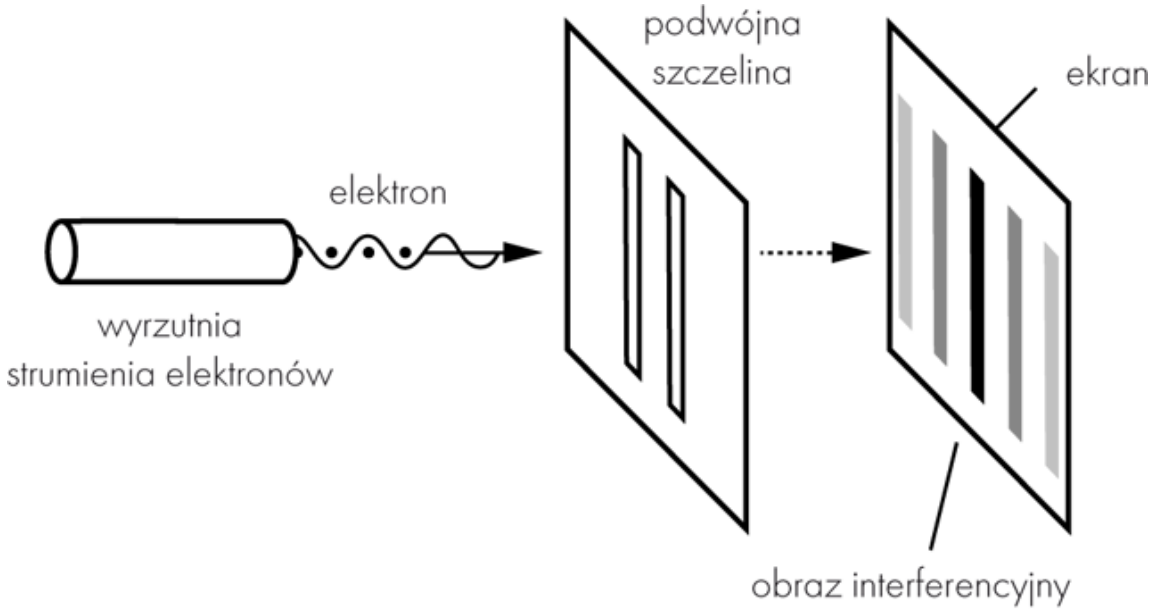

Eksperyment z podwójną szczeliną

Aby dowiedzieć się więcej o tym „upiornym” zachowaniu nanocząstek, fizycy przeprowadzili wiele przełomowych eksperymentów. Znalazło się wśród nich doświadczenie „z podwójną szczeliną”, które trzeba zaliczyć do najbardziej intelektualnie wstrząsających i znaczących, jakie kiedykolwiek zaprojektowano, ponieważ podważa ono fundamentalną naturę tego, co uważaliśmy wcześniej za naszą fizyczną rzeczywistość. Opracowano je z myślą o ustaleniu, gdzie dana cząstka elementarna – elektron, foton, cokolwiek – znajduje się w danym momencie i co się z nią dzieje. Tymczasem mówi nam ono coś wręcz przeciwnego.

W eksperymencie z podwójną szczeliną działo elektronowe – pozostańmy na razie przy elektronach – wystrzeliwuje strumień pojedynczych elektronów w kierunku dwóch identycznych pionowych szczelin w płytce z jakiegoś stałego materiału. Za płytką umieszczony jest światłoczuły ekran, który może badać i rejestrować wszystkie elektrony przechodzące przez szczeliny.

Zgodnie z prawami fizyki klasycznej każdy elektron powinien wybierać drogę przez jedną lub drugą szczelinę mniej więcej losowo i przez każdą szczelinę powinno przechodzić mniej więcej tyle samo elektronów. Kiedy przejdzie ich już dostatecznie wiele, na ekranie powinny one utworzyć dwie z grubsza pionowe linie – po jednej linii za każdą szczeliną. Jak dotąd wszystko w porządku. Wbrew jednak wszelkim oczekiwaniom dzieje się inaczej. Okazuje się, że elektrony tworzą na ekranie obraz interferencyjny typowy dla fali. Wygląda to tak, jakby każdy z osobna elektron w jakiś sposób przechodził równocześnie przez obie szczeliny, a następnie w tajemniczej współpracy z pozostałymi elektronami postanawiał zachowywać się jak fala. Jest to zachowanie dziwaczne i niezgodne z wszystkimi przyjętymi zasadami fizyki zwanej często klasyczną lub Newtonowską. Wszystko staje się jeszcze dziwniejsze i mniej zrozumiałe, kiedy dowiadujemy się – raz za razem, z jednego eksperymentu za drugim – że elektrony postanawiają zachowywać się jak fala, kiedy nie są obserwowane. Więcej jeszcze: niedawny eksperyment sugeruje, że stopień „niewłaściwego zachowania” cząstek jest wprost proporcjonalny do stopnia obserwacji.

Aby ustalić, dlaczego elektrony i inne cząstki subatomowe zachowują się w tak nadzwyczajny sposób, badacze umieścili za szczelinami detektory, mając nadzieję przyłapać cząstki na przechodzeniu przez jedną lub drugą szczelinę albo równocześnie przez obie. Kiedy tylko to zrobili, poszczególne cząstki przestały zachowywać się jak fala i powróciły do zachowania, jakie przystoi dobrze wychowanym uczniom szkolnym, tworząc zgrabne, przewidywalne pionowe wzory odpowiadające ułożeniom szczelin. Kiedy zaś wyłączali detektory – hokus-pokus – elektrony natychmiast nabierały cech fali i znów pojawiał się niewytłumaczalny klasycznie obraz interferencyjny.

Zdumionym naukowcom ukazały się elektrony zachowujące się niczym psotne szkolne dzieciaki. Co więcej, miały umysł roju. Komunikowały się, wzajemnie na siebie oddziaływały i „interferowały”, by zachowywać się zbiorowo jak fala, gdy ich nie mierzono – a potem, kiedy je mierzono, zaczynały się zachowywać tak, jakby wszystko było w porządku.

To dziwne i wyraźnie tajemnicze zachowanie, które charakteryzuje wszystkie cząstki subatomowe wszędzie w znanym wszechświecie, podkopuje niemało z tego, co fizycy sądzili wcześniej o naturze rzeczywistości i istnienia. W fizyce klasycznej materia jest ustalona i pewna, nie jest zdolna przechodzić z jednego stanu w inny w zależności od tego, czy ktoś ją obserwuje, czy też nie.

W próbie wyjaśnienia tego „efektu obserwatora” czy zjawiska podwójnej szczeliny wybitni fizycy Niels Bohr i Werner Heisenberg wystąpili z „interpretacją kopenhaską” zachowania kwantowego. Twierdzi się w niej, że dana cząstka nie ma żadnych rzeczywistych własności fizycznych i istnieje jedynie jako kwantowa „funkcja falowa” stale obejmująca wszystkie jej możliwe końcowe stany i położenia – aż do chwili, gdy zostanie poddana eksperymentowi obserwacyjnemu. Na określenie tego niepewnego i niestabilnego stanu cząstek kwantowych ukuto termin „superpozycja”. Bohr, Heisenberg i inni utrzymywali, że gdy obserwuje się stan kwantowy dowolnej danej cząstki subatomowej, doznaje on kollapsu w jednolity stan końcowy, rozstrzygając w pewien sposób, czy zachowywać się jak fala, czy jak cząstka.

Nieco dalej w to egzystencjalne grzęzawisko prowadzi nas zasada nieoznaczoności Heisenberga. Mówi ona, że położenie i pęd (masa pomnożona przez prędkość) cząstki są zmiennymi komplementarnymi: im więcej wiemy o jednej z nich, tym mniej wiemy o drugiej – tak dalece, że

gdy położenie cząstki staje się pewne, jej pęd staje się niepoznawalny, i na odwrót.

Naprawdę upiorne. Czy oznacza to, że wszechświat stale wymaga od cząstek dokonywania wyborów między dwoma różnymi stanami istnienia? Czy wynika stąd, że jeśli w jakiejkolwiek danej chwili znamy pęd cząstki, nie możemy być pewni jej położenia? Jeżeli trzymamy się teorii kwantowej jako trafnego opisu materii, to krótka odpowiedź brzmi: „tak".

A co z koncepcją, że ilekroć cząstka „wybiera" końcowy „zapadnięty" stan, wszechświat rozszczepia się i powstaje nowy? Według tej teorii „wielu światów" to właśnie się dzieje – nie tylko raz, ale raz za razem, *ad infinitum* aż po ostatnią chwilę czasu. Co zatem wynika stąd dla innych, nieco większych, czyli makroskopowych stanów materii w galaktyce takiej jak nasza? Czy my, ludzie, w konsekwencji jakiegoś świadomego lub nieświadomego wyboru stale przechodzimy pomiędzy różnymi rzeczywistościami, nie zdając sobie z tego sprawy? Czy też sama nasza względnie duża wielkość i masa w jakiś sposób to wyklucza?

Zdrowy rozsądek mówi nam, że nie jesteśmy stale zmieniającymi się stanami, lecz wszyscy znamy uczucie, że gdybyśmy w jakiejś danej chwili dokonali określonego wyboru – zawrócili do wagonu, zanim drzwi się zamkną, i porozmawiali z osobą odwzajemniającą nasze zainteresowanie – to nasze życie mogłoby się stać zupełnie inne. Ale może należy to do innej kategorii egzystencjalnych wyborów?

Kiedy po raz pierwszy zaproponowano teorię kwantową, wyprowadziła ona z równowagi bardzo wielu naukowców. Najwybitniejszym przeciwnikiem tego „niepewnościowego" czy „probabilistycznego" spojrzenia na świat był Albert Einstein, który wypowiedział w związku z tym słynne zdanie: „Bóg nie gra w kości". Dokładny cytat z jego listu do kolegi naukowca i zwolennika teorii kwantowej Maxa Borna brzmi

następująco: „W naszych naukowych oczekiwaniach zmierzaliśmy ku antypodom. Pan wierzy w Boga grającego w kości, a ja w pełne prawo i porządek w świecie, który istnieje obiektywnie i który ja, w szaleńczo spekulatywny sposób, staram się uchwycić. […] Nawet wielki początkowy sukces teorii kwantowej nie skłania mnie do wiary w tę fundamentalną grę w kości”.

Einstein zaproponował zamiast tego swoją teorię „lokalnego realizmu”, w której utrzymywał, że cząstki muszą być opisywane wielkościami fizycznymi mającymi z góry istniejącą, „rzeczywistą” wartość, zanim jeszcze dokona się ewentualnego pomiaru stawiającego pod znakiem zapytania ich stan fizyczny. Wydaje się jednak, że przeprowadzone potem – a nawet podówczas – eksperymenty kwantowe konsekwentnie podważają to pragmatyczne ujęcie świata.

W 1935 roku w kolejnej próbie zakwestionowania idei, że cząstki elementarne, a tym samym wszystko inne we wszechświecie – w tym my sami – istnieje jako mgła „wahających się” cząstek, współczesny Einsteinowi i podobnie jak on odrzucający teorię kwantów Erwin Schrödinger zaproponował słynny eksperyment myślowy. Ta intelektualna perełka, znana jako „kot Schrödingera”, rzeczywiście daje ogromnie dużo do myślenia.

Oto oryginalny tekst Schrödingera:

> Można nawet wyobrazić sobie całkiem śmieszne sytuacje. W stalowej komorze zamknięty jest kot wraz z następującym urządzeniem (które musi być zabezpieczone przed bezpośrednią ingerencją kota): w liczniku Geigera znajduje się odrobina materiału radioaktywnego, tak mała, że powiedzmy w ciągu godziny rozpada się jeden atom, ale także z równym prawdopodobieństwem nie

> rozpada się żaden; jeśli to się zdarzy, w cylindrze licznika następuje wyładowanie elektryczne uwalniające za pomocą przekaźnika młotek, który rozbija buteleczkę z kwasem cyjanowodorowym. Gdyby ktoś na godzinę pozostawił cały ten system samemu sobie, mógłby powiedzieć, że kot wciąż żyje, jeśli żaden atom w tym czasie się nie rozpadł. Rozpad pierwszego atomu otrułby go. Funkcja *psi* całego systemu wyrażałaby to, uwzględniając w sobie żywego i martwego kota (przepraszam za wyrażenie) wymieszanego czy rozsmarowanego w równych częściach.

Zgodnie z prawami mechaniki kwantowej „odrobina materiału radioaktywnego”, o której pisze Schrödinger, stwarza stałą możliwość rozpadu atomu i emisji wysokoenergetycznej cząstki lub też niezajścia tego zjawiska. Jeśli dochodzi do rozpadu, licznik Geigera wykrywa tę cząstkę. Zostaje uruchomiony młotek, który rozbija buteleczkę, uwalniając truciznę i zabijając kota. Jeśli nie dochodzi do rozpadu radioaktywnego, a tym samym do uwolnienia cząstki, kot nadal żyje.

Zgodnie z „interpretacją kopenhaską” rozważany atom znajduje się w superpozycji stanów, czyli w stanie wielu możliwości, tak więc mógłby się nie rozpaść lub rozpaść dopóty, dopóki nie dokonamy jego obserwacji. Jednak – a w nauce prawie zawsze jest jakieś „jednak” – zakłada się, że nie zaglądamy do środka. Z chwilą gdy podniesiemy pokrywę skrzynki i zerkniemy do niej, atom „dowie się”, że jest obserwowany. Jego superpozycja zapadnie się, atom wybierze stan końcowy, a kot albo będzie martwy, albo pozostanie zdrów i będzie mruczał. Dopóki jednak tego nie zrobimy, dopóty kot podobnie jak atom będzie teoretycznie pozostawał w stanie nieokreślonym.

Jak to możliwe? Odkąd po raz pierwszy postawiono tę kwestię, wielu fizyków utrzymuje, że radioaktywny atom w skrzynce jest „jakoś

obserwowany” i że to rozstrzyga o jego ostatecznym czy końcowym stanie. Nikt jednak nie potrafi przekonująco wyjaśnić, jak to się naprawdę dzieje. Czy licznik Geigera w skrzynce sam stanowi formę obserwacji, którą atom w jakiś sposób wykrywa? To jedna teoria. Inna zgodnie z koncepcją „wielu światów” głosi, że kot pozostaje zarazem martwy i żywy bez względu na to, czy jest, czy też nie jest obserwowany – czyli zajmuje jednocześnie dwa możliwe stany końcowe bądź to w różnych odgałęzieniach naszego wszechświata, bądź też w różnych wszechświatach. Podejmowano wiele jeszcze innych teoretycznych prób rozwiązania lub wyjaśnienia słynnego paradoksu Erwina Schrödingera, lecz żadna jak dotąd nie została powszechnie zaakceptowana.

Jeśli wszystko to nie wystarczyło jeszcze, by przyprawić nas o zawrót głowy, mechanika kwantowa staje się jeszcze dziwaczniejsza, gdy rozważymy parę innych zagadnień, które z sobą niesie. Pierwszym z nich jest „fluktuacja kwantowa”. Powracając do zasady nieoznaczoności Heisenberga i podstawiając w jej równaniu w miejsce pędu i położenia energię i czas, przekonujemy się, że im krótszy czas życia danej cząstki, tym mniej możemy być pewni co do jej energii.

Prowadzi to w logiczny sposób do bardzo dziwnego wniosku: teoretycznie jest możliwe, że cząstki – zawsze przy założeniu, że istnieją przez niemal nieskończenie krótki czas – mogą „wyskakiwać” do istnienia z niczego, i rzeczywiście to robią. Spontaniczne generowanie się tych „wirtualnych cząstek” wydaje się raz jeszcze naruszać wszystkie zasady fizyki klasycznej, nie mówiąc już o zdrowym rozsądku.

Istnienie takich wirtualnych cząstek zdaje się być potwierdzane przez eksperyment zwany efektem Casimira. W kwantowej teorii pola próżnia wcale nie jest „pusta” – czyli całkowicie pozbawiona energii i cząstek w klasycznym sensie – lecz w rzeczywistości wypełniają ją fluktuujące fale

elektromagnetyczne. Kiedy dwie metalowe płyty czy lustra umieści się w odległości paru nanometrów od siebie, krótsze fale wciąż zmieszczą się pomiędzy ich bliźniaczymi powierzchniami, lecz dłuższe fale elektromagnetyczne już nie. W rezultacie w przestrzeni pomiędzy płytami będzie odrobinę mniej energii niż w otaczającej je próżni. To zaś powoduje, że płyty przyciągają się wzajemnie, dowodząc istnienia wirtualnych „wyskakujących" cząstek.

Dalsza myśl, że energia próżni obserwowana w efekcie Casimira, jeśli obliczyć ją w kategoriach kwantowej teorii pola, może być nieskończona, sugeruje, że „próżnia" przestrzeni może w istocie być źródłem nieskończonej energii. Ta tak zwana energia punktu zerowego jest na dodatek sprzeczna z teorią grawitacji Einsteina.

Te i inne eksperymenty mogą oznaczać, że przestrzeń, o której sądzimy, że jest pusta, w rzeczywistości wcale taka nie jest: stale i wszędzie pojawiają się w niej i znikają miliardy cząstek wirtualnych. Fizycy nazywają tę teoretyczną aktywność „pianą kwantową". Czy ten wiecznie wrzący kocioł możliwości kwantowych, które przemykają, powołując się do istnienia i przestając istnieć, jest ową brakującą „ciemną materią" od tak dawna poszukiwaną przez kosmologów? Czy pomaga on wyjaśnić sam początek naszego wszechświata, zdarzenie zwane Wielkim Wybuchem? Odpowiedź w obu przypadkach jest zapewne przecząca. Z upływem czasu jednak liczba nierozwiązanych tajemnic, jakie wyrzuca z siebie teoria kwantowa, tylko rośnie: nie najmniej ważna jest kwestia, czy istnieje, czy też nie istnieje chronologiczny czas w naszym ludzkim rozumieniu.

Na koniec – zanim położymy się w ciemnym pokoju, by odzyskać równowagę umysłu – powinniśmy spojrzeć mimochodem na „splątanie kwantowe". Zgodnie z tą teorią cząstki subatomowe, które zostają „sparowane" – czyli istnieją we wzajemnie zależnych stanach kwantowych

– „wiedzą”, kiedy jedna lub druga staje się przedmiotem pomiaru, nawet jeśli podobnie jak w przypadku eksperymentu z podwójną szczeliną nie ma (przynajmniej w kategoriach fizyki klasycznej) możliwości, by się ze sobą komunikowały.

Kiedy tylko dokonuje się pomiaru jednej z takich splątanych cząstek i przyjmuje ona określony „zapadnięty” stan kwantowy, jej partnerka przyjmuje stan przeciwny. A teraz coś naprawdę ekscytującego: eksperymenty zdają się dowodzić, że dzieje się to bez względu na odległość pomiędzy splątanymi cząstkami. Tak więc jeśli jedna cząstka jest na jednym końcu świata, a druga na drugim, odpowiednia przemiana dokonuje się szybciej niż z prędkością światła. Jeśli to prawda, to z punktu widzenia teorii kwantów nasze poczucie ściśle chronologicznego czasu jest niemal dosłownie bezsensowne. Istnieje on jedynie jako funkcja naszych osobistych wspomnień i prognoz na przyszłość. Cała natomiast materia istnieje ciągle we wszystkich możliwych stanach istnienia i czasu. Nic dziwnego, że Einstein, który był przekonany, że nic nie może poruszać się szybciej niż światło, i uważał, że dowiódł tego naukowo, robił wszystko, co mógł, by zakwestionować i obejść dużą część teorii kwantowej.

Dzięki fizyce kwantowej kiedyś będziemy może unikać korków, teleportując się na duże odległości, oraz podróżować w tę i we w tę po tym, co jest dla nas czasem. Będziemy mieli komputery pracujące tak wydajnie i szybko, że wystarczy strzelić z palców jak Mary Poppins, by nasze życzenia się spełniły. Tymczasem zaś całkiem możliwe, że czytelnik, podobnie jak ja, wciąż będzie się zastanawiał – co u diabła stało się z kotem w pudle?

SYGNAŁ „WOW!”

W cyklu książkowym *Autostopem przez galaktykę* Douglas Adams mówi nam, że odkrył „odpowiedź na wielkie pytanie o życie, wszechświat i całą resztę”. Brzmi ona: „42”! To dobry żart, ale nie zaspokaja pragnienia zrozumienia, dlaczego się tu znaleźliśmy, co może oznaczać życie i czy wszechświat przypadkowo eksplodował w istnienie, czy też został stworzony jakąś niewidzialną ręką. Pozostaje też drobna kwestia, czy jako świadome i czujące istoty jesteśmy sami w wirujących korytarzach czasu i przestrzeni.

Znalezienie odpowiedzi na tę ostatnią zagadkę może z powodzeniem ułatwić nam uzyskanie wglądu w pozostałe. Gdybyśmy rzeczywiście odkryli życie pozaziemskie i udałoby się nam z nim komunikować, to wtedy jego – czy może ich – poglądy na rzeczywistość i czasoprzestrzeń niemal na pewno rzuciłyby jakieś światło na nasze własne. Chyba że obce życie jest zarazem śmiertelnie wrogie i góruje nad nami technologią, ale wtedy nie musimy się martwić: gigantyczne mechaniczne trójnogie potwory rodem z H.G. Wellsa zapolują na nas i wytępią co do jednego, rozbijając nas w drobny mak swoimi śmiercionośnymi promieniami.

Tymczasem jednak śmiało szukamy odpowiedzi na te wielkie pytania. Ilość pieniędzy, wysiłków i energii, jakie poświęca się na wykrycie dowodów istnienia życia poza Ziemią, jest zdumiewająca. Poszukiwania inteligencji pozaziemskich zwane SETI trwają od bardzo dawna. W 1869 roku fizyk, inżynier, wynalazca i futurolog Nikola Tesla w swoim laboratorium w Colorado Springs przeprowadził serię eksperymentów

zmierzających do skontaktowania się z „istotami” z Marsa. Parę tygodni później Tesla powiadomił zdumiony świat, że rzeczywiście nawiązał kontakt z życiem na Czerwonej Planecie. Jego instrumenty wykryły niewyjaśniony, powtarzający się sygnał, który zdawał się zamierać, ilekroć Mars zachodził na nocnym niebie. Nigdy nie przedstawiono niewątpliwego dowodu tego kontaktu, od tamtej jednak chwili poszukiwanie życia w rodzimej Galaktyce i poza nią zaczęły nabierać tempa.

Jedną z największych tajemnic życia na Ziemi jest to, że nasza planeta w ogóle je umożliwia. Ziemia, nazywana niekiedy planetą Złotowłosej, miała niebywałe szczęście – albo, jak twierdzą niektórzy, została niezwykle dobrze zaprojektowana – stworzyła bowiem warunki pozwalające powstać i przetrwać niezliczonym formom życia.

W 1957 roku przystąpiono do budowy gigantycznego radioteleskopu wyposażonego w olbrzymi reflektor paraboliczny. Ten nazwany Wielkim Uchem teleskop radioobserwatorium Uniwersytetu Stanowego Ohio rozpoczął pierwsze na świecie ciągłe poszukiwania inteligencji pozaziemskich. Przez blisko dwadzieścia lat nie wykryto niczego choć trochę znaczącego. I wtedy – 15 sierpnia 1977 roku – wolontariusz Jerry Ehman był świadkiem najbardziej jak dotąd emocjonującego przełomu w tych poszukiwaniach. Przeglądając dane wykryte poprzedniego dnia przez Wielkie Ucho, Ehman wypatrzył dowód niezwykle mocnego, niewyjaśnionego sygnału z gwiazdozbioru Strzelca. Coś stamtąd najwyraźniej wystrzeliło w pustkę wąskopasmowy przekaz radiowy trwający 72 sekundy. Była to niemodulowana, ciągła fala. Oznacza to, że nie mogła zawierać „wiadomości” w takim sensie, w jakim to rozumiemy. Pomimo to sygnał miał wszystkie oczekiwane cechy charakterystyczne świadczące o pochodzeniu od inteligencji pozaziemskiej – i inaczej nie dało się go wyjaśnić. Systemy Wielkiego Ucha wiernie odnotowały tę transmisję

w formie kodu alfanumerycznego – 6EQUJ5 – w którym każdy znak odpowiada próbie sygnału pobieranej co 12 sekund. Zachwycony i zdumiony Ehman czerwonym atramentem zakreślił na wydruku zakodowaną transmisję, napisał obok: „Wow!”, i zmienił historię.

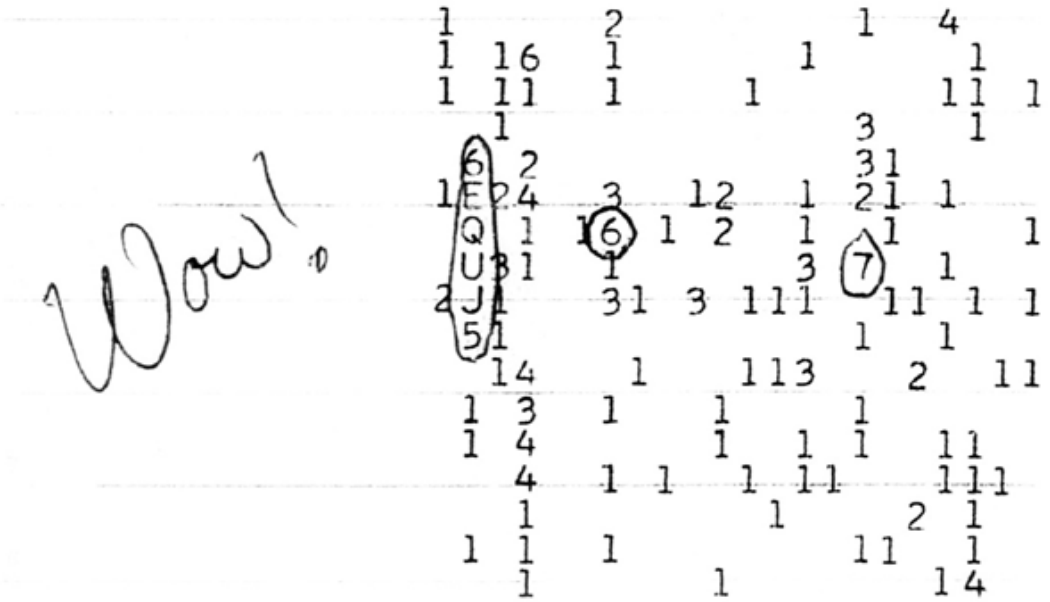

Wielu ludzi uważa, że ten tak nazwany sygnał „Wow!” wciąż jest najlepszym – i jedynym – prawdziwie naukowym dowodem istnienia życia pozaziemskiego. Podjęto później wiele prób wykrycia innych transmisji w tym samym obszarze nieba, żadna z nich jednak się nie powiodła. Tak więc wciąż pozostaje tajemnicą, przez co – lub przez kogo – został nadany sygnał „Wow!”.

Realizuje się obecnie dwa nowe programy SETI zmierzające do kolejnego przełomu. Pierwszy, nazwany Przełomowym Nasłuchem (*Breakthough Listen*), rozpoczął się w 2017 roku. Poszukiwania będzie prowadzić Obserwatorium im. Parkesa w Nowej Południowej Walii w Australii oraz teleskop w Green Bank w Wirginii Zachodniej w Stanach

Zjednoczonych. Zakresy fal od 500 MHz do 15 GHz będzie się jednocześnie skanować, przetwarzając wszystkie obiecujące wyniki z użyciem komputerów o większej mocy obliczeniowej niż kiedykolwiek wcześniej zaangażowano w takie poszukiwania. Projekt nie będzie przy tym ograniczony do samej Drogi Mlecznej – sygnałów życia będzie się również nasłuchiwać w stu najbliższych galaktykach.

O drugich łowach na życie pozaziemskie można by powiedzieć, że aż nazbyt przypominają scenariusz filmu fantastycznonaukowego, aby były prawdziwe. W kwietniu 2018 roku na zlecenie NASA firma SpaceX Company należąca do miliardera, filantropa i wynalazcy Elona Muska umieściła na orbicie satelitę wielkości dużej lodówki, którego zadaniem jest poszukiwanie planet poza naszym Układem Słonecznym. Ten Satelita Poszukiwawczy Egzoplanet Tranzytujących (Transiting Exoplanet Survey Satellite), wdzięczniej nazywany TESS, gdy tylko osiągnie swoją ostateczną orbitę, rozpocznie poszukiwanie w Galaktyce – za pomocą specjalnych kamer i nowych, zaawansowanych technicznie instrumentów – „egzoplanet”, na których może istnieć życie. Czy znajdzie życie podobne do tego, jakie znamy na Ziemi? Czy jakąś formę zupełnie od naszych odmienną i ledwie dla nas zrozumiałą? TESS będzie krążyła nad naszymi głowami parę lat, dokładając wszelkich starań w celu ustalenia, czy mamy jakichś sąsiadów.

Jak instrumenty TESS będą to robiły? Egzoplaneta to „planeta poza naszym Układem Słonecznym orbitująca wokół innej gwiazdy”. Kiedy któraś z takich planet przechodzi przed swoją macierzystą gwiazdą, przesłania na krótko jej światło, wywołując wykrywalne „mrugnięcie”. Zainstalowane na pokładzie TESS niezwykłe nowe kamery Darkness pozwalają odfiltrować większość emitowanego w tle przez macierzystą gwiazdę światła, które w przeciwnym razie dominowałoby, usuwając

w cień informacje o planecie. Te charakterystyczne mrugnięcia nie tylko mówią naukowcom, jak wielka jest dana planeta, ale także informują o czasie, jakiego wymaga jej pełny obieg wokół macierzystej gwiazdy oraz o paru jeszcze innych sprawach.

Instrumenty umieszczone w przestrzeni kosmicznej takie jak nowy Teleskop Kosmiczny im. Jamesa Webba mogą następnie analizować różne czynniki, na przykład skład atmosfery planety i jej masę, ustalać, czy jest skalista jak nasza Ziemia czy gazowa jak Neptun, określać jej temperaturę, a co najważniejsze – wykrywać ewentualne ślady występowania w jej środowisku metabolizmu świadczącego o obcym życiu. Analiza emisji gazów może dostarczyć ważnego wskaźnika inteligentnej aktywności obcych, choć w przypadku ludzi jest dokładnie na odwrót. Na Ziemi ciągłe niszczenie regulujących klimat lasów deszczowych i towarzyszący temu wzrost emisji gazów cieplarnianych sugeruje formę życia, która musi odbyć jeszcze długą drogę, zanim określenie jej mianem inteligentnej stanie się zasadne.

TESS przejmuje pałeczkę od wcześniejszego wysłanego przez NASA tropiciela inteligencji pozaziemskich – satelity Kepler, który krąży po orbicie od 2009 roku. O ile jednak Kepler przeglądał jedynie niewielki segment nieba, o tyle TESS będzie badać olbrzymie 85 procent widzialnego świata. Kepler zrobił znakomitą robotę wstępną, znajdując na przeszukiwanej przez siebie stosunkowo niewielkiej połaci przestrzeni ponad 2300 egzoplanet. Większość z nich jednak znajduje się zbyt daleko, są za gorące lub za chłodne, nie ma na nich wody albo krążą wokół zbyt słabo świecących gwiazd. Tak więc daleko im do planety Złotowłosej.

Jeśli prace będą przebiegały zgodnie z planem, TESS wszystko to zmieni. Jej instrumenty będą skanowały niemal wszystkie gwiazdy, jakie możemy dostrzec gołym okiem na czystym, ciemnym niebie – oraz kilkaset

tysięcy innych znajdujących się stosunkowo blisko. (Odległości, jakie wchodzą tu w grę, są zdumiewające: „blisko” znaczy w tym kontekście nie dalej niż jakieś 300 lat świetlnych od Ziemi). Co lepsze, TESS o wiele skuteczniej niż Kepler nakieruje się na gwiazdy o właściwościach sugerujących, że mogą sprzyjać jakiejś formie inteligentnego życia w naszym rozumieniu.

W poszukiwaniach pozaziemskich inteligencji zaliczyliśmy mnóstwo falstartów i mieliśmy do czynienia z niemałą liczbą mistyfikacji. Zdarzały się również zwykłe nieporozumienia: dziwne humanoidalne postacie, które widywano podobno w okolicach bazy lotnictwa wojskowego w Roswell, były najprawdopodobniej manekinami służącymi do testowania spadochronów. Wynoszono je w powietrze za pomocą balonów stratosferycznych, a następnie zrzucano, by zbadać, co się dzieje z ciałem człowieka w skrajnych warunkach powstających podczas skoków ze spadochronem otwieranym na dużej lub małej wysokości. Próby takie prowadzono przez kilka dziesięcioleci, począwszy od lat 50. ubiegłego wieku. Manekiny lądowały niekiedy na pustyni i wojsku nie zawsze udawało się je odnaleźć.

W laboratoriach w Roswell przeprowadzano następnie badania tych manekinów, co mogło dać okazję i zachętę do nakręcenia filmu z rzekomą „autopsją obcego”, który tak podgrzał teorie spiskowe. Wszystkie te doświadczenia mogą również wyjaśniać inne doniesienia o obcym życiu ukrywanym w bazie. Te fałszywe tropy i niepowodzenia nie powstrzymały poszukiwań inteligencji pozaziemskich – na szczęście, ponieważ jeśli chodzi o wszechświat i nasze w nim miejsce, to wciąż mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

Lista fortunnych czynników, dzięki którym Ziemia jest planetą, na której istnieje życie, jest cudownie – i tajemniczo – długa. Znajdujemy się

w dokładnie takiej odległości od naszego Słońca, by woda powierzchniowa mogła pozostawać w stanie płynnym; pole elektromagnetyczne Ziemi chroni nas przed szkodliwymi siłami zewnętrznymi takimi jak rozbłyski słoneczne; nasze Słońce jest akurat tak wielkie, by pozostawało w stabilnym stanie przez miliardy lat; ciśnienie atmosferyczne jest idealne dla ludzkiego życia; wreszcie nasz piękny wielki Księżyc pomaga ustabilizować precesję osi, która w przeciwnym razie wywoływałaby znacznie częstsze i skrajniejsze niż w rzeczywistości zmiany klimatu. Księżycowi zawdzięczamy też przypływy i odpływy morza zwalniające rotację Ziemi do szczęśliwych 24 godzin na dobę, a ochronna warstwa ozonowa atmosfery blokuje promieniowanie kosmiczne.

Na fenomen Ziemi składa się jeszcze wiele innych czynników – jest ich tak wiele i niektóre z nich wykazują tak złożone schematy, że czasem uważa się, iż szanse połączenia się ich wszystkich w jednym cudownym zbiegu okoliczności są tak małe, że ich rzeczywiste współwystępowanie musi wskazywać na działanie ręki boskiego Stwórcy. Inni, w tym wielu naukowców, replikują, że wszechświat jest tak zdumiewająco rozległy i ciągle tak dalece się zmienia, iż przypadkowa i niezwykle korzystna kombinacja czynników, z jaką mamy do czynienia na Ziemi, jest po prostu statystycznie prawdopodobna i na szczęście dla nas wystąpiła akurat na naszej planecie.

Cofa nas to do największej nierozwiązanej tajemnicy ludzkiego życia: czy odpowiedź brzmi „42”, czy też rzeczywiście mamy towarzystwo w kosmosie? Starają się to ustalić badacze w obserwatorium La Silla w Chile. Posługując się niezwykle precyzyjnym spektrometrem HARPS, odkryli oni ostatnio planetę, na której panują warunki sprzyjające życiu. Nosi ona nazwę Ross 128 b, a krąży wokół czerwonego karła. Planeta ta na dodatek zbliża się do Ziemi. Odległa obecnie o (zaledwie!) 11 lat

świetlnych, za 80 tysięcy lat stanie się naszym najbliższym sąsiadem, strącając z piedestału Proximę b, gwiazdę obecnie najbliższą.

Choć Ross 128 b krąży bardzo blisko swojej gwiazdy macierzystej, panujący na niej klimat jest dość umiarkowany – temperatura mieści się w zakresie od –60 do +20 stopni Celsjusza. Jeśli jest na niej dość wody jak na potrzeby życia zwierzęcego i ludzkiego, to mamy towarzystwo.

Najbardziej elektryzująca wskazówka, że rzeczywiście istnieje życie pozaziemskie, jest całkiem świeża. W styczniu 2019 roku zespół naukowców z Kolumbii Brytyjskiej powiadomił o sensacyjnym odkryciu dokonanym w ramach projektu CHIME (kanadyjskiego eksperymentu mapowania natężenia wodoru). Badacze zarejestrowali drugą już serię powtarzających się szybkich błysków radiowych pochodzących z jednego określonego miejsca w odległym kosmosie.

Astronomowie i łowcy obcych są zarazem zdumieni i podekscytowani faktem, że takie powtarzające się sygnały nie zostały wykryte raz, lecz dwukrotnie. Szybkie błyski radiowe pojawiają się na całym niebie, a naukowcy nie wiedzą, co je powoduje.

Pierwsza seria powtarzających się szybkich błysków radiowych została dostrzeżona w roku 2015 przez obserwatorium Arecibo na Puerto Rico, słynne z radioteleskopu o pojedynczej czaszy średnicy 300 metrów. Nowa seria nadeszła z innego, lecz równie precyzyjnie określonego miejsca daleko poza naszą Galaktyką, z odległości około 1,6 miliarda lat świetlnych od Ziemi.

Kanadyjski eksperyment mapowania natężenia wodoru miał pierwotnie na celu badanie wczesnych etapów istnienia wszechświata. Wykorzystywane w nim urządzenie nie składa się – jak konwencjonalny radioteleskop – z pionowo ustawionych talerzy, lecz tworzy je kilka długich, niskich, półcylindrycznych struktur przypominających koryta.

Niektóre z tych błysków radiowych mają niską częstotliwość, co pogłębia tajemnicę, gdyż wyklucza część naukowych modeli proponowanych w celu wyjaśnienia ich źródła. Astronomowie odrzucają również możliwość, że dochodzi do nich w wyniku jakichś katastrof kosmicznych. Co zatem je powoduje?

Za mało jeszcze wiemy o przestrzeni, czasie i materii, by zrozumieć nasze miejsce w tym, co Buzz Astral określał jako „nieskończoność i jeszcze dalej!”, ale pokusa, by nie ustawać w próbach, jest nieodparta. Chcemy wyjaśnienia tych ostatecznych tajemnic i nie spoczniemy, póki nie znajdziemy odpowiedzi.

JASKINIA WSCHODZĄCEJ GWIAZDY

Czy Gollum naprawdę istniał? Złowrogi, z oczami jak lampy, łowca goblinów z powieści fantasy *Hobbit* pióra J.R.R. Tolkiena jest cudownym wytworem wyobraźni wielkiego pisarza, a jednak odkrycie całkowicie nowego gatunku człowiekowatych w odległych i głębokich ciemnościach kompleksu jaskiniowego Dinaledi (Wschodząca Gwiazda) w jakiś dziwny sposób przywodzi na myśl tę postać.

Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy leży jakieś 50 kilometrów na północny wschód od Johannesburga w RPA, na terenie „kolebki ludzkości" umieszczonej na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jeśli chodzi o jej eksplorację, wielkość ma znaczenie. Już sama trudność, jaką współczesnym ludziom sprawia poruszanie się po labiryncie szczelin, studni i przejść, daje nam pewne wyobrażenie o budowie dawnych hominidów, które z niej korzystały.

Do napisania na nowo wczesnej historii rozwoju człowieka przystąpiło kilka mocnych, twardych i nieustraszonych kobiet. Trzeba uczciwie dodać, że swoją rolę odegrali też mężczyźni – dwaj południowoafrykańscy speleolodzy, którzy odkryli niezwykle małą szczelinę wejściową prowadzącą do jaskini, a potem mieli dość hartu, by ją pokonać. Wiele jednak dalszych przejść jest tak niskich – 25 centymetrów wysokości, i tak wąskich – 18 centymetrów szerokości, że spośród męskich grotołazów mogą się przez nie przecisnąć jedynie najszczuplejsi.

Mniejsza jednak o tę ciasnotę – to, co eksploratorzy znaleźli w niewielkiej pustce nazwanej komorą Dinaledi (co znaczy „komora

gwiazd”), zmienia nasze poglądy na naszą pradawną przeszłość. Kierowany przez prof. Lee Bergera z Uniwersytetu Witwatersrandzkiego zespół natrafił na odkrycie marzeń: ponad 1550 skamieniałych kości. Były to szczątki całkowicie nieznanego hybrydowego człekopodobnego gatunku – gatunku, który miał zmusić naukowców do przeskalowania całej wiedzy o wczesnym rozwoju człowieka. Nazwawszy ten nowy gatunek *Homo naledi* – dosłownie: „gwiezdny człowiek”, „człowiek z gwiazd” – eksperci mozolnie wydobywali i dokumentowali odkryte kości. Były to szczątki przynajmniej piętnastu osobników obojga płci, od niemowląt po starszych dorosłych. Ich wiek został wiarygodnie oszacowany na 236–335 tysięcy lat.

Dorosły *H. naledi* miał nie więcej niż 152 centymetry wysokości i ważył średnio jakieś 45 kilogramów, a jego mózg, chociaż wielkości pomarańczy, w swojej budowie stanowił godną uwagi kombinację cech ludzkich i zwierzęcych. Pod względem ukształtowania mózgu hominid ten był do nas o wiele bardziej podobny niż inne wczesne gatunki człowiekowatych, jak na przykład *Homo heidelbergensis*. Oznacza to, że *H. naledi* z powodzeniem mógł się posługiwać mową i posiadać umiejętność wytwarzania narzędzi.

Budowa ciała naszego małego pradawnego kuzyna od pasa w dół była dość podobna do naszej: długie, muskularne nogi i takie same, niezakrzywione, stosunkowo płaskie stopy umożliwiające mu chodzenie w pozycji wyprostowanej. Od pasa w górę przypominał jednak raczej szympansa: ramiona miał bardziej pochyłe niż my, a ręce, choć zdolne do manipulowania drobnymi przedmiotami, były zakrzywione jak u szympansa i niezwykle silne. Komentatorzy wskazywali, że te cechy fizyczne mogły mu ułatwiać wspinanie się na drzewa i wahadłowe przeskakiwanie z gałęzi na gałąź. Mogły też być pomocne przy poruszaniu

się w systemach wąskich i stromych jaskiń takich jak jaskinia Wschodzącej Gwiazdy.

To, co być może *H. naledi* robił w tych jaskiniach, jest naprawdę ekscytujące. Na dnie pionowej studni zwężającej się w niektórych miejscach do mniej niż 20 centymetrów, a więc niesłychanie trudno dostępnej, badaczki znalazły składowisko skamieniałych kości *H. naledi*. Zdaniem prof. Bergera szczątki nie znalazły się tam przypadkiem, lecz zostały umieszczone celowo. Innymi słowy, jeśli ma on rację, to *H. naledi* świadomie grzebał swoich zmarłych. Jest to działanie rytualne, o którym powszechnie sądzi się, że wskazuje na wysoki poziom inteligencji oraz zaawansowaną kulturę.

Jakby nie wystarczało samo odkrycie nowego gatunku, którego istnienia wcześniej nie podejrzewano, niektóre cechy fizyczne *H. naledi* oraz wyraźne posługiwanie się przez niego rytuałem wciąż wysyłają fale uderzeniowe wstrząsające światem nauki.

We wrześniu 2017 roku, po ukazaniu się książki prof. Bergera na temat *H. naledi*, jej autor powiedział: „Ten gatunek przedludzkich człowiekowatych świadomie pozbywał się swoich zmarłych. Podejmował niebezpieczną wyprawę do tej głębokiej komory, by umieścić tam zwłoki, albo wrzucał je w niedostępne miejsce. To coś, o czym wcześniej sądziliśmy, że jest swoiste dla ludzi czy określa [wyłącznie] nas, teraz jednak już tak nie uważamy”.

Inni eksperci podają w wątpliwość dowody rytualnego zachowania. Jeden z nich zasugerował, że kości mogły trafić na dno studni w wyniku powodzi albo zostać tam zniesione przez dawny ciek wodny. Jeśli tak, to nasuwa się pytanie: dlaczego nie ma absolutnie żadnych śladów jakichkolwiek kości zwierzęcych, które zostałyby zmyte do szybu wraz ze szczątkami *H. naledi*? Czy nie powinny się tam znaleźć również

skamieniałe kości szczura, węża lub innego stworzenia, które nie zdołało ujść przed powodzią? Inny ekspert sugeruje, że w jaskini mogło dojść do skalnego obrywu, wskutek czego ludzie, których szczątki wywołały takie podniecenie, zostali w niej uwięzieni. Znów jednak wydaje się dziwne, dlaczego wszyscy oni mieliby się znaleźć na tej maleńkiej, liczącej nie więcej niż metr kwadratowy powierzchni bez żadnego śladu jakiejkolwiek flory czy fauny.

Bardziej wiarygodne jest wyjaśnienie, że *H. naledi* prowadził na ogół zbieracko-łowieckie życie na afrykańskich sawannach, jednak w sytuacjach zagrożenia szukał schronienia w takich miejscach jak jaskinia Dinaledi. W scenariuszu tym grupa ludzi uciekających przez drapieżnikiem – mogłoby nim być zwierzę lub jakiś inny gatunek człowiekowatych – zgubiła się w jaskini i uwięzła na dnie studni. Sam jednak fakt, że w ogóle zdołali dostać się do tej jaskini, mocno sugeruje, że *H. naledi* podobnie jak neandertalczyk umiał posługiwać się ogniem. Bez jakiegoś oświetlenia nie mógłby się poruszać po tych trudno dostępnych korytarzach, nawet mając oczy tak wielkie i sprawne jak Gollum.

W komorze Lesedi, jakieś 100 metrów od znaleziska Dinaledi, odkryto drugi zbiór stu trzydziestu skamielin obejmujący stosunkowo kompletny szkielet dorosłego osobnika płci męskiej. Obie komory leżą głęboko w systemie jaskiń, który, jak się wydaje, nie ma innych otworów wejściowych niż ten jeden już odkryty, jest więc w nich równie ciemno.

Szczątki męskiego osobnika z Lesedi nazwanego Neo są datowane z grubsza na ten sam okres co znalezisko z komory Dinaledi i wywołują nie mniejsze zamieszanie. Czy również i te kości zostały zniesione do tego innego miejsca przez wodę? Albo czy Neo również uwiązł?

Prof. Chris Stringer z brytyjskiego Muzeum Historii Naturalnej, komentując to największe jak dotąd w Afryce i jedno z najważniejszych na

świecie znalezisk, powiedział:

> Te wykazujące swoistą mieszaninę cech współczesnych i archaicznych skamieniałości zachwiały naszym rozumieniem źródeł i różnorodności rodowodu człowieka. *Homo naledi* raz jeszcze pokazuje, iż nie możemy wyobrażać sobie ewolucji człowieka w taki sposób, że oto nasi podobni do małp przodkowie stopniowo i liniowo wykształcali coraz to nowocześniejsze cechy. W rzeczywistości wiele ludzkich gatunków ewoluowało równolegle i współwystępowało – niekiedy tuż obok siebie.
>
> Wiele kwestii dotyczących *Homo naledi* jest tajemniczych – na przykład: jak jego szczątki dostały się do jaskiń, jak wyglądały jego narzędzia i jak mógł przetrwać obok gatunków z większym mózgiem.

W tych głębokich i odległych jaskiniach nigdy nie było jezior, toteż nawet jeśli *H. naledi* swoim małym, szczupłym ciałem bardzo przypominał Golluma, to porównanie go z tym stworem, który żył na podziemnej wyspie i łowił ryby z łódki, jest zupełnie fantastyczne. Ale co właściwie *H. naledi* robił w tych jaskiniach, jeśli nie polował na gobliny?

STREFA 51

Od dziesięcioleci miłośnicy fantastyki naukowej, maniacy wojskowości i zwykli ciekawscy zastanawiają się, co się dzieje wewnątrz Strefy 51. Odosobniona i ściśle tajna baza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych mieszcząca się 134 kilometry na północny zachód od Las Vegas stała się inspiracją do wszelkiego rodzaju pogłosek i spekulacji, a także dla mnóstwa książek i filmów. Większość z nich to wariacje na ten sam temat: Strefa 51 jest miejscem gigantycznej rządowej konspiracji mającej ukryć dowody oficjalnych kontaktów z życiem pozaziemskim. Na poparcie tej tezy powoływano się na wiele dziwnych i często sprzecznych doniesień od naocznych świadków, niekiedy zawartych w oficjalnych dokumentach rządu amerykańskiego.

Zobaczmy najpierw, co wiemy. W 1955 roku, w kulminacyjnym okresie zimnej wojny, Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) zbudowała w znacznie wówczas mniejszej niż dziś (9,7 na 16,1 kilometra) Strefie 51 pierwszy obiekt. Odosobniona lokalizacja i najsurowsze środki bezpieczeństwa miały uniemożliwić agentom obcych wywiadów – zwłaszcza z bloku sowieckiego – uzyskanie jakiejkolwiek wiedzy o tak zwanym Projekcie Aquatone obejmującym opracowanie i testowanie stratosferycznego samolotu szpiegowskiego U-2.

W tym samym miejscu testowano następnie inne supertajne samoloty, na przykład niewidzialny dla radaru myśliwiec F117A. Nic dziwnego zatem, że baza wciąż wykorzystywana do tajnych celów pozostaje jednym z najpilniej strzeżonych i najniedostępniejszych obiektów na świecie.

Rozstawione wokół znaki ostrzegają w oględnych słowach, że uzbrojeni strażnicy są upoważnieni, by do intruzów najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać im pytania.

Obiekt stanowi dziś część bazy lotniczej im. Edwardsa i nosi oficjalne nazwy „lotnisko Homey” lub „Groom Lake”. Dokument CIA sporządzony podczas wojny wietnamskiej mówi jednak o Strefie 51 i dlatego miejsce to znane jest przede wszystkim pod tą właśnie nazwą. Inne nazwy to „Kraina Marzeń”, „Rajskie Ranczo” (wymyślano je, by zachęcić pracowników do sprowadzania się tam) czy po prostu „Ranczo”. Specjalnie przeznaczone do tego celu tajne wojskowe samoloty wożą pracowników tam i z powrotem, lądując na wydzielonej części portu lotniczego Las Vegas.

W pobliżu centrum Strefy 51 znajduje się solna płaszczyzna w przybliżeniu długa na sześć i szeroka na pięć kilometrów; jest to jezioro Groom należące do poligonu bombowego im. Nellisa. W równie nagiej i pozbawionej wyrazu reszcie Strefy 51 znajdują się pasy startowe, koszary, budynki administracyjne i dziwne piramidy z płaskim szczytem, których przeznaczenie nie jest znane – chyba że komuś zdarzyło się tam pracować. Baza rozciąga się na z grubsza prostokątnej połaci pustyni wielkości 37 na 40 kilometrów, zwanej Groom Box. Po tych rozległych i skądinąd pustych obszarach porośniętych bylicą i kaktusami nic nie może się poruszać bez wiedzy CIA, Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i – całkiem być może – Rosjan. Nawet skalne jaszczurki muszą się mieć na baczności.

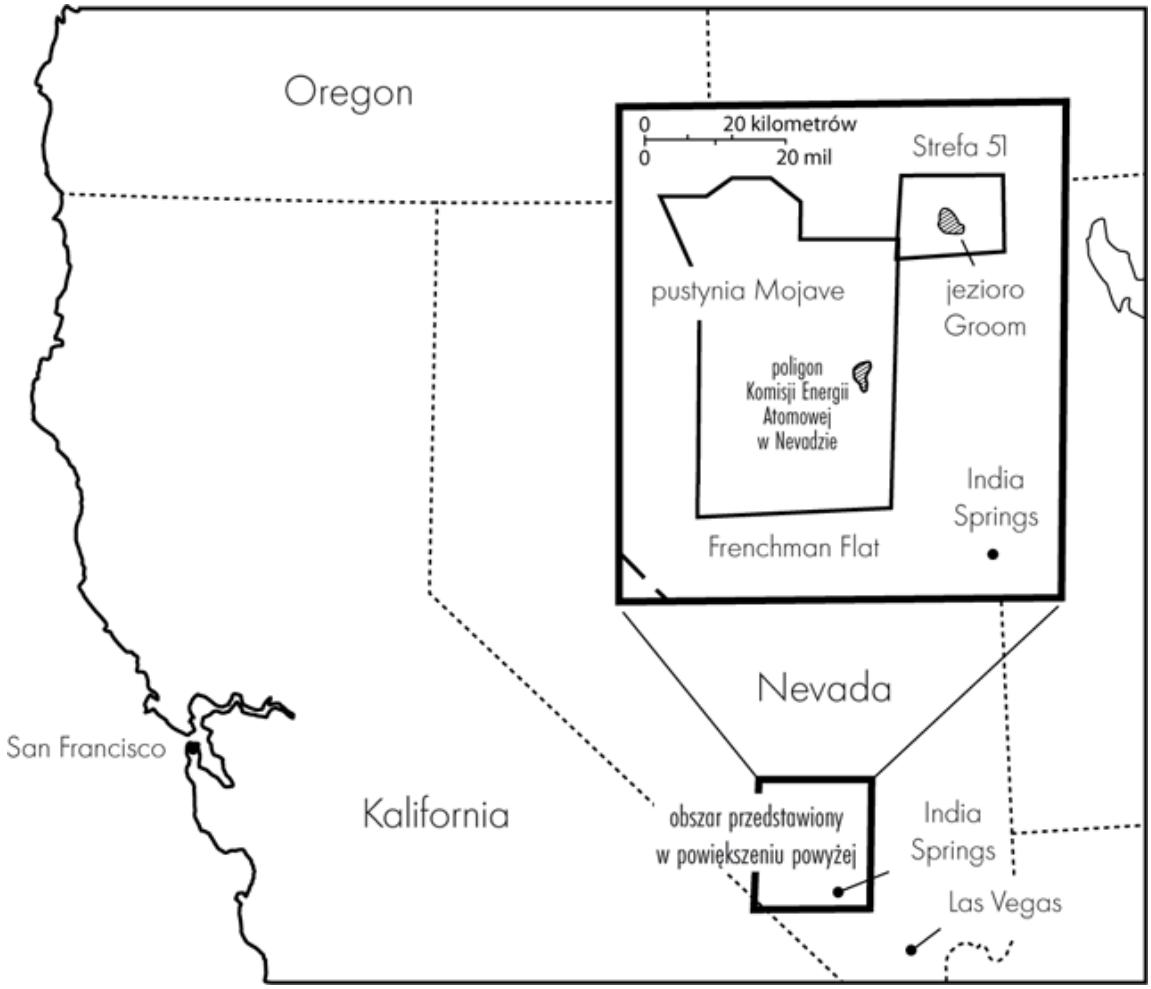

Fakt, że aż do niedawna rząd amerykański odmawiał nawet przyznania, iż Strefa 51 w ogóle istnieje, dolewał tylko oliwy do ognia teorii spiskowych mówiących o obcych. Zainteresowania nie osłabiały bynajmniej powtarzające się doniesienia o dziwnych światłach i dźwiękach na niebie ponad bazą, jak również o tak zwanych trzęsieniach nieba. Mówiło się między innymi o wstrząsających atmosferą ogłuszających dźwiękach wybuchów, od których niespodziewający się niczego ludzie, (i zwierzęta) wyskakiwali ze skóry. Opisywano również niewyjaśnione ogniste kule na niebie ponad bazą albo ponaddźwiękowe samoloty pozostawiające za sobą koliste smugi kondensacyjne nazywane „pączkami na linie”.

W sierpniu 2013 roku po dziesięcioleciach tajności i zaprzeczeń dowiedzieliśmy się, skąd się one brały: CIA przedstawiła dokumenty oficjalnie potwierdzające istnienie Strefy 51 i przyznające, że służyła ona jako poligon doświadczalny dla kolejnych ściśle tajnych samolotów. Znalazły się wśród nich A-12, YF-12A, SR-71 Blackbird i niewidzialny dla radaru myśliwiec F117-A.

W Strefie 51 realizuje się również tak zwany program oceny materiału obcego, w ramach którego elitarny i tajny oddział „czerwonych kasków” lata rosyjskimi i innymi zagranicznymi samolotami, aby ocenić ich mocne i słabe strony oraz uczyć najlepszych amerykańskich pilotów zasiadających za sterami typowych myśliwców wygrywać z nimi w walce powietrznej. Okazywało się zazwyczaj, że o ile samoloty zasadniczo nie różnią się osiągami, o tyle z umiejętnościami pilotów jest już gorzej. Skłoniło to armię amerykańską do stworzenia zaawansowanych specjalistycznych kursów szkolenia taktycznego zmierzających do podniesienia kwalifikacji pilotów. Aby nikt nie mógł śledzić tych podniebnych walk, przestrzeń powietrzna nad obszarem treningowym została zamknięta. Ten zakazany teren nazywany jest „czerwonym kwadratem”.

CIA nie wspomniała jednak o żadnych kontaktach z inteligentnymi obcymi. Nie próbowała też odnieść się do zarzutów, że funkcjonariusze Strefy 51 systematycznie ukrywają istnienie ciał obcych istot wydobywanych z rozbitych „latających talerzy”, jakie znajdowano w Stanach Zjednoczonych. Zachowała również milczenie w sprawie koncepcji, że naukowcy rządowi próbują zbudować międzygwiezdny pojazd kosmiczny wzorowany na wrakach obcych statków lub wykorzystać stosowaną w nich technologię w celu skonstruowania „broni kosmicznej”.

W teorie spiskowe mówiące o obcych związane z amerykańskimi bazami w ościennym Nowym Meksyku jako pierwszy tchnął życie incydent później nazwany incydentem w Roswell. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy 1947 roku, w kulminacyjnym okresie tego, co w retrospekcji sprawia wrażenie samowzmacniającego się szaleństwa, pojawiło się mnóstwo doniesień o zaobserwowaniu niezidentyfikowanych obiektów latających (UFO): ponad trzystu w samych Stanach Zjednoczonych i znacznie więcej na całym świecie. W czerwcu tego roku – albo z początkiem lipca, jak stwierdzał komunikat prasowy wojskowej bazy lotniczej w Roswell – jakiś nieznany obiekt rozbił się o ziemię na terenie rancza Fostera kilka kilometrów na północ od Roswell w Nowym Meksyku. 14 czerwca pewien zwalisty i trzeźwo myślący nadzorca z tego rancza W.W. „Mack” Brazel dokonywał właśnie zwykłego objazdu terenu w towarzystwie swojego ośmioletniego syna Vernona, kiedy zobaczył coś, co wziął za rozrzucone po ziemi szczątki rozbitego samolotu. Podniósł kilka kawałków i zabrał na ranczo. Gazeta „Roswell Daily Record” w wydaniu z 9 lipca donosiła, że Brazel był początkowo przekonany, iż znalazł kawałki balonu meteorologicznego.

Trzy dni później Brazel pokazał zabrane szczątki George’owi Wilcoxowi, szeryfowi hrabstwa Chaves. Ten z kolei skontaktował się z oficerem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych płk. „Butchem” Blanchardem z pobliskiej bazy lotniczej Roswell (dziś nosi nazwę Bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych im. Walkera i wciąż stacjonuje w niej 509 Grupa Bombowa, która w 1945 roku zrzuciła bomby jądrowe na Hiroszimę i Nagasaki).

Blanchard poinformował swojego przełożonego i dowódcę Ósmej Armii Powietrznej gen. Rogera M. Rameya. Ponieważ nie można już było uchylać się od odpowiedzialności, raportując dalej, Ramey rozkazał mjr.

Jessemu A. Marcelowi, oficerowi wywiadu 509 Grupy, gruntownie zbadać miejsce katastrofy i zebrać wszystkie elementy wraku, jakie zdoła znaleźć. Marcel udał się na miejsce zdarzenia w towarzystwie innego mężczyzny w cywilnym ubraniu (być może drugiego oficera wywiadu o nazwisku Sheridan Cavill), po czym zapewne przedstawił gen. Rameyowi dość ekscytującą relację ze swego odkrycia, gdyż później tego samego dnia Ramey, choć nawet jeszcze nie widział wraku, wydał rozkaz, który uruchomił lawinę teorii spiskowych. Polecił płk. Walterowi G. Hautowi, rzecznikowi prasowemu bazy Roswell, wydać komunikat dla mediów, że baza przejęła w posiadanie wrak „latającego dysku".

O czym tu mówimy? Oto wysoki rangą oficer Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych potwierdza istnienie czegoś, co później zyskało znacznie bardziej popularną nazwę „latającego talerza". Gdyby zdarzyło się to dzisiaj, wywołałoby w mediach ogólnoświatową sensację. Przez internet przetaczałyby się grzmiące twitterowe burze. W wiadomościach telewizyjnych na okrągło pojawiałyby się najświeższe informacje. Wtedy natomiast, gdy 8 lipca 1947 roku wiadomość trafiła na fale eteru, media zaczęły wprawdzie reagować, lecz ich zasięg i skuteczność były stosunkowo ograniczone.

Ramey rozkazał przysłać sobie wrak do Fort Worth w Teksasie, gdzie zbadano go w obecności samego generała i oficera służb meteorologicznych. Tego samego dnia polecił wydać nowy komunikat prasowy stwierdzający, że pan Brazel nie odkrył jednak szczątków „latającego dysku", lecz – jak nadzorca z rancza sam przypuszczał – kawałki rozbitego balonu meteorologicznego. Ten nowy komunikat ukazał się 9 lipca 1947 roku:

> Balon, który to unosił, jeśli w ten sposób to działało, musiał mieć 12 stóp długości, jak ocenił (Brazel), porównując tę długość

z wielkością pomieszczenia, w którym siedział. Guma była w odcieniu przydymionej szarości i rozrzucona w strzępach na obszarze o średnicy około 200 jardów. Kiedy zebrano szczątki, folia aluminiowa, papier, taśma i pręty utworzyły stertę długości około trzech stóp i grubości około 7–8 cali, podczas gdy sterta gumy miała około 18–20 cali długości i około 8 cali grubości. Wagę całości oszacował na jakieś 5 funtów. W pobliżu nie było żadnego śladu metalu, który mógłby być użyty w silniku, ani żadnego śladu jakiegokolwiek rodzaju śmigła, choć znaleziono przynajmniej jeden papierowy statecznik przyklejony do kawałka folii aluminiowej. Nigdzie na instrumencie nie znaleziono żadnego czytelnego napisu, choć na niektórych częściach były pojedyncze litery. Dało się rozpoznać taśmę klejącą oraz jakąś taśmę z nadrukowanymi kwiatami, które były wykorzystane do budowy. Nie znaleziono żadnych sznurów ani drutów, lecz w papierze znajdowało się trochę dziurek wskazujących, że być może coś było tam przytwierdzone.

Armia opublikowała serię wykonanych w gabinecie generała zdjęć pokazujących, jak on sam i inni wojskowi badają kolekcję czegoś, co niekompetentnemu, lecz sceptycznemu oku jawi się jako szczątki pochodzenia stanowczo nie obcego.

Tego samego dnia w „Roswell Daily Record” ukazał się nowy artykuł z nagłówkiem: „Nękany ranczer, który odnalazł »talerz«, żałuje, że o tym opowiedział”. Cytuje się w nim Macka Brazela mówiącego, że owego dnia znalazł na pustyni „kawałki gumy, folii aluminiowej i dość grubego papieru oraz drewniane pręty”. Fakt, że człowiek, który sam odnalazł szczątki, zdaje się potwierdzać nową wersję gen. Rameya, w większym lub mniejszym stopniu przyczynił się do uśmiercenia całej historii, która na trzydzieści jeden lat niemal znikła z pola widzenia mediów.

Potem jednak w 1978 roku fizyk nuklearny i badacz UFO Stanton Friedman przeprowadził wywiad z emerytowanym już mjr. Jessem Marcelem. Całkowicie wbrew swoim wcześniejszym oświadczeniom Marcel kategorycznie zaprzeczył, by wrak, jaki rozkazano mu odzyskać w Roswell, miał coś wspólnego z balonem meteorologicznym. W sprawie jakiegoś kawałka metalu, który odnalazł, powiedział:

> Miało się wrażenie, że nic nie ma się w rękach; nie był grubszy niż folia w paczce papierosów. Uderzyło mnie jednak, że nie dało się go nawet zgiąć, nie dało się wyszczerbić, nawet dwuręczny młot by od tego odskoczył.
>
> Nie miałem wątpliwości, że nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego […]. To nie było nic z naszej Ziemi, tego jestem całkiem pewien […]. Jako oficer wywiadu byłem obeznany z niemal wszystkimi materiałami stosowanymi w samolotach wojskowych i cywilnych. To nie było nic podobnego. Nie mogło być.

Marcel mówił dalej, że po przybyciu do Fort Worth rozłożył znalezione w Roswell szczątki na biurku Rameya. Generał poprosił go potem, by przeszedł wraz z nim do pokoju mapowego i pokazał mu na mapie dokładną lokalizację znaleziska. Kiedy wrócili do gabinetu generała, okazało się – jak twierdził Marcel – coś bardzo dziwnego: pozostawione przez niego na biurku kawałki wraku znikły, a na ich miejscu leżały mniej lub bardziej uszkodzone pozostałości stratosferycznego balonu meteorologicznego. Kiedy stał nad nimi, drapiąc się po głowie, przez znajdujące się za jego plecami drzwi do gabinetu wpadli fotoreporterzy prasowi.

Friedman przeprowadził wywiady z wieloma świadkami, w tym z Mackiem Brazelem, który też powrócił do swojej wcześniejszej wersji, oraz szeryfem Wilcoxem, płk. Blanchardem i Walterem Hautem. Stwierdził ostatecznie, że incydent w Roswell był „kosmiczną Watergate” – podjętą przez władze próbą ukrycia dowodów istnienia rozbitego statku kosmicznego i jego wielkookiej załogi. Na Strefę 51, jeden z najbardziej utajnionych i najściślej strzeżonych obiektów w całych Stanach Zjednoczonych, padło natychmiast podejrzenie, że jest miejscem, w którym ukrywa się te niezbite dowody życia pozaziemskiego.

Jakby tego wszystkiego było za mało, by namieszać w spiskowym kotle, w 1989 roku pewien pracownik domu pogrzebowego Ballarda w Nowym Meksyku o nazwisku Glenn Dennis skontaktował się z gorącą linią założoną w celu zbierania od ludzi informacji o aktywności obcych. Dennis powiedział operatorowi, że w czasie „katastrofy w Roswell” w 1947 roku był odpowiedzialny za realizację kontraktu zawartego przez wojsko z domem pogrzebowym Ballarda. Obejmował on obsługę pobliskiej bazy powietrznej Roswell, w tym także przewozy ambulansem.

Dennis twierdził, że w lipcu tego samego roku oficer odpowiedzialny za kostnicę w bazie Roswell zapytał go, czy dom pogrzebowy Ballarda mógłby dostarczyć pięć trumien dziecięcej wielkości, hermetycznie zamykanych. Podczas drugiej rozmowy telefonicznej ten sam oficer poprosił podobno o radę w sprawie procedur postępowania „ze zwłokami, które przez długi czas leżały na pustyni”.

Wkrótce po tych niecodziennych rozmowach Dennis, jak mówi, odwoził ambulansem do Roswell jakiegoś rannego żołnierza. Na terenie bazy zobaczył dziwny wrak z niezrozumiałym napisem. Wtedy jakaś „zdenerwowana” pielęgniarka wojskowa podeszła do niego i powiedziała mu, że musi opuścić obiekt. Następnego dnia jednak ta sama anonimowa

pielęgniarka skontaktowała się z nim ponownie, tym razem potajemnie, i poprosiła o spotkanie w kantynie oficerskiej w bazie. Kiedy się pojawił, przedstawiła mu w cztery oczy szczegóły trzech „sekcji zwłok obcych przeprowadzonych w kostnicy bazy, w których podobno osobiście uczestniczyła. Na poparcie swojej historii „siostra X”, jak ją później nazwano, sporządziła kilka rysunków ciał „obcych”, które Dennis utrzymywał w tajemnicy wraz ze wszystkimi innymi zgromadzonymi informacjami, by wreszcie ujawnić je w 1989 roku podczas sensacyjnej rozmowy telefonicznej.

W 1991 roku cieszący się już pewną sławą i rozgłosem Dennis złożył na poparcie swoich twierdzeń, że widział na terenie bazy Roswell szczątki obcego statku, następujące pisemne i zaprzysiężone oświadczenie:

ZŁOŻONE POD PRZYSIĘGĄ OŚWIADCZENIE GLENNA DENNISA

(1) Nazywam się Glenn Dennis

(2) Mieszkam pod adresem: XXXXXXXXXX

(3) () Pracuję jako _____ ( ) jestem emerytem

(4) W lipcu 1947 roku byłem pracownikiem domu pogrzebowego Ballarda w Roswell, który miał kontrakt na zapewnianie usług pogrzebowych wojskowej bazie lotniczej Roswell. Pewnego popołudnia około godziny 1.15 lub 1.30 odebrałem telefon od oficera kostnicy bazy, który zapytał o najmniejszą hermetycznie zamykaną trumnę, jaką mamy na składzie. Powiedział: „Chcemy wiedzieć na wypadek, gdyby kiedyś coś się zdarzyło”. Zapytał, jak długo musiałby czekać na taką trumnę, a ja zapewniłem go, że

mógłbym mu ją dostarczyć z dnia na dzień. Powiedział, że oddzwoni, gdyby jej potrzebowali.

(5) Jakieś 45 minut do godziny później zadzwonił ponownie i zapytał mnie, jak przygotowuje się zwłoki, które przez pewien czas leżały na pustyni. Zanim zdołałem odpowiedzieć, dodał, że chce zwłaszcza wiedzieć, jakie mogą być skutki zwykłych procedur przygotowawczych dla składu chemicznego ciała, krwi i tkanek. Wyjaśniłem że nasze chemikalia to głównie mocne wodne roztwory formaldehydu i że procedura zmieniłaby przypuszczalnie skład chemiczny zwłok. Zaproponowałem, że wyjadę do bazy, aby mu pomóc, gdyby napotkał jakieś problemy. On jednak powtórzył, że są to informacje na przyszłość. Zasugerowałem, że gdybym sam miał do czynienia z podobną sytuacją, spróbowałbym przechowywać i transportować ciało po zamrożeniu w suchym lodzie.

(6) Jakąś godzinę czy godzinę i kwadrans później odebrałem wezwanie do przewiezienia żołnierza, który miał ranę szarpaną na głowie i chyba złamany nos. Udzieliłem mu pierwszej pomocy i odwiozłem go do bazy. Dotarłem tam około godziny 5.00 po południu.

(7) Chociaż byłem cywilem, miałem zwykle swobodny dostęp do bazy, ponieważ mnie tam znano. Podjechałem ambulansem przez bazę na tyły izby chorych i zaparkowałem obok innego ambulansu. Drzwi były otwarte i zobaczyłem jakiś wrak. Było kilka kawałków wyglądających jak dno kanu, jakieś trzy stopy długości. Przypominały stal nierdzewną z fioletowym odcieniem, jakby poddano je wysokiej temperaturze. Na tym materiale było jakieś

dziwnie wyglądające pismo przypominające egipskie hieroglify. Było tam też dwóch żandarmów.

(8) Przekazałem lotnika i poszedłem do kantyny dla personelu napić się coli. Zamierzałem rozejrzeć się za pielęgniarką, która zaciągnęła się jakieś trzy miesiące wcześniej prosto po college'u i miała stopień podporucznika. Miała wtedy 23 lata (ja miałem 22). Zobaczyłem ją, jak wychodzi z jednej z sal zabiegowych z maską chirurgiczną na twarzy. Powiedziała: „Rany, znikaj stąd, bo inaczej będziesz miał straszne kłopoty". Weszła za inne drzwi, gdzie stał jakiś kapitan. Zapytał mnie, kim jestem i co tam robię. Odpowiedziałem mu, a on kazał mi czekać. Powiedziałem: „Wygląda na to, że mieliście jakiś wypadek; chcecie, żebym się przygotował?". Odpowiedział, żebym został tu, gdzie jestem. Potem przyszli dwaj żandarmi i eskortowali mnie z izby chorych. Powiedzieli, że mają rozkaz towarzyszyć mi aż do domu pogrzebowego.

(9) Przeszliśmy jakieś 10 czy 15 stóp, kiedy usłyszałem głos: „Nie skończyliśmy z tym s….synem. Wracajcie z nim". Był tam inny kapitan, rudy, z najzłośliwszymi oczami, jakie w życiu widziałem, który powiedział: „Nic nie widziałeś, nie było tu żadnego wypadku, a jeśli coś powiesz, możesz mieć wielkie kłopoty". Odpowiedziałem: „Zaraz, proszę pana, jestem cywilem i guzik mi możecie zrobić". On powiedział: „A właśnie, że tak; ktoś będzie zbierał twoje kości gdzieś tam na piasku". Był tam też czarny sierżant z bloczkiem w ręku, który powiedział: „Będzie z niego dobre żarcie dla naszych psów". Kapitan powiedział:

„Wyprowadzić tego s…..syna”. Żandarmi odprowadzili mnie do domu pogrzebowego.

(10) Następnego dnia próbowałem się dodzwonić do pielęgniarki, dowiedzieć się, co się dzieje. Około 11.00 przed południem zadzwoniła do domu pogrzebowego i powiedziała: „Muszę z tobą porozmawiać”. Umówiliśmy się, że się spotkamy w kantynie oficerskiej. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziała: „Zanim coś ci powiem, musisz mi przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie wymienisz mojego nazwiska, bo mogłabym mieć straszne kłopoty”. Zgodziłem się.

(11) Powiedziała, że poszła po jakieś materiały do sali, gdzie dwóch lekarzy wykonywało wstępną autopsję. Powiedzieli jej, że będzie im potrzebna do sporządzania notatek podczas tej procedury. Mówiła, że nigdy w życiu nie czuła tak okropnego zapachu jak wtedy, a widok był najbardziej przerażający, jaki zdarzyło się jej widzieć. Powiedziała: „To było coś, czego nikt nigdy nie widział”. Kiedy to opowiadała, bałem się, że dostanie ataku histerii.

(12) Narysowała mi wygląd ciał, w tym ramię z ręką, u której były tylko cztery palce; lekarze zauważyli, że na końcach palców były małe poduszeczki przypominające bańki do stawiania. Powiedziała, że głowa była nieproporcjonalnie wielka w stosunku do reszty ciała; oczy były głęboko osadzone; czaszki elastyczne; nos zapadnięty, właściwie tylko dwa nozdrza; usta wąskie jak szpara, a lekarze mówili, że w miejscu zębów była twarda chrząstka. W miejscu uszu były tylko małe otwory z klapką. Nie mieli włosów, a skóra była czarna – może z powodu wystawienia na słońce. Dała mi te rysunki.

(13) Były trzy ciała; dwa bardzo zmiażdżone i rozczłonkowane, jakby zniszczone przez drapieżniki; jedno właściwie nietknięte. Mieli trzy i pół do czterech stóp wzrostu. Powiedziała mi, że lekarze stwierdzili: „Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy; w podręcznikach medycyny nie ma niczego takiego”. Powiedziała, że ona i lekarze źle się poczuli. Musieli włączyć klimatyzację i bali się, że odór rozniesie się po całym szpitalu. Musieli przenieść się z dalszym postępowaniem do hangaru lotniczego.

(14) Odwiozłem ją do koszar oficerskich. Następnego dnia zadzwoniłem do szpitala dowiedzieć się, co u niej, ale powiedzieli, że nie może odebrać telefonu. Próbowałem ją złapać przez kilka dni, a w końcu złapałem jedną z pielęgniarek, która powiedziała, że porucznik została przeniesiona razem z niektórymi innymi osobami z personelu. Jakieś 10 dni czy dwa tygodnie później dostałem od niej list z numerem poczty wojskowej. Sugerowała, że w przyszłości moglibyśmy omówić tamten incydent listownie. Odpisałem i po około dwóch tygodniach list wrócił z dopiskiem: „Zwrócić nadawcy – ADRESAT NIE ŻYJE”. Później jedna z pielęgniarek w bazie powtórzyła mi pogłoski, że tamta pielęgniarka z pięcioma innymi uczestniczyła w misji szkoleniowej i zginęły w katastrofie samolotu.

(15) Szeryf George Wilcox i mój ojciec byli bardzo bliskimi przyjaciółmi. Szeryf przyszedł do domu rodziców rano po wypadkach w bazie i powiedział mojemu ojcu: „Nie wiem, jakich kłopotów napytał sobie Glenn, ale powiedz swojemu synowi, że niczego nie wie i niczego nie widział w bazie”. Potem dodał: „Chcą znać nazwiska twoje i żony i jeszcze adresy wasze i dzieci”. Ojciec

natychmiast przyjechał do domu pogrzebowego i zapytał mnie, jakie mam kłopoty. Powtórzył mi rozmowę z szeryfem, a ja opowiedziałem mu o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Aż do niedawna był jedyną osobą, której opowiedziałem tę historię.

(16) Ukryłem szkice, które pielęgniarka dała mi tamtego dnia. Ostatnio na życzenie badacza próbowałem odszukać swoje prywatne archiwum w domu pogrzebowym, ale wszystko zostało zniszczone.

(17) Nie zapłacono mi ani nie dano niczego wartościowego za złożenie tego oświadczenia, które jest zgodne z prawdą we wszystkim, co zdołałem zapamiętać.

Podpisano: Glenn Dennis
Data: 7.08.1991

Jako świadek podpisał:
Walter G. Haut

Antyspiskowi badacze natychmiast przystąpili do pracy, miażdżąc wszystkie twierdzenia Dennisa jako zmyślone. Aby udowodnić, że chodzi o mistyfikację, skupili swoje badania na tożsamości siostry X. Kiedy Dennisa poproszono, by ją ujawnił, odpowiedział, że została „przeniesiona do Anglii” zaraz po ich spotkaniu w kantynie oficerskiej. Twierdził później, że kiedy następnie napisał do niej właśnie po to, by uzyskać od niej dodatkowe informacje o „ciałach obcych”, list powrócił z dopiskiem: „Adresat nie żyje”, i że powiedziano mu, iż zginęła w katastrofie samolotu wojskowego.

Nigdy jednak nie znaleziono żadnych informacji o katastrofie amerykańskiego samolotu wojskowego – a zresztą jakiegokolwiek innego – do której miałoby dojść mniej więcej w rozważanym okresie. Później, w wywiadzie opublikowanym w kwietniu 1992 roku w piśmie „MUFON UFO Journal", Dennis zmienił swoją historię, mówiąc dziennikarzom: „Nigdy nie próbowałem się z nią skontaktować. […] Kiedy odeszła z wojska, wstąpiła do zakonu". Ponieważ w wielu zakonach siostry pozostają w zamknięciu swoich klasztorów, mają niewielki kontakt ze światem zewnętrznym i wymaga się od nich zachowywania milczenia, wyjaśnienie to uderzało niedowiarków jako dość wygodne.

Naciskany dalej, by udowodnił prawdziwość swoich słów, Dennis zgodził się ostatecznie ujawnić tożsamość stale nieuchwytnej siostry X. Nazywała się, jak powiedział, Naomi Maria Self. Znakomity artykuł opublikowany na stronie internetowej roswellfiles.com wskazuje: „Wciąż istnieją »raporty poranne« za lipiec 1947 wyliczające cały wojskowy personel bazy powietrznej Roswell. Pokazują one, że w lipcu 1947 roku do bazy było odkomenderowanych tylko pięć pielęgniarek i żadna z nich nie została nagle przeniesiona do Anglii ani gdziekolwiek za granicę. Żadna z nich nie nazywała się Naomi Maria Self ani żadne nazwisko nie przypomina takiego. Gruntowne przeszukiwanie kartotek w Krajowym Ośrodku Dokumentacji Personelu nie pozwoliło znaleźć nikogo o tym nazwisku, kto by kiedykolwiek służył w wojsku".

Przyciskany w sprawie rezultatu tych poszukiwań Dennis zmienił swoją historię raz jeszcze, mówiąc: „Podałem wam zmyślone nazwisko, ponieważ obiecałem jej [siostrze X], że nigdy nikomu nie ujawnię prawdziwego".

Na tym się nie skończyło. Pomimo faktu, że siostra X sama nigdy się nie pojawiła ani nie uzyskano żadnych twardych pisemnych dowodów jej istnienia, kilku ludzi potwierdziło niektóre przynajmniej elementy relacji

Dennisa. Znalazł się wśród nich były żandarm wojskowy w bazie Roswell o nazwisku L.M. Hall, który w 1993 roku złożył pod przysięgą i podpisał następujące oświadczenie:

ZŁOŻONE POD PRZYSIĘGĄ OŚWIADCZENIE L.M. HALLA

(1) Nazywam się L.M. Hall

(2) Mieszkam pod adresem: XXXXXXXXXX

(3) () Pracuję jako _____ ( ) jestem emerytem

(4) Do Roswell w Nowym Meksyku przybyłem w 1943 roku, służąc w Siłach Powietrznych. Byłem żandarmem wojskowym i śledczym w bazie lotniczej Roswell. W 1946 roku, po zwolnieniu ze służby, wstąpiłem do policji w Roswell, a w 1964 zostałem mianowany na stanowisko szefa policji, które piastowałem przez 14 i pół roku. Obecnie jestem członkiem Rady Miejskiej Roswell.

(5) W 1947 roku byłem policjantem zmotoryzowanym i do moich obowiązków należało patrolowanie South Main Street pomiędzy miastem a bazą. Podobnie jak inni policjanci często zatrzymywałem się na przerwę w pracy w małym barze przy domu pogrzebowym Ballarda przy South Main 910, gdzie pracował Glenn Dennis. Poznałem Glenna jeszcze podczas służby w bazie, ponieważ w ramach kontraktu zawartego przez dom pogrzebowy jeździł ambulansem do bazy, toteż później wypijałem z nim niekiedy kawę, gdy wstępowałem do baru, a on był akurat w pracy.

(6) Pewnego dnia w lipcu 1947 roku byłem u Ballarda na przerwie i obaj z Glennem byliśmy na podjeździe, gadając o byle czym. Ja

siedziałem na motocyklu, a Glenn stał w pobliżu. W pewnej chwili powiedział mimochodem: „Miałem dziwną rozmowę z bazą. Chcieli wiedzieć, czy mamy parę dziecięcych trumien”. Potem zaczął się śmiać i powiedział: „Zapytałem po co, a oni powiedzieli, że chcą pochować [lub wysłać] tych tam obcych” – coś w tym sensie. Myślałem, że próbuje mnie nabrać, więc nie połknąłem przynęty. Nigdy więcej nic o tym nie mówił, a ja też nie.

(7) Sądzę, że ta rozmowa odbyła się parę dni po tym, jak w gazetach w Roswell ukazały się te artykuły o rozbitym latającym talerzu.

(8) Nie zapłacono mi ani nie dano niczego wartościowego za złożenie tego oświadczenia, które jest zgodne z prawdą we wszystkim, co zdołałem zapamiętać.

Podpisano: L.M. Hall
Data: 15.09.1993

Jako świadek podpisał:
nikt nie był obecny jako świadek

W tym samym roku 1989, w którym Dennis wystąpił ze swoją historią, pewien człowiek twierdzący, że jest fizykiem wykształconym w Instytucie Technicznym Massachusetts, po raz pierwszy wywlókł Strefę 51 na widok publiczny. Bob Lazar, bo tak się nazywał, występując pod pseudonimem Dennis i z zamazaną twarzą, powiedział reporterowi lokalnej telewizji KLAS z Las Vegas, że za młodu został zatrudniony w S-4, supertajnym obiekcie mieszczącym się, jak mówił, w Strefie 51, do pracy przy analizie technologii obcych i jej odtwarzaniu. Twierdził, że gdy przybył do S-4,

zobaczył nie jeden pozaziemski statek kosmiczny, ale przynajmniej dziewięć. Niektóre były w idealnym stanie, inne w nieco gorszym wskutek zużycia. To właśnie zawsze podejrzewali liczni członkowie wspólnoty UFO. Lazar powiedział również, że wśród pozaziemskich pojazdów kosmicznych, które badał w S-4, znalazł się też „latający dysk” rozbity podobno w Roswell.

I znów sceptycy dostrzegali problem braku jakichkolwiek twardych dowodów. Przede wszystkim – nie było żadnych danych, że Robert Lazar kiedykolwiek studiował fizykę na MIT. Kiedy postawiono mu ten zarzut, niespeszony powiedział, że w ramach spisku mającego na celu ukrycie przed opinią publiczną dowodów kontaktów z obcymi rząd amerykański zadbał o „wymazanie” jego nazwiska z dokumentacji Instytutu. Inny problem stwarzała jednak data urodzenia Lazara – rok 1959 – wobec czego jego twierdzenie, że pracował w Strefie 51 „we wczesnych latach jej istnienia”, stawało się wątpliwe.

Niezależnie od prawdziwości różnych tych twierdzeń i kontrargumentów nic z nich nie wyrządziło najmniejszej szkody wciąż rosnącemu światowemu zainteresowaniu UFO, Strefą 51, Roswell i możliwościami biznesowymi stwarzanymi przez te barwne historie. Aby utrzymać napływ turystów ciekawych UFO, władze stanu Nevada przemianowały nawet autostradę stanową nr 375, która okrąża Strefę 51, na „Autostradę Pozaziemską”.

Czy pojawił się kiedykolwiek jakiś jasny i bezdyskusyjny dowód, że w pobliżu Roswell rozbił się pozaziemski statek kosmiczny z załogą obcych i że w Strefie 51 prowadzono nad nimi badania? To zależy od punktu widzenia. W 1995 roku niejaki Ray Santill opublikował gruboziarnisty czarno-biały materiał filmowy mający przedstawiać

autopsję, jakiej poddawano ciało obcego wydobyte z miejsca katastrofy w Roswell. Film ten osiągnął światową sławę i wywołał niemałe kontrowersje, które nie ustały nawet wtedy, gdy w kwietniu 2006 roku w programie telewizji Sky zatytułowanym *Eamonn prowadzi śledztwo. Autopsja obcych* sam Santill wyznał reporterowi Eamonnowi Holmesowi, że jego film był „rekonstrukcją" obejmującą jedynie kilka klatek oryginalnego – i podobno prawdziwego – materiału.

Santill i jego współproducent Gary Shoefield opowiedzieli Holmesowi, że „odtworzyli" pierwotny materiał filmowy przy pomocy malarza i rzeźbiarza Johna Humphreysa w jakimś mieszkaniu w Camden Town w Londynie. Powiedzieli, że Humphreys zbudował scenografię i stworzył dwa „ciała obcych", posługując się odlewami gipsowymi, wnętrznościami kurczaka i owczym móżdżkiem, które artystycznie porozkładał w dżemie malinowym, a także kawałkami mięsa z kością kupionymi na słynnym targu w Smithfield. Podczas całego programu Holmes nazywa film Santilla „fałszywką". Santill wyjaśnił Holmesowi, że jeśli chodzi o symbole i artefakty obcych takie jak na przykład panele sterowania przeznaczone dla sześciu palców, które pojawiają się w „zrekonstruowanym" filmie, to zrobił użytek ze swobody twórczej.

We wrześniu 1994 roku po latach niesłabnącej presji opinii publicznej i mediów Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych wydały oficjalny raport w sprawie incydentu w Roswell. Przyznano w nim, że historia „balonu meteorologicznego" przedstawiona pierwotnie w celu wyjaśnienia wraku znalezionego w 1947 roku na ranczu Fostera miała na celu zatuszowanie faktów, które jednak nie miały nic wspólnego z działalnością obcych. Szczątki pochodziły bowiem ze stratosferycznego balonu wypuszczonego w ramach ściśle tajnego programu pod kryptonimem Projekt Mogul. Mistyfikacją posłużono się wyłącznie w celu jego ukrycia.

To nowe twierdzenie również zasługuje na przebadanie. Ściśle tajny program pod taką nazwą niewątpliwie istniał. W ramach realizowanego w latach 1947–1949 Projektu Mogul naukowcy i inżynierowie przytwierdzali superczułe mikrofony do balonów stratosferycznych, nieraz połączonych ze sobą na kształt unoszącego się w powietrzu wianuszka, aby przekonać się, czy można za ich pomocą wykryć sowieckie podziemne próby broni jądrowej oraz ocenić wielkość eksplozji. Całkiem zrozumiałe, że ta druga wersja wydarzeń w Roswell – oraz przyznanie, że historia balonów meteorologicznych została urzędowo sfabrykowana – tylko dolały oliwy do ognia teorii spiskowych.

Debata ta mogłaby jeszcze raz umilknąć, gdyby nie kolejna nieoczekiwana informacja oficjalna. W grudniu 2017 roku „New York Times” doniósł, że w latach 2007–2012 Departament Obrony wydał 22 miliony dolarów na coś, co nazwał „programem identyfikacji zagrożeń ze strony zaawansowanej technologii lotniczej i kosmicznej”.

Pod dalszą presją Pentagon potwierdził w końcu, że rzeczywiście prowadził rządowy program gromadzenia i analizy czegoś, co nazwano „nietypowymi zagrożeniami lotniczymi i kosmicznymi” – czyli UFO pilotowanych przez obcych mających wrogie zamiary wobec nas wszystkich. Program ten, prowadzony przez urzędnika wywiadu wojskowego Luisa Elizonda z biura na czwartym piętrze pierścienia C Pentagonu, badał, mówiąc po prostu, informacje o ukazywaniu się UFO. I tu prawdziwa frajda: większość doniesień o tych tajemniczych obserwacjach pochodziła od amerykańskich pilotów wojskowych. To była gruba sprawa. Armia nie wybiera na pilotów ludzi o nadmiernie pobudliwej wyobraźni lub wykazujących skłonność do histerii. Co się więc działo?

W ramach nowo odkrytej przez rząd Stanów Zjednoczonych jawności Departament Obrony ujawnił kilka dziwnych i, trzeba to powiedzieć,

mrożących krew w żyłach materiałów wideo. Najniezwyklejszy z nich jest filmik przedstawiający UFO tropione przez pilotów Sił Powietrznych Marynarki Wojennej u wybrzeży San Diego w 2004 roku*. Materiały Departamentu Obrony, choć niepokojące dla niewyszkolonego – a być może nawet wyszkolonego – oka, są bardzo nieczytelne. Same w sobie nie składają się na niepodważalny dowód odwiedzin obcych, lecz w połączeniu z przyznaniem przez rząd, że rzeczywiście prowadził uzgodniony program identyfikacji zagrożeń ze strony obcych, a w razie potrzeby przeciwdziałania im, każą się nam zastanawiać: czy za tym, co wielu ludzi lekceważyło jako zwykłe teorie spiskowe UFO, coś się rzeczywiście kryje?

Mówi się, że w ciągu minionych sześćdziesięciu lat w nieprzyjaznej krainie otaczającej Strefę 51 uległo katastrofie lub znikło ponad dwa tysiące samolotów wojskowych i cywilnych. Spekulacje, że również i te straty były związane z podejmowanymi w bazie ściśle tajnymi pracami dotyczącymi obcych, doznały pewnego uszczerbku, gdy wykazano, że w wielu wypadkach samoloty padały ofiarą nagłych, szybkich i często śmiertelnych gwałtownych anomalii wywoływanych kombinacją pogody i szczególnej topografii gór Sierra Nevada. Pomimo to ponad trzydzieści rozbitych i zaginionych samolotów rocznie to diabelnie dużo.

Młyny rządu mielą powoli, lecz internet nie liczy się z ograniczeniami. W 2003 roku opublikowane w internecie zdjęcia satelitarne Strefy 51 zmusiły ostatecznie rząd amerykański do potwierdzenia istnienia tego obiektu. Zastępca sekretarza obrony Kenneth H. Baconfelt zapytany, co dzieje się w tej bazie, odpowiedział lakonicznie: „Bardzo niewiele […] jako suwerenny naród mamy prawo – wręcz mamy obowiązek wobec obywateli Stanów Zjednoczonych – opracowywać od czasu do czasu różne rodzaje broni. Niekiedy pracuje się nad nimi w utajnionych miejscach […]. Wydaje mi się, że mogę powiedzieć bez cienia wątpliwości, iż nie prowadzimy

żadnego tajnego programu zakładającego istnienie obcych z przestrzeni kosmicznej”.

Dlaczego jednak trudno uwierzyć, że jest to ostatnie słowo, jakie przyszło nam usłyszeć o tajemnicy Strefy 51?

---

* Zob. www.nytimes.com/2017/12/16/us/politics/pentagon-program-ufo-harry-reid.html.

ZABÓJCA ZODIAK

„Tu mówi Zodiak”.

Te mrożące krew w żyłach słowa wypowiedział maniakalny zabójca. Począwszy od końca lat 60. ubiegłego wieku Zodiak, jak sam siebie nazwał, brutalnymi zabójstwami terroryzował mieszkańców centralnej części północno-zachodniej Kalifornii.

Chociaż Zodiak dwóch spośród swoich potwierdzonych ataków dokonał w biały dzień, nigdy nie został ujęty i być może wciąż pozostaje na wolności. Od ostatniego znanego morderstwa, którego dopuścił się w październiku 1969 roku na taksówkarzu w San Francisco, minęło niemal pięć dekad, a w jego sprawie wciąż zarówno przedstawiciele organów ścigania, jak i zawodowi oraz amatorscy specjaliści od łamania kodów i kryminolodzy pozostają bezradni. FBI, kalifornijski Departament Sprawiedliwości, komenda policji w San Francisco i kilka lokalnych komisariatów w Kalifornii wciąż prowadzą śledztwa, lecz na próżno. W jaki sposób zabójcy udało się przez tak długi czas wymykać się tylu organom ścigania?

Okrutne morderstwa Zodiaka i jego szydercze zagadki stały się inspiracją do nakręcenia co najmniej dwunastu filmów fabularnych i dokumentalnych, a wirtualna postać Zodiaka pojawia się w co najmniej siedmiu popularnych grach wideo. Próbom rozszyfrowania wskazówek dotyczących jego tożsamości, które podał w swoich kryptogramach, poświęcono setki książek, blogów i wszelkiego rodzaju stron internetowych.

Śledczy potwierdzają oficjalnie, że Zodiak zaatakował siedem ofiar, z których dwie przeżyły. W listach do mediów Zodiak twierdził jednak, że zamordował 37 osób. Jeśli to prawda, znalazłby się w czołówce seryjnych zabójców w całej historii.

W 1969 roku Vallejo było sennym, zamieszkanym przez klasę średnią nadmorskim miasteczkiem w rejonie zatoki San Pablo na północ od San Francisco. Za poważne uchodziły tam wówczas takie przestępstwa jak włamanie lub kradzież samochodu. Ale to tam właśnie wieczorem 20 grudnia 1968 roku Zodiak zaatakował swoje dwie pierwsze znane ofiary: siedemnastoletniego Davida Faradaya i szesnastoletnią Betty Lou Jensen.

Oboje zamierzali początkowo pójść na szkolny koncert świąteczny w pobliżu domu Betty Lou na Ridgewood Court. Zamiast tego, jak to często nastolatki, w ostatniej chwili zmienili plany, kupili coś do jedzenia w lokalnej restauracji i pojechali samochodem w odległe miejsce w wiejskiej okolicy na wschód od Vallejo. Choć był chłodny grudniowy wieczór, Betty Lou – rudowłosa, z zadartym nosem – miała na sobie swoją najlepszą sukienkę: liliową, z białym koronkowym kołnierzem. Po raz pierwszy w życiu pozwolono jej wyjść na randkę.

Około 22.15 Faraday zjechał z Lake Herman Road i zaparkował dumę matki, dwutonową limuzynę marki Rambler, na ustronnym, nieoświetlonym szutrowym zjeździe prowadzącym do przepompowni Benicia Water tuż poza granicą miasta. Betty Lou zdjęła płaszcz z białego sztucznego futra i położyła go na tylnym siedzeniu.

Tuż przed jedenastą z ciemności wyłoniły się światła reflektorów samochodowych. Parę sekund później jakiś samochód zatrzymał się pod jaskrawożółtym znakiem drogowym na skraju drogi. Kierowca podszedł do ramblera i kazał nastolatkom wysiąść. Kiedy zdumiony Faraday zaczął otwierać drzwi, nieznany zabójca strzelił do niego z bliska wprost przez

szybę. Kula przeszła przez lewe ucho młodzieńca i utkwiła w mózgu. Betty Lou wyskoczyła z samochodu i zaczęła uciekać. Zrobiła nie więcej niż cztery kroki. Zabójca strzelił jej pięć razy w plecy, a potem odjechał.

Kilka minut później mieszkająca w pobliżu kobieta o nazwisku Stella Borges znalazła parę ofiar i wezwała pogotowie. Przybyli na miejsce policjanci znaleźli martwą Betty Lou kilka metrów od ramblera. David Faraday jeszcze żył. Kciukiem i palcem wskazującym kurczowo ściskał swój złoty pierścień szkolny, jakby próbował przeszkodzić komuś, kto chciałby go wyszarpnąć. Nie był w stanie opisać napastnika i zmarł w drodze do szpitala.

Na miejscu zbrodni nad jeziorem Herman odnaleziono dziesięć łusek nabojów, lecz tylko dziewięć poddano analizie. Ustalono, że napastnik użył pokrytych miedzią pocisków 0,22 Winchester Western Super X i przypuszczalnie wystrzelił je z półautomatycznego pistoletu J.C. Higgins Model 80. Biuro szeryfa hrabstwa Solano prowadziło śledztwo w sprawie tego podwójnego morderstwa, uznano jednak ostatecznie, że ofiary były przypadkowe. Pomimo dowodów w postaci śladów opon i butów oraz łusek nabojów, śledczy nie zdołali znaleźć żadnych powiązań z zabójcą ani prowadzących do niego tropów. Nigdy nikogo nie aresztowano w związku z tą zbrodnią.

Nieco ponad sześć miesięcy później Zodiak uderzył ponownie. Znów wziął na cel młodą parę zakochanych, a podobieństwa między obu zbrodniami były uderzające.

Darlene Ferrin, mężatka z małym dzieckiem, mieszkała w Vallejo przy Virginia Street 1300 i pracowała jako kelnerka w Terry’s Waffle Shop przy Magazine Street. Wieczorem 4 lipca 1969 roku Darlene wraz z siostrą Christiną Suennan odwiedziła swojego męża Deana w jego miejscu pracy

przy Tennessee Street. Około godziny 22.30 Darlene powiedziała, że odwiezie Christinę, a potem sama pojedzie do domu. Kiedy rzeczywiście zjawiła się tam około 23.30, powiedziała dwóm uczennicom, które opiekowały się jej dzieckiem, że Bill Lee, szef męża, poprosił ją, by kupiła sztuczne ognie na zaimprowizowane przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości. Jakieś dziesięć minut później opuściła dom, mając na sobie czarną sukienkę z głęboko wyciętym dekoltem i niebieskie pantofle.

Zamiast pojechać po sztuczne ognie, Darlene Ferrin skierowała się prosto na Beechwood Avenue 864, gdzie mieszkał dziewiętnastoletni Michael Renault Mageau. Przybyła tam około 23.45. Co dość dziwne w tej drugiej sprawie, Dean Ferrin wyraźnie przymykał oko na to, że żona romansowała z innymi mężczyznami.

Ciemnowłosy, z zadartym nosem, przystojny Mageau, bardzo szczupły i żwawy, wsiadł do samochodu Darlene, jasnobrązowego chevroleta Corvair z 1963 roku. Para pojechała w stronę restauracji M. Ed’s Diner przy Springs Road. Potem, zmieniając nagle plany i jakby powtarzając okoliczności poprzedniej zbrodni, zawróciła i skierowała się w stronę lokalnego malowniczego zakątka Blue Rock Springs Park – wówczas obszaru jeszcze mało zagospodarowanego. Park był spokojny, w nocy bardzo słabo oświetlony, a więc idealny dla potajemnych kochanków. Mniej więcej pięć minut przed północą samochód pary wjechał do „alejki zakochanych” i zatrzymał się. Mimo późnej pory noc wciąż była parna. Ferrin i Mageau mogli tego nie wiedzieć, ale znajdowali się zaledwie nieco ponad sześć kilometrów od miejsca, gdzie w ubiegłym roku tuż przed świętami Bożego Narodzenia zginęli Betty Lou i David. Darlene puściła muzykę z samochodowego radia i wyłączyła reflektory. Dokładna chronologia zdarzeń od tamtej chwili nie jest dokładnie znana, lecz potoczyły się one bardzo szybko.

Krótko potem na tym samym parkingu zatrzymały się samochody z „dzieciakami”, jak to określił Mageau. Nastolatki dokazywały przez minutę lub dwie, odpaliły kilka sztucznych ogni, potem wskoczyły do samochodów i szybko odjechały. Była niemal równo północ.

Na parking wjechał nowy samochód i zatrzymał się blisko lewego boku auta Darlene. Kierowca wyłączył światła i przez jakąś minutę pozostawał w samochodzie. Mageau twierdził później, że zapytał Darlene, czy wie, kim jest obcy siedzący bez ruchu za kierownicą drugiego pojazdu, ona zaś odpowiedziała: „On jest po prostu zazdrosny”, sugerując tym samym, że dobrze zna śledzącego ich kierowcę. Ten jednak uruchomił samochód i odjechał.

Trzy lub cztery minuty później na parking znów zajechał samochód, przypuszczalnie ten sam. Tym razem kierowca zatrzymał go jakieś trzy metry za chevroletem Darlene, trochę z prawej strony. Pozostawiając włączone długie światła, wysiadł z samochodu i zaczął iść w stronę pary. Jego ostro zaznaczająca się na tle oślepiającego światła sylwetka nadawała mu groźny wygląd.

Coraz bardziej zdenerwowany Mageau zauważył, że nieznajomy ma „mocną latarkę, taką, jaką trzyma się za uchwyt”. Szedł jednak ku nim krokiem swobodnym i pewnym, jakby miał wszelkie prawo, by się tam znaleźć. Mageau, wnioskując z jego zachowania i latarki, że ma do czynienia z policjantem, opuścił szybę okna po swojej stronie i sięgnął po dokument tożsamości. Obcy bez słowa wyciągnął pistolet Luger 9 mm, wymierzył w twarz Mageau i otworzył ogień.

Pierwsza kula trafiła dziewiętnastolatka tuż poniżej i nieco z przodu prawego ucha, przebiła język, wyszła lewym policzkiem i trafiła Darlene w lewy bok. Kolejne trafiły Mageau w lewe ramię, łokieć i żebra, a piąta w kolano. Siła ich uderzeń w połączeniu z instynktem samozachowawczym

pchnęły go do tyłu na tylne siedzenie. Policja uważa, że Mageau podkurczył nogi i zwinął się w kłębek, miotał się przez chwilę i przetoczył w tył. Darlene cała we krwi opadła bez ruchu za kierownicą. Upadając, potrąciła przełącznik na desce rozdzielczej, toteż lewy kierunkowskaz chevroleta zaczął mrugać.

Napastnik, zakładając, że ofiary są martwe, odwrócił się i odszedł w stronę swojego pojazdu. Wtem Mageau wydał z siebie krzyk. Zabójca zatrzymał się, zawrócił i dwukrotnie strzelił do każdej z ofiar. Najprawdopodobniej to wtedy Darlene została trafiona po raz drugi, tym razem w żebra po lewej stronie ciała. Potem zabójca wciąż bez słowa poszedł do swojego samochodu i odjechał w kierunku Spring Road.

Młody George Bryant, syn dozorcy parku, leżąc w swoim łóżku w odległości stu metrów, usłyszał coś, co brzmiało jak strzały, ale mogło też być odgłosem sztucznych ogni. Był 4 lipca i objawy entuzjastycznego zachowania wydawały się czymś normalnym, toteż początkowo nie doniósł policji o tym, co słyszał. Przesłuchiwany później powiedział, że słyszał samochód, który odjechał pędem, „przypalając gumy”.

Mageau wciąż żył – ale tylko ledwo żył. Mocował się z drzwiczkami samochodu, potem wypadł na ziemię. Na parking zajechało akurat trzech kolejnych nastoletnich świątecznych rozrabiaków. Od razu zauważyli Mageau. Przerażeni widokiem krwi cieknącej z jego licznych ran, gapili się na niego. Spojrzał im w twarze i wychrypiał: „Pomocy! Pomocy!”. Wskoczyli całą trójką do swojego pojazdu i popędzili do domu Jerry’ego, jednego z nich, na Castlewood Drive, skąd zadzwonili na policję.

Sierżanci John Lanch i Ed Rust z wydziału dochodzeniowego komendy policji w Vallejo, ubrani po cywilnemu, patrolowali akurat starą część miasta, kończąc rozpoczętą o trzeciej po południu zmianę. Krótko po północy odezwało się radio: było doniesienie o strzałach w Blue Rock

Spring Park. Lanch, zakładając, że były to zapewne po prostu sztuczne ognie z okazji Dnia Niepodległości, nie miał ochoty udawać się tam pod sam koniec zmiany. Siedzący za kierownicą Rust uznał, że warto to zbadać, ale jako młodszy partner mógł jedynie skierować wolno jadący samochód gdzieś w stronę parku. Wtedy z policyjnej dyspozytorni nadszedł następny, znacznie bardziej naglący komunikat: „Strzały w Blue Rock Spring!”. Rust przycisnął gaz do dechy i w parę minut dotarli na parking.

Na miejscu zbrodni był już trzeci policjant – Richard Hoffman. Nie tylko ich uprzedził, ale jakieś pół godziny wcześniej przejeżdżał obok tego samego parkingu. Mówił później, że chciał „uspokoić nastolatków”. Podawany przez niego czas sugeruje mocno, że Hoffman był na miejscu zbrodni tuż przed jej popełnieniem i powinien był zauważyć chevroleta Darlene Ferrin. Powiedział jednak, że nic nie widział ani nie słyszał i że gdy spoglądał na parking, nie było tam żadnych samochodów. Mówiąc jego słowami: kiedy przyszły pierwsze informacje o strzelaninie, „byłem niedaleko, więc zawróciłem […] i powiedziałem dyspozytorni, że jadę sprawdzić to doniesienie”.

Hoffman znalazł Michaela Mageau leżącego na plecach na ziemi obok chevroleta i schylił się, by mu pomóc. Mageau próbował sięgnąć ręką do Hoffmana i być może coś powiedzieć, ale gardło miał zalane krwią, toteż wydał z siebie tylko jakiś bulgoczący dźwięk. Drzwi od strony pasażera były otwarte. Hoffman zajrzał przez nie i zobaczył, że siedząca za kierownicą kobieta, zidentyfikowana później jako Darlene Ferrin, również została postrzelona. Prawie całe wnętrze samochodu połyskiwało od świeżej krwi. Światła chevroleta były teraz włączone, nigdy jednak nie ustalono, czy to Darlene, nim straciła przytomność, chciała za ich pomocą zwrócić uwagę innych. Hoffman obrysował kredą ciało Mageau; zebrał również kilka rzeczy należących do ofiary, w tym portfel.

Kiedy na miejscu zbrodni pojawili się Rust i Lanch, ten pierwszy spytał Hoffmana:

– Co my tu mamy?

– Mam kierowcę i tego tu faceta […] oboje zostali postrzeleni – odpowiedział Hoffman.

Rust przeszedł wokół samochód na stronę kierowcy. Zobaczył za kierownicą młodą kobietę całą we krwi, wciąż oddychającą i z ledwo rozchylonymi powiekami. Nachyliwszy się jak najbliżej niej, zapytał:

– Co się stało?

Darlene wymamrotała coś, lecz Rust nie zdołał zrozumieć ani słowa.

Przyjechała karetka. Hoffman wsiadł do niej i zajął miejsce blisko Darlene na wypadek, gdyby coś mówiła, ale „z tą dziewczyną nie dało się rozmawiać”. Kiedy ratownik medyczny próbował reanimować Darlene, z ran na jej piersi ze świstem wydobyło się powietrze.

Tymczasem na miejscu zbrodni Rust dostrzegł na ziemi, gdzie leżał Mageau, łuskę. Pochodziła od naboju do pistoletu Parabellum 9 mm. Technicy dochodzeniowi znaleźli jeszcze sześć łusek po prawej stronie chevroleta i dalsze na miejscu na nogi przy tylnym siedzeniu po prawej stronie. Zabójca oddał łącznie dziewięć strzałów.

„Stracone” czterdzieści minut

5 lipca o godzinie 0.40, jakieś 40 minut od popełnienia zbrodni, dwudziestosześcioletnia Nancy Slover z dyspozytorni policji w Vallejo odebrała telefon. Głęboki męski głos w słuchawce powiedział bardzo powoli i monotonnie: „Chcę zgłosić podwójne morderstwo”. Rozmówca dzwonił, jak później ustalono, z budki telefonicznej przy stacji benzynowej

Union 76 przy Springs Road i Tuolumne, odległej o zaledwie kilkaset metrów od domu Darlene Ferrin. Slover mówiła, że słysząc ten głos, miała „niesamowite uczucie”. Poprosiła rozmówcę o podanie nazwiska i miejsca, z którego dzwoni, ale ją zignorował.

Powiedział za to: „Jeśli pojedziecie Columbus Parkway jedną milę na wschód do parku publicznego, znajdziecie dzieciaki w brązowym samochodzie. Zostały zastrzelone z lugera kaliber 9 mm. Zabiłem też tamte dzieciaki w ubiegłym roku…”. Potem, po końcowym „do widzenia”, odwiesił słuchawkę. Slover, jedna z zaledwie trzech osób, które bezpośrednio rozmawiały z Zodiakiem, mówiła, że to „do widzenia” powiedział powoli i drwiącym tonem, przeciągając słowa, jakby z niej szydził. Było to zarazem przyznanie się do winy i ostrzeżenie. Ponieważ w tamtych czasach policyjny sprzęt do rejestrowania rozmów przychodzących nie był jeszcze w powszechnym użyciu, nie istnieje nagranie tej rozmowy.

Policja uznała, że mówiąc o „ubiegłym roku”, rozmówca musiał mieć na myśli podwójne zabójstwo Davida Faradaya i Betty Lou Jensen nad jeziorem Herman – brała przy tym pod uwagę nie tylko samą rozmowę, lecz również wielkie podobieństwo obu zbrodni pod względem sposobu działania sprawcy.

W napaści na Ferrin i Mageau mnóstwo elementów nie całkiem do siebie pasuje; chodzi przede wszystkim o relację George’a Bryanta. Kiedy mówił on, że usłyszał „śmiech i kilka odpalonych sztucznych ogni, a potem coś, co brzmiało jak seria strzałów”, zgadza się to z relacją Mageau. Natomiast samochód „startujący bardzo szybko i przypalający gumy” nie odpowiada temu, co powiedzieli policji Mageau i w końcu sam Zodiak. W relacji Mageau napastnik, dobrze zbudowany biały mężczyzna w wieku trzydziestu–czterdziestu lat, o „mocnych” rysach twarzy i brązowych,

pofalowanych włosach, odszedł spokojnie do swojego samochodu i powoli odjechał, jakby nic się nie stało.

Czy w morderstwie Darlene Ferrin odegrał jakąś rolę motyw osobisty? Jej siostra Pamela Huckaby zawsze twierdziła, że człowiek przypominający postać z portretów pamięciowych zabójcy prześladował „Dee” przez całe miesiące przed jej śmiercią. Huckaby mówiła również, że Darlene znała Betty Lou Jensen – choć powiązanie to nie znalazło solidnego potwierdzenia. Co ciekawe jednak, wstępny raport policyjny jako motyw strzelaniny wskazuje: „zazdrość/zemsta”.

Jak gdyby na potwierdzenie tej wersji zdarzeń Michael Mageau, który przeżył napaść, twierdził później w programie telewizyjnym, że tuż przed śmiercią Darlene mówiła mu, iż sądzi, że za kierownicą pojazdu, który zatrzymał się przy nich tamtej nocy przy Blue Rock Springs, siedzi jej dawny chłopak, którego nazywała Richardem. Powiedziała też, że Richard zabiłby ją, gdyby znalazł ich razem. Mageau, który doznał podczas napaści poważnego uszkodzenia mózgu i nieodwracalnych obrażeń, przyznaje, że pierwotnie nie poinformował policji o tej rozmowie. Wszystko to każe się nam zastanawiać: jeśli to prawda, to kim był Richard – i czy to on jest Zodiakiem?

Te brutalne morderstwa wywołały natychmiastowy wstrząs w całym regionie Vallejo-Benicia i poza jego granicami. Geograficzna bliskość obu zbrodni, świadcząca o znajomości lokalnych realiów wiedza o miejscach, w których najłatwiej zapolować na zakochane pary, oraz opanowanie i zuchwałość, z jakimi popełniono morderstwa, sugerowały wyraźnie, że zabójcą jest ktoś miejscowy, kto czuje się bezpiecznie na swoim terenie.

Zabójca zabiera głos

W następstwie drugiej zbrodni Zodiak wysłał do trzech kalifornijskich gazet trzy niemal identyczne listy, wszystkie nadane 31 lipca 1969 roku. Brał w nich odpowiedzialność za obie napaści: na jeziorem Herman i w Vallejo. Podał również szczegółowe informacje o ofiarach, broni, liczbie oddanych strzałów oraz użytej amunicji Winchester Super X. W prawdziwie psychopatycznym stylu drwił: „Policja nigdy mnie nie złapie, ponieważ jestem dla niej za mądry”.

Wersja listu opublikowana w „Vallejo-Times Herald” wyglądała następująco:

Szanowna Redakcjo

Jestem zabójcą dwojga nastolatków w czasie ostatnich Świont nad jeziorem Herman oraz Dziewczyny ostatniego 4 lipca. Aby to Udowodnić podam parę faktów, które znam tylko ja + policja.

Świenta

1 Marka amunicji Super X

2 10 oddanych Strzałów

3 Chłopak był na plecach stopy do samochodu

4 Dziewczyna lerzała na prawym boku

stopy na zachód

4 lipca

1 Dziewczyna miała wzorzyste Majtki

2 Chłopak był też postrzelony w kolano

3 Marka amunicji była Western

To jest szywr czyli jego cześć. pozostałe 2 części zostały wysłane do S. F. Examiner + S. F. Chronicle Macie wydrukować ten szyfr na pierfszej stronie do Popołudnia piont 1 sie 69, Jeśli tego nie zrobicie w piont wieczór pójdę zabijać przez cały week end.

> Będę kronżył i wybierał wszystkich samotnych ludzi albo pary które są same a potem będę zabijał następnych aż zabiję ponad tuzin ludzi.

List do „San Francisco Chronicle” był sformułowany nieco inaczej; zaczynał się od słów: „Tutaj zabójca”, oraz wspominał o polu golfowym.

We wszystkich trzech listach autor groził, że jeśli razem z szyfrogramami nie zostaną one opublikowane do piątku 1 sierpnia, tego samego wieczoru przystąpi do masowego zabijania. Materiały posłusznie opublikowano.

Każdy z tych trzech pierwszych listów zawierał jedną trzecią zaszyfrowanej wiadomości. Kryptogramy te, nazywane „szyframi Z” i opatrywane numerem odpowiadającym liczbie znaków zawartych w każdym z nich, stały się przedmiotem zabiegów zawodowych i amatorskich specjalistów od łamania szyfrów, którzy do dziś starają się je odczytać.

Najdłuższy z nich jest pierwszy, trzyczęściowy kryptogram, tak zwany Z 408. Każda z trzech zakodowanych wiadomości składała się z 8 wierszy po 17 znaków, co dawało łącznie 408 znaków. Ludzie na całym świecie przystąpili do ich rozszyfrowywania.

Ze stylem tych listów i sposobem, w jaki je napisano, wiąże się kilka dziwnych spraw. Zawierają one rażące błędy ortograficzne – w pierwszym: „szywr”, „Świenta”, „pierfsza” itd. Jeśli nie popełniono ich rozmyślnie, sugerują niski poziom edukacji, zwłaszcza w zakresie języka angielskiego. Jednocześnie zaś trzyczęściowy kryptogram opiera się na dość złożonym szyfrze, co sugeruje wysoki poziom inteligencji i być może jakąś wiedzę o kryptografii lub przeszkolenie w tej dziedzinie. Wydaje się również, że zabójca był ogólnie dobrze obeznany z kierunkami geograficznymi, o czym

świadczy na przykład zdanie: „Dziewczyna lerzała na prawym boku stopy na zachód”. Fakt posiadania takiej wiedzy w połączeniu z oczywistym wysiłkiem planistycznym, jaki zabójca włożył w zbrodnie, skłania do domysłu, że odbył jakieś szkolenie wojskowe. Inną osobliwością jest użyty w charakterze podpisu znak przypominający siatkę celowniczą, który znów mocno kojarzy się z wojskiem. Zdradza ponadto, co ważniejsze, pragnienie wyróżnienia się, arogancję i złudzenie wielkości.

Ortografia i gramatyka Zodiaka mogły być niedbałe, lecz jego dopracowany sposób działania sugeruje dobrze zorganizowaną osobowość. Fakt, że ustalał z góry, co i jak zrobi swoim ofiarom oraz gdzie je znajdzie, a jednocześnie wybierał je w sposób przypadkowy, wskazuje na wysoki poziom przebiegłości i premedytacji. Szyderstwa z organów ścigania oraz opinii publicznej świadczą, że mamy do czynienia z pewnym siebie, mściwym i zarozumiałym psychopatą.

Nawet jeśli zabójca miał jakieś przeszkolenie w dziedzinie kryptologii, nie przeszkodziło to Bettye June i Donaldowi Hardenom, małżeństwu nauczycieli z Salinas, w ciągu kilku dni złamać szyfr 408 i przysłać rozwiązanie do „San Francisco Chronicle”. Bettye, która wykonała główną część zadania, za pomocą klasycznej analizy częstości znaków w liście-kryptogramie ustaliła dwie „podpowiedzi” – słowa lub zwroty, co do których zakładała, że z dużym prawdopodobieństwem pojawią się w wiadomości seryjnego zabójcy, a tym samym posłużą do ujawnienia reszty. Przyjąwszy, że zabójca jest egotystą i chce zwrócić uwagę na swoje zbrodnie, Bettye odgadła, że wiadomość zaczyna się od zaimka „ja”. Tak było. Założyła ponadto, że może się w niej pojawić słowo „zabijać”, a nawet zwrot „ja lubię zabijać”. W każdym przypadku miała rację, a dysponując tymi podpowiedziami, oboje z mężem rozszyfrowali niemal całą wiadomość. Mówiła ona, co następuje:

> Ja lubię zabijać ludzi ponieważ to jest świetna zabawa lepsza zabawa niż zabijanie dzikiej zwierzyny w lesie ponieważ człowiek jest najniebezpieczniejszym zwierzęciem ze wszystkich zabicie kogoś daje mi najbardziej emocjonujące doświadczenie to jest nawet lepsze niż ulżyć sobie z dziewczyną najlepsze w tym jest to że kiedy umrę odrodzę się w raju a wszyscy [ludzie] których zabiłem zostaną moimi niewolnikami nie podaję swojego nazwiska bo próbowalibyście spowolnić lub zatrzymać moje gromadzenie niewolników dla życia pozagrobowego.

Wiadomość kończyła się 18 symbolami, których do dziś nie odszyfrowano. Niektórzy uważają, że stanowią one alternatywny kod, który w razie złamania może ujawnić nazwisko Zodiaka. Inni sądzą, że są to jedynie przypadkowe symbole dodane po to, by kod był trudniejszy – czy wręcz niemożliwy – do złamania. W wyrażeniu „najniebezpieczniejsze zwierzę” widziano odniesienie do opowiadania Richarda Connella *Najniebezpieczniejsza zwierzyna*. Przedstawia ono szalonego generała Zaroffa (zwróćmy uwagę na inicjał nazwiska), który ujął żeglarzy dryfujących na wraku, dał im trzy godziny na ucieczkę, a następnie polował na nich, zabijając ich aż do chwili, gdy pozostałym przy życiu udało się go przechytrzyć.

4 sierpnia 1969 roku w odpowiedzi na żądanie policji, by autor listów Zodiaka udowodnił, że rzeczywiście popełnił dwa morderstwa, Zodiak przysłał do „San Francisco Examiner” czwarty list. Nazwano go debiutem Zodiaka, ponieważ autor po raz pierwszy sam się tak nazwał, a jego treść była następująca:

> Tu mówi Zodiak. W odpowiedzi na waszą prośbę, żebym ujawnił szczegóły dobrej zabawy, jaką miałem w Vallejo, będzie mi bardzo

przyjemnie przedstawić dodatkowy materiał. Przy okazji, czy policja dobrze się bawiła z kodem? Jeśli nie, powiedzcie im, żeby się rozchmurzyli; jeśli go złamią, będą mnie mieli. 4 lipca nie otwarłem drzwi samochodu. Okno było jóż otwarte. Chłopak [Michael Mageau] najpier siedział na przednim siedzeniu kiedy zacząłem szczelać. Kiedy oddałem pierwszy strzał w głowę, w tej samej chwili odskoczył w tył i tak spudłowałem. Wylądował potem na tylnym siedzeniu na podłodze na plecach wierzgając bardzo gwałtownie nogami; dlatego postrzeliłem go w kolano. Nie opuściłem mniejsca zabójstwa z piszczącymi oponami + pendzącym silnikiem jak było napisane w gazecie w Vallejo. Odjechałem całkiem powoli żeby nie zwracać uwagi na mój samochód. Człowiek który powiedział policji że mój samochód był brązowy to był murzyn około 40–45 dość nędznie ubrany. Byłem w budce telefonicznej mając trochę zabawy z policjantem z Vallejo kiedy przechodził obok. Gdy odłożyłem słuchawkę to cholerstwo zaczęło dzwonić & to zwróciło uwagę na mnie + mój samochód.

Ostatnie Świenta W tym epyzodzie policja zastanawiała się jak mogłem strzelić + trafić moje ofiary w ciemności. Nie powiedzieli tego wprost, ale dawali do zrozumienia mówiąc że była jasna noc + mogłem widzieć sylfetki na horyzoncie. Guzik prawda to miejsce jest ototrzone wysokimi wzgórzami + drzewami. To co zrobiłem to przykleiłem taśmą małą ołuwkową latarkę do lufy pistoletu. Jeśli zauważycie, to w środku słupa światła jeśli wycelujecie w ścianę albo sufit zobaczycie czarną lub ciemnom plamę w środku światła jakieś 3 do 6 cali średnicy. Jak przykleić taśmą do lufy pistoletu, to kula uderzy w środek tej czarnej plamy w świetle. Musiałem tylko pryskać na nich jak wodą z węża; nie było potrzeby używać

celownika. Nie byłem zadowolony jak zobaczyłem że nie dostałem artykułu na pierwszej stronie. (Pisownia oryginalna)

Zodiak zatroszczył się między innymi o odparcie twierdzenia George’a Bryanta, syna dozorcy Blue Rock Springs Park, że „wystartował bardzo szybko, przypalając gumy”. Rzucenie Zodiakowi tego wyzwania przez policję było posunięciem bardzo sprytnym od strony psychologicznej. Jego szybka odpowiedź potwierdziła, że jest to człowiek zabiegający o uwagę, skrajnie próżny i dość przeczulony na swoim punkcie.

Sposób postępowania Zodiaka był już właściwie ustalony. Ponieważ jednak swoje ofiary wybierał najwyraźniej przypadkowo, nie było można przewidzieć, gdzie uderzy ponownie.

Późnym popołudniem 27 września 1969 roku dwoje studentów college’u Cecelia Ann Shepard (22 lata) i Bryan Calvin Hartnell (20 lat) spędzało słoneczny dzień nad brzegiem jeziora Berryessa położonego na terenach rekreacyjnych odległych o jakieś 50 kilometrów na północ od Napy w Kalifornii. Woda była błękitna i gładka, cisza uspokajała. Leżeli na kocu, Cecelia z głową na kolanach Bryana czytała książkę. Uchwyciwszy kątem oka jakiś ruch, Cecelia zerknęła w tamtą stronę i zauważyła jakiegoś mężczyznę schodzącego ku nim po pochyłości. Wróciła do lektury, ale gdy znów spojrzała w górę, zobaczyła, że obcy w milczeniu ich obserwuje, stojąc w cieniu pobliskich drzew. Zaniepokojona chwyciła Hartnella za ramię i wskazała palcem na intruza. Ten natomiast zauważywszy, że go dostrzeżono, wycofał się za jakieś drzewo.

Parę sekund później pojawił się na nowo. „O Boże, on ma pistolet!”, szepnęła Cecelia. Nie tylko to było przerażające. Barczysta postać w biały dzień przystępująca do napaści miała na sobie ciemny, jakby katowski

kaptur całkowicie zakrywający twarz, z opadającym na pierś i sięgającym do pasa płatem materiału. W kapturze były wycięte szpary na oczy, a na piersi widniał okrągły biały symbol przypominający siatkę celowniczą broni palnej.

Stale mierząc do nich z pistoletu, napastnik podszedł zamaszystym krokiem i zatrzymał się w odległości jakichś trzech metrów. Przez wycięcia na oczy widać było, że ma brązową grzywkę. Dodatkowo maskowały go przeciwsłoneczne nakładki na okulary.

W dobrze skalkulowanej próbie przełamania jakiegokolwiek oporu mężczyzna powiedział, że zbiegł z więzienia (być może mówił o więzieniu Deer Lodge w Montanie, ale słowa były stłumione przez kaptur), zabijając strażnika i kradnąc jakiś pojazd. Celując w Hartnella, dodał:

– Dawajcie pieniądze i kluczyki. Mam skradziony samochód i nic do stracenia. Potem przedostanę się do Meksyku.

Hartnell spełnił jego żądanie. W nadziei rozładowania sytuacji spróbował następnie wciągnąć obcego w rozmowę.

Nie poskutkowało. Zakapturzony mężczyzna wyciągnął pocięte zawczasu kawałki sznurka do prania w plastykowej koszulce i kazał Shepard związać Hartnellowi ręce. Bryan wyszeptał do niej:

– Może sięgnę po jego broń?

– Nie – odpowiedziała. – To tylko pogorszy sprawę.

Nieznajomy obserwował ich uważnie przez szpary w kapturze. Cecelia związała Bryana, ale lekko. Obcy uznawszy, że Hartnell jest obezwładniony, cofnął się o krok. Sam związał ręce Cecelii, a potem mocniej zaciągnął sznurek na nadgarstkach Hartnella. Następnie kazał obojgu położyć się twarzą w dół na ziemi. Bryan zapytał:

– Czy ten pistolet jest naprawdę naładowany?

Napastnik wyciągnął magazynek, przekręcił go w dłoni, by mogli zobaczyć skrajny nabój, i powiedział:

– Naprawdę.

Ale nie strzelił.

Zamiast tego ze świadomym i rozmyślnym okrucieństwem wyciągnął nóż. Potem bez słowa zaczął zadawać im ciosy.

Hartnell został raniony sześć razy. W rozpaczliwej próbie przetrwania zamilkł, wstrzymując oddech i udając, że jest martwy. Shepard być może przetoczyła się, próbując uciec. Możliwe również, że napastnik rozmyślnie odwrócił ją na plecy. Dźgnął ją dziesięć razy, zadając jej pięć ran z przodu i pięć ran z tyłu ciała.

Kiedy uznał, że ofiary są martwe, spokojnym krokiem odszedł. Fortel Hartnella był udany – napastnikowi wydawało się, że chłopak nie żyje. Walcząc z bólem, Bryan uwolnił się z więzów, potem rozwiązał Cecelię i zaczął krzyczeć. W ciągu paru minut – choć jemu mogło się wydawać, że za godzinę – krzyki usłyszał przepływający niedaleko wędkarz Ronald Fong. Skierował łódź ku brzegowi i zapytał, czy potrzebują pomocy.

Zanim Zodiak opuścił miejsce zbrodni, na drzwiach samochodu Hartnella – był to volkswagen karmann ghia – narysował mazakiem symbol siatki celowniczej, który stał się jego makabryczną wizytówką. Wyliczył też swoje trzy wcześniejsze zbrodnie, umieszczając na końcu mrożącą krew w żyłach notatkę o ostatniej: „27 wrze 69 18.30 nożem”.

Około godziny 19.40 do biura szeryfa hrabstwa Napa zadzwonił jakiś mężczyzna.

– Chcę powiadomić o morderstwie, nie, o podwójnym morderstwie – powiedział. – Są dwie mile na północ od dyrekcji parku. Byli w białym volkswagenie karmann ghia.

Policjant David Slaight, który odebrał telefon, poprosił rozmówcę o podanie nazwiska i miejsca, z którego dzwoni. Ten odpowiedział:

– To ja to zrobiłem. – I się rozłączył. Ustalono, że dzwonił z budki telefonicznej przy myjni samochodów w Napie.

Cecelia Shepard zmarła od ran, zanim otrzymała pomoc.

Trudno wymazać z pamięci fakt, że morderca najwyraźniej upajał się zadawaniem ciosów dwojgu niewinnym i nieszkodliwym młodym ludziom.

Zdaniem dr. D.E. Petrisa, patologa, który przeprowadzał autopsję, użytą bronią był nóż „długości od 9 do 11 cali i szerokości cala, być może z ostrzami po obu stronach […] podobny do bagnetu. Rany wskazywały na dodatek, że ostrze mogło być ciężkie lub grube". Śledczy znaleźli ślady prowadzące do miejsca zbrodni i z powrotem: dziesięć odcisków butów marki Wing Walkers. Biuro szeryfa puściło w obieg szkice przedstawiające zabójcę z kostiumie z kapturem wraz z rysunkiem człowieka, którego widziano w okolicy w dniu zbrodni.

Nikt nie został aresztowany pod zarzutem dokonania tego morderstwa.

Siódma i ostatnia potwierdzona ofiara Zodiaka w żaden sposób nie pasowała do schematu ustalonego podczas trzech poprzednich napaści.

11 października 1969 roku dwudziestodziewięcioletni taksówkarz Paul Stine około godziny 20.45 przyszedł do pracy do firmy Yellow Cab Company w San Francisco. Pierwszy kurs odbył z mola 68 do portu lotniczego San Francisco. Mniej więcej godzinę później, między 21.30 a 21.45, dostał zlecenie, by odebrać klienta przy 9th Avenue pod numerem 500 i zawieźć go na skrzyżowanie Washington Street i Maple Street w zamożnej dzielnicy Presidio Heights. Tymczasem o 21.55 taksówka zatrzymała się w niewielkiej odległości od skrzyżowania Washington Street i Cherry Street.

Tutaj pasażer strzelił Stine’owi w tył głowy, zabijając go na miejscu. Następnie spokojnie wysiadł z taksówki, odciął część koszuli ofiary, wytarł różne części samochodu, by usunąć swoje odciski palców, i oddalił się pieszo.

Przypadek chciał, że trzech nastolatków obserwowało morderstwo z domu po przeciwnej stronie Washington Street. O 21.58 jeden z tych młodych ludzi dodzwonił się na telefon alarmowy policji i opisał podejrzanego: „biały mężczyzna, 25–30 lat, 5 stóp i 8–9 cali wzrostu, mocno zbudowany, rudawobrązowe włosy ostrzyżone na jeża, okulary w grubej oprawie i ciemne ubranie”. Opis ten i spostrzeżenia dwóch pozostałych świadków pozwoliły sporządzić jedyny policyjny portret pamięciowy zabójcy.

Cała trójka zeznała, że zabójca na jakiś czas pochylił się nad ofiarą. (Wiemy teraz, że odcinał wtedy duży kawał koszuli taksówkarza). Potem spokojnie poszedł Cherry Street, kierując się na północ w stronę Jackson Street i skręcił na wschód – w prawo, w stronę skrzyżowania Jackson Street i Maple Street. Dwaj policjanci, którzy już w stanie gotowości przejeżdżali przez to skrzyżowanie, zauważyli człowieka dokładnie odpowiadającego opisowi podanemu przez nastolatków. Jednak z jakichś nie do końca jasnych powodów policyjny dyspozytor powiadomił ich, aby wypatrywali „podejrzanego czarnego mężczyzny”. Wskutek tej zwykłej, okropnej i – miejmy nadzieję – nie jawnie rasistowskiej pomyłki policja straciła największą szansę ujęcia Zodiaka, jaka kiedykolwiek się jej przytrafiła.

Zodiakowi udało się wymknąć. Dlaczego tym razem postanowił zabić taksówkarza, a nie zakochaną parę? Co się zmieniło? Jakiej – jeśli w ogóle jakiejś – emocjonalnej satysfakcji dostarczyło mu to morderstwo? Być może podobała mu się własna groteskowa sława i pragnął jej więcej. Inna

możliwość jest taka, że Paul Stine zginął po prostu w wyniku zwykłej codziennej sprzeczki w sprawie należności za kurs.

Bez względu na motywy morderca ze swą odrażającą i do tamtej pory już aż nazbyt znaną arogancją nie zwlekał z przechwałkami. W nadanym 13 października 1969 roku liście do „San Francisco Chronicle” brał na siebie odpowiedzialność za zamordowanie Stine’a, załączając na dowód kawałek koszuli ofiary, oraz wyśmiewał policję San Francisco, że nie udało się jej go złapać. Groził również: „Któregoś ranka wykończę szkolny autobus. Po prostu strzelić w przednią oponę + potem zdejmować dzieciaki jak wyskakują”. List ten w całości wygląda następująco:

> Tu mówi Zodiak.
> Jestem mordercą taksówkarza przy Washington St + Maple St wczoraj wieczór, na dowód ten poplamiony krwią kawałek jego koszuli. Jestem tym samym człowiekiem który zabił ludzi w rejonie north bay.
>
> Policja S. F. mogła mnie złapać wczoraj wieczór gdyby porządnie przeszukali park zamiast robić na drodze wyścigi motosyklowe żeby sprawdzić kto potrafi narobić największego hałasu. Powinni po prostu zaparkować samochody i spokojnie siedzieć czekając aż wyjdę z ukrycia.
>
> Szkolne dzieci to fajne cele, myślę że któregoś ranka wykończę szkolny autobus. Po prostu strzelić w przednią oponę + potem zdejmować dzieciaki jak wyskakują.

Kolejny list do redakcji „Chronicle” został nadany 8 listopada 1969 roku i zawierał drugi kawałek koszuli Paula Stine’a, szyderczą kartkę pocztową przedstawiającą pióro umaczane we krwi oraz nową zakodowaną wiadomość – Z 340. Kryptogram ten jest złożony z 340 symboli, których

znaczenie nie jest w pełni zrozumiałe; nigdy nie został odkodowany i wciąż stanowi wyzwanie dla pasjonatów szyfrów na całym świecie.

Przyszło jeszcze wiele następnych listów najczęściej, podobnie jak poprzednie, adresowanych do „San Francisco Chronicle”. List nadany 20 kwietnia 1970 roku zawierał nowy kryptogram Z 13, złożony z 13 znaków, oraz schemat bomby, za pomocą której Zodiak, jak pisał, zrealizuje groźbę ataku na szkolny autobus. W tym samym liście morderca twierdził, że zabił już łącznie dziesięć osób.

Potem przyszła kartka pocztowa nadana 28 kwietnia 1970 roku. Zodiak domagał się w niej upublicznienia swoich gróźb zamachu bombowego na autobus oraz żądał, by ludzie w regionie zatoki San Francisco nosili „znaczki Zodiaka” z jego symbolem siatki celowniczej.

Gdy tak się nie stało, wysłał kolejny list z datą 26 czerwca 1970 roku, w którym skarżył się, że ludzie nie świętują jego morderczej działalności. Dołączył to niego kryptogram zwany Z 32 oraz mapę okolic San Francisco z symbolem siatki celowniczej z numerami w punktach kardynalnych. Obok był napis: „dotyczy Mag. N.”. Zodiak napisał też: „Mapa razem z tym kodem powie wam, gdzie jest zainstalowana bomba. Musicie ją wykopać do przyszłej jesieni”.

Niestrudzenie zabiegający o rozgłos Zodiak wysłał jeszcze wiele wiadomości i listów, w tym jeden nadany 1 sierpnia 1973 roku i adresowany do „Albany Union Times” w stanie Nowy Jork. Odniósł się w nim do pogłosek, że być może umarł lub trafił do szpitala.

List ten wyglądał następująco (duże litery zgodne z oryginałem):

NIE MACIE RACJI NIE JESTEM MARTWY ANI W SZPITALU CIĄGLE ŻYJĘ I MAM SIĘ DOBRZE I ZAMIERZAM ZNOWU ZACZĄĆ ZABIJAĆ Poniżej jest NAZWISKO I ADRES MOJEJ

NASTĘPNEJ OFIARY Ale Lepiej się pośpieszcie bo zabiję Ją 10 sierpnia o 5.00 po południu pod koniec zmiany. ALBANY to ładne miasto.

Ta kolejna groźba skłoniła federalnych i lokalnych śledczych do wzmożenia wysiłków w celu ujęcia seryjnego zabójcy i przesunięcia punktu ciężkości śledztwa na Albany, lecz znów nikogo nie aresztowano.

Teorie

Na temat Zodiaka powstało niemal tyle teorii, ilu było śledczych, którzy mogli je przedstawiać. Większość jest intrygująca; wiele jest wartościowych; wszystkie zaś, jeśli mogą doprowadzić do ustalenia tożsamości zabójcy, leżą w interesie publicznym. Jest też internet ze swoimi propozycjami rozszyfrowania kryptogramów Zodiaka. W programie dokumentalnym telewizji History Channel słynny ekspert od łamania kodów Craig Bauer twierdził, że rozszyfrował drugą wiadomość zawartą w Z 340. Część jego rozwiązania to słowo „RICHERD”*.

Zodiak zniknął z horyzontu około 1974 roku. Główny ówczesny podejrzany Arthur Leigh Allen został oczyszczony z zarzutów na podstawie analizy DNA pobranego ze śliny znalezionej na kopertach licznych listów zabójcy do mediów. Ponieważ analizy DNA są obecnie bardziej skuteczne, detektywi z komendy policji w Vallejo przekazali te koperty prywatnemu laboratorium, gdzie mają być poddane dalszym testom. Jeśli laboratorium zdoła odzyskać z wysuszonej śliny choćby fragmenty DNA, detektywi będą mogli porównywać je z dostępnymi w internecie genealogicznymi bazami danych i w ten sposób przystąpić do budowy drzewa genealogicznego

zabójcy. Potem, stopniowo i w toku żmudnej pracy, będą mogli go namierzyć.

Zastosowanie tej metody pozwoliło ostatnio zidentyfikować i aresztować pod zarzutem dokonania mnóstwa przestępstw siedemdziesięciodwuletniego Josepha Jamesa DeAngela, dawnego policjanta. W latach 1975–1986 seryjny zabójca, seryjny gwałciciel i włamywacz nazywany „zabójcą z Golden State” dopuścił się przynajmniej 12 morderstw, ponad 50 zgwałceń i przeszło 100 włamań. Kiedy to piszemy, DeAngelo pozostaje w areszcie, oczekując na proces w sprawie zarzucanych mu czynów.

Zafałszowana legenda

Mit Zodiaka przeniknął kulturę popularną niemal na całym świecie, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Do jego morderstw nawiązuje postać zabójcy zwanego Skorpionem z kultowego filmu Clinta Eastwooda *Brudny Harry* z 1971 roku, pojawiająca się również w retrospekcji w filmie *7 psychopatów* (2012).

W trzech swoich wiadomościach Zodiak – lub jakiś jego naśladowca – zawarł odniesienia do opery komicznej Gilberta i Sullivana *Mikado*, które miały rzekomo pomóc ustalić jego nazwisko. Tak się nie stało.

Warto pamiętać, że zabójca ten nie był ani wspaniały, ani zuchwały, ani nawet szczególnie sprytny. To, co robił, było przypadkowe, niegodziwe i gruntownie nikczemne. Uniknął schwytania jedynie dlatego, że jego napaści były nieprzewidywalne, a niefortunny błąd przekreślił szansę aresztowania go.

Jaka jest prawda? Tak zwany Zodiak był żałosnym tchórzem atakującym swoje ofiary z zaskoczenia i niedającym im szans na obronę, a następnie, jak w przypadku Shepard i Hartnella, mordującym je z zimną krwią i zamierzonym okrucieństwem.

Pomimo czterdziestu pięciu lat polowania z udziałem detektywów zarówno zawodowych, jak i amatorskich Zodiak nigdy nie trafił przed oblicze sprawiedliwości. Być może wciąż jeszcze żyje.

---

* Interesujący, choć pełen sceptyzmu wątek dyskusji na ten temat można znaleźć pod adresem internetowym: scienceblogs.de/klausis-krypto-kolumne/2017/12/14/heres-the-solution-of-the-second-zodiac-cryptogram-or-maybe-not/.

SKARB FENNA

> Skarb nieocenionej wartości […] złoto bardzo stare i nader rozmaite […] sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspaniałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirów i wreszcie jeden opal.
>
> Edgar Allan Poe, *Złoty żuk**

Dlaczego nikt jeszcze nie odnalazł starej szkatuły z brązu pełnej bajecznych skarbów wartych ponad milion dolarów, ukrytej gdzieś na terenie jednego z czterech stanów amerykańskich? W wydanej w 2010 roku książce *The Thrill of the Chase* autor, dawny pilot wojskowy i weteran wojny wietnamskiej Forrest Fenn zamieścił wiersz i kilka wskazówek w sprawie lokalizacji skarbu. Fenn mówi, że w skrzyni znajdują się „dwa szafiry z Cejlonu, setki rubinów, osiem szmaragdów i mnóstwo diamentów”. Skarb ten bardzo przypomina więc twór wyobraźni Poego, lecz ma nad nim tę wielką przewagę, że jest rzeczywisty i spoczywa gdzieś gotów wzbogacić osobę lub osoby dość sprytne, by go odnaleźć. Szkatuła mieści również dziesiątki samorodków złota, w tym dwa wagi większej niż uncja; sznur złotych majańskich paciorków, kilka prekolumbijskich złotych figurek sprzed 1500–1800 lat, mającą szczególną wartość historyczną srebrną bransoletę wysadzaną turkusami, którą pan Fenn chętnie odkupi od znalazcy, słoik złotego pyłu z Alaski i nie mniej niż 265 złotych monet,

głównie amerykańskich „orłów” i „podwójnych orłów”. Skarb zatem chyba wart jest odnalezienia.

W ciągu ośmiu lat od jego ukrycia ponad sto tysięcy ludzi wyruszało w dzikie ostępy Nowego Meksyku, Kolorado, Wyoming i Montany; byli uzbrojeni we własne rozwiązania zagadki i niesieni mocą koktajlu, który najbardziej uderza do głowy: nadziei. Nikt jak dotąd go nie odnalazł, choć Fenn uważa, że paru ludzi było już nie dalej niż 60 metrów od skrytki. Skąd to wie? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: Forrest Fenn osiągnął jeden ze swych głównych celów, jakie przyświecały mu, gdy uruchamiał polowanie na skarb; zamierzał mianowicie „ściągnąć ludzi z kanapy i posłać w świat dzikiej przyrody […]. Chciałem, żeby ludzie byli zaintrygowani, pełni energii i poza domem”.

A oto wiersz z książki:

Mógłbym zachować ten sekret dla siebie,
Bo sam przeszedłem swoją drogę śmiało,
Lecz mnie posłuchaj, gdy jesteś w potrzebie,
Aby bogactwo me twoim się stało.

Zacznij, gdzie ciepłe wstrzymują się wody,
Rusz w dół kanionu – nie zdradź się nikomu –
Niezbyt daleko, lecz dbaj o wygody,
Stań aż poniżej Brązowego domu.

Dla słabeuszy za żmudna to droga,
Za to mężnemu koniec zawsze bliski.
Choć trudno, niechaj nie zdejmie cię trwoga –
Ciężki ładunek, spienionych wód błyski.

Musisz być mądry, żeby znak odszukać,
Spójrz szybko na dół, koniec twego znoju.
(Ten widok wokół jak malarza sztuka).
Zabierz szkatułę i odejdź w pokoju.

Ale dlaczego sam muszę iść dalej,
Skarb zostawiając każdemu, kto łaknie?
Nad odpowiedzią nie biedzę się wcale:
Jestem zmęczony i sił mi już braknie.

Dlatego wszyscy słuchajcie mnie pilnie
Warto się starać, katar nie zgryzota,
Między drzewami sprawujcie się dzielnie,
A daję prawo do mojego złota.

Według mapy skarb jest ukryty w jednym z czterech stanów: w Montanie, Wyoming, Kolorado lub Nowym Meksyku. Wielu ludzi uważa, że chodzi o Nowy Meksyk, co wprawdzie poważnie ogranicza zakres poszukiwań, lecz wciąż pozostawia jako obszar eksploracji mnóstwo bardzo dzikich i niekiedy niebezpiecznych terenów.

Fenn mówi, że jego inne książki zawierają dodatkowe subtelne aluzje do miejsca ukrycia skarbu – „jeśli się wie, jak je rozpoznać”. Od czasu pierwszego wydania *The Thrill of the Chase* podał też trochę innych wskazówek, w tym całkiem zdroworozsądkowe i proste:

> Trzeba zacząć od pierwszej wskazówki i kierować się następnymi – jedną po drugiej, aż dojdzie się do skarbu. Najczęstszym błędem poszukiwaczy jest, jak widzę, niedocenianie znaczenia pierwszej wskazówki. Jeśli się jej nie rozgryzie, równie dobrze można

pozostać w domu i grać w kanastę. Podejmowano już wiele prób, wątpię jednak, by ktokolwiek znalazł skarb, jeśli nie zrozumie pierwszej wskazówki. Przeczytajcie moją książkę tak, jak się zwykle czyta. Potem czytajcie wiersz raz za razem, powoli – i myśląc. Następnie przeczytajcie książkę raz jeszcze, tym razem poszukując subtelnych aluzji, które pomogą rozszyfrować wskazówki.

Wskazówki są podane we właściwej kolejności. Znakomitymi materiałami pomocniczymi przy rozszyfrowywaniu wiersza są sama książka, Google Earth i ewentualnie dobra mapa.

W wierszu jest parę słów nieprzydatnych dla poszukiwań, jednak zignorowanie czegokolwiek jest ryzykowne. Zbytnio upraszczacie wskazówki. W Górach Skalistych jest wiele miejsc, gdzie zatrzymują się ciepłe wody, i wszystkie niemal znajdują się na północ od Santa Fe. Przyjrzyjcie się szerszemu obrazowi; nie ma dróg na skróty.

W najbliższej odległości od miejsca, w którym ukryłem skarb, nie przebiega żaden ludzki szlak. Nie podejmujcie nadludzkich wysiłków. Kiedy go ukrywałem, miałem jakieś 80 lat i nie było to zadanie trudne. Aby dotrzeć do skarbu, nie musicie odwalać wielkich głazów ani wspinać się na przepastne urwiska. Trzymajcie się z dala od terenów niebezpiecznych. Od samochodu do miejsca ukrycia skarbu przeszedłem pieszo dwa razy w ciągu jednego popołudnia.

Czytajcie w kółko wskazówki z mojego wiersza i analizujcie mapy Gór Skalistych. Próbujcie je powiązać. Skarb czeka gdzieś tam na kogoś, komu uda się przeciąć wszystkie linie we właściwym punkcie.

Jeśli waszym rozwiązaniem będzie miejsce na pustyni, poszukajcie nowego rozwiązania. Pamiętajcie też, że większość biegu Rio Grande nie przypada na Góry Skaliste.

Skarb znajduje się powyżej 5000 stóp i poniżej 10 200 stóp, co najmniej 8,25 mili na północ od Santa Fe w Nowym Meksyku. [Te liczby są dziwnie precyzyjne – dlaczego?].

Jeśli rozpoznacie miejsca geograficzne określane przez poszczególne wskazówki, uzyskacie mapę drogi do skarbu.

Nie znajduje się on w szopie, na cmentarzu, w kopalni, tunelu ani jaskini; nie leży pod niczym zrobionym przez człowieka ani w pobliżu żadnej budowli.

Miejsce nie jest niebezpieczne i możecie dotrzeć do niego w jedno popołudnie, jeżeli wiecie, dokąd iść. Nie trzeba odsuwać żadnych wielkich skał ani wspinać się na pionowe urwisko. Jeśli sądzicie, że ja nie zdołałbym umieścić skarbu w takim miejscu, zapewne macie rację.

Wskazówka: „gdzie ciepłe wstrzymują się wody” nie odnosi się do tamy.

Kilka innych wskazówek jest bardziej zawoalowanych:

Myślę, że dzieci mają pewną przewagę [jeśli chodzi o znalezienie skarbu]. Nie proście mnie, żebym to wyjaśnił.

Wiersz został tak naprawdę napisany przez architekta. Każde jego słowo znajduje się w strategicznym miejscu i nie możecie zlekceważyć żadnego rzeczownika.

Wielu ludzi poważnie przemyślało wskazówki w wierszu, lecz jedynie kilku skupiło się ściśle na kluczowym słowie.

Moja świątynia znajduje się w górach i nad brzegami rzeki, gdzie igrają marzenia i fantazje.

Szkatuła ze skarbem jest wilgotna. [Czy to znaczy, że znajduje się pod wodospadem, za jego ścianą?].

Pomysły zrodzone w bujanym fotelu mogą doprowadzić do paru pierwszych wskazówek, lecz ostateczne rozwiązanie łamigłówki wymaga fizycznej obecności w terenie. Google Earth nie może się przydać do odszyfrowania ostatniej wskazówki.

Życiorys Forresta Fenna jest niemal równie intrygujący jak stworzona przez niego łamigłówka. W 1950 roku wstąpił do Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, gdzie wyszkolił się na technika radarowego i dosłużył stopnia sierżanta. Trzy lata później rozpoczął szkolenie w zakresie pilotażu, a po jego ukończeniu dostał awans na podporucznika. Służył w jednostkach armii amerykańskiej rozmieszczonych w Niemczech, latając na myśliwcach F100C i F Super Sabre, a w styczniu 1968 roku wysłano go do Wietnamu – wprost w najgorętszy okres bardzo gorącej wojny. Awansowany na majora, dowodził bazą lotniczą w Tuy Hoa i odbył przynajmniej 328 lotów bojowych. Został dwukrotnie zestrzelony, lecz przeżył i w obu przypadkach uniknął niewoli. Za pierwszym razem lądował awaryjnie w samolocie F100D, w którym wysiadły silniki, i udało mu się zatrzymać go na ziemi na bardzo krótkim dystansie tysiąca metrów. Za drugim razem zestrzelono go nad Laosem za pomocą używanego przez armię północnowietnamską działa przeciwlotniczego ZSU. Katapultował się nad Tchepone i ukrywał w dżungli do chwili, gdy następnego dnia odebrała go Cukierkowa Ania, jeden ze śmigłowców z wojskowej floty „wesołych zielonych gigantów” – helikopterów Sikorsky HH-3E przeznaczonych do misji poszukiwawczo-ratowniczych w warunkach bojowych.

Odszedłszy w 1970 roku z Sił Powietrznych, Fenn, idąc za radą swojej żony Peggy, zapakował rodzinę do samochodu, by pojechać do północnego Nowego Meksyku. Bazując na swojej zrodzonej już w latach chłopięcych miłości do dawnych artefaktów, otworzył w Santa Fe odlewnię artystyczną i galerię. Jak zauważa lakonicznie, to malownicze miasto jest „jedynym znanym mi miejscem, w którym mogłem nosić sportowe buty i niebieskie dżinsy oraz zarobić na życie”. Niewątpliwie zarobił. Po siedemnastu latach sprzedał firmę, a następnie napisał „jedenaście książek na temat sztuki, archeologii, historii i etnologii, parę biografii i trzy różne tytuły wspomnień”.

Może się zdarzyć, że do chwili opublikowania niniejszej książki albo kiedyś, gdy będzie jeszcze czytana, ktoś odnajdzie skarb Fenna. Forrest Fenn powiedział jednak w sprawie jego genezy coś intrygującego: „W moich wspomnieniach widzę historię kierowaną jakąś nieznaną ręką. W wieku osiemdziesięciu lat uświadomiłem sobie, że przez całe życie czekałem na tę chwilę. Większość książki napisałem w sześć tygodni, a na ekranie komputera pojawiały się nagle zwroty, które nigdy wcześniej nie przychodziły mi na myśl…”.

Oto coś naprawdę tajemniczego.

---

* E.A. Poe, *Opowiadania*, t. 1, tłum. S. Wyrzykowski, Warszawa 1999, s. 358, 360.

BIBLIOGRAFIA

Kod z Shugborough

1. J. Philips, *An Authentic Journal of the late Expedition under Commodore George Anson*, London 1744.
2. Wywiady przeprowadzone przez autora z personelem National Trust w Shugborough Hall.
3. L. Heaps, *Log of the Centurion Based on the Original Papers of Captain Philip Saumarez on Board HMS* Centurion, *Lord Anson's Flagship During His Circumnavigation, 1740–44*, New York 1974.

Atlantyda

1. Platon, *Timajos, Kritias*, tłum. P. Siwek, Warszawa 1986.
2. I.L. Donnelly, *Atlantis: The Antediluvian World*, Scranton 1981.
3. Tacyt, *Żywot Juliusza Agrykoli*, *Germania*, w: Tacyt, *Dzieła*, tłum. S. Hammer, Warszawa 2004.
4. E. Owen, *Lost city of Atlantis „buried in Spanish wetlands"*, „Daily Telegraph", 14 March 2011.
5. Ch.H. Hapgood, *The Path of the Pole*, London 2001.
6. Ch.H. Hapgood, *Maps of the Ancient Sea Kings*, London 2001.
7. S. Marinatos, *Excavations at Thera*, vol. 1–7, Athens 1968.

8. National Geographic Channel, *Finding Atlantis*, telewizyjny program dokumentalny, 2016.
9. National Geographic Channel, *Atlantis Rising*, telewizyjny program dokumentalny, 2016.

„Mary Celeste”

1. Ch.E. Fay, *The Story of the „Mary Celeste”*, Mineola 1988.
2. A.C. Doyle, *J. Haabakuk Jesphson's Statement*, „Cornhill Magazine”, January 1844, pp. 1–32.
3. Wikipedia: en.wikipedia.org/wiki/Mary_Celeste.
4. Prof. Andrea Sella z UCL w rozmowie telefonicznej z autorem i w wymianie korespondencji elektronicznej zgodził się na podanie jego nazwiska i opisanie eksperymentu.
5. „New York Herald”, 15 March 1873.

Göbekli Tepe

1. gobeklitepe.info.
2. Blink Entertainment Ltd, *The Garden of Eden: Revealed*, telewizyjny program dokumentalny wyprodukowany dla Channel 5 (UK) i Smithsonian Channel we współpracy z France 5, SBS, TV Australia i BBC Worldwide, 2017.

Wielka Piramida w Gizie

1. G. Aaltonen, *The History of Architecture*, London 2008; materiały Gaynor Aaltonen.

2. Blink Entertainment Ltd, *The Great Pyramid – Treasures Decoded*, telewizyjny program dokumentalny wyprodukowany dla Channel 4 (UK) i Smithsonian Channel we współpracy z France 5, SBS, Shaw Media, Historia, TV Australia i BBC Worldwide, 2014.
3. Windfall Films/Alibi Entertainment, *The Great Pyramid – The New Evidence*, telewizyjny program dokumentalny wyprodukowany we współpracy z CBC Canada, Fronace TV i Science Channel, 2017.

Stonehenge

1. G. Aaltonen, *The History of Architecture*, London 2008; materiały Gaynor Aaltonen.
2. M. Parker Pearson, R. Bevins, R. Ixer, J. Pollard, *Craig Rhos-y--felin: A Welsh Bluestone Megalith Quarry for Stonehenge*, „Antiquity", 2016, vol. 89, no 348, pp. 1331–1352;doi.org/10.15184/aqy.2015.177.
3. BBC 2 TV, *Operation Stonehenge: What Lies Beneath*, telewizyjny program dokumentalny, dwa odcinki, 2014.
4. Stałe wystawy w Salisbury Museum w Wiltshire, w tym także „łucznik z Amesbury".

Teotihuacán

1. G. Aaltonen, *The History of Architecture*, London 2008; materiały Gaynor Aaltonen.
2. P. Laity, *Lakes of mercury and human sacrifices – after 1,800 years, Teotihuacan reveals its treasures*, „Guardian", 24 September 2017.

Rysunki z Nazca

1. *The Lines and Geoglyphs of Nasca and Palpa*, strona internetowa UNESCO World Heritage Centre, whc.unesco.org/en/list/700#links.

Wyspa Wielkanocna

1. J.A. Van Tilburg, *Easter Island – Archaeology, Ecology and Culture*, London 1994.
2. Zodiak media, iwc media, BBC, *Easter Island – Mysteries of a Lost World*, telewizyjny program dokumentalny, 2013, scenariusz i reżyseria J. Cooper, zdjęcia, produkcja i reżyseria S. Geilinger.

Potwór z Loch Ness

1. S. Lister, M*arise*, London 1950.
2. H.H. Bauer, *The Enigma of Loch Ness: Making Sense of a Mystery*, Urbana–Chicago 1968.
3. „Daily Mail”, 21 April 1934.
4. Mandrake, „Sunday Telegraph”, 7 December 1975.
5. C. Wythe, *More Than a Legend*, London, 1957, third impression 1961.
6. Adomnán, *Life of St Columba*, London 1995.
7. Walter of Bingham, *Itinerarium Scotiae (The Journey Through Scotland)*, blogs.bl.uk/digitisedmanuscripts/2013/03/loch-nessmonster-found-at-british-library.html.
8. G. Williams, *A Monstrous Commotion: The Mysteries of Loch Ness*, London 2015.

9. News Staff/Source, *Researchers Hunting for Environmental DNA in Loch Ness*, 2 July 2018, www.sci-news.com/biology/loch-ness-edna-06155.html.

Wielka Stopa i inni podejrzani

1. M.T. Place, *On the Track of Bigfoot*, New York 1974.
2. J. Blu Buhs, *Bigfoot: The Life and Times of a Legend*, Chicago 2009.
3. Bigfoot Field Researchers Organisation, www.bfro.net.

Zielone dzieci z Woolpit

1. William of Newburgh, *Historia rerum Anglicarum*, sourcebooks.fordham.edu/basis/williamofnewburgh-one.asp#27.
2. Ralph of Coggeshall, *Chronicon Anglicanum*, Cambridge 2012.
3. J. Wyndham, *The Midwich Cuckoos*, New York 1958; wyd. pol. *Kukułcze jaja z Midwich*, tłum. R. Markoni, Warszawa 1994.

Dysk z Fajstos

1. G. Aaltonen, *The History of Architecture*, London 2008.
2. Materiały Gaynor Aaltonen’s i wywiad ze Spyridonem Marinatosem.

Kot w pudle

1. *Albert Einstein, Philosopher-Scientist: The Library of Living Philosophers*, vol. 7, ed. P.A. Schlipp, Evanston 1949.
2. E. Schrödinger, *Die gegenwärtige Situation in der Quantenmechanik*, „Naturwissenschaften", Dezember 1935, 23 Jahrg, Heft 50, S. 844–849.

Sygnał „Wow!"

1. J.R. Ehman, *The Big Ear Wow! Signal: What We Know and Don't Know About It After 20 Years*, 1997–1998, archive.is/k9g9x.
2. *Fast Radio Bursts*, „Nature", 7 January 2019, www.nature.com/articles/d41586-019-00049-5.

Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy

1. L.R. Berger, J. Hawks, D.J. Ruiter i in., *Homo naledi, a new species of the genus Homo from the Dinaledi Chamber, South Africa*, „eLife", 10 September 2015, elifesciences.org/articles/09560?page=3.
2. www.nhm.ac.uk/discover/homo-naledi-your-most-recentlydiscovered-human-relative.html;.informacje z tego artykułu są przywołane w: L. Humphrey, Ch. Stringer, *Our Human Story*, London 2018.

Strefa 51

1. *Harassed Rancher who Located „Saucer" Sorry He Told About It*, „Roswell Daily Record", 9 July 1947.
2. N. Redfern, *Tajemna historia. Teorie spiskowe od „starożytnych wizyt obcych" po „nowy ład światowy*", tłum R. Kot, Poznań 2019.

3. K. Pflock, *Roswell in Perspective*, Washington 1994.
4. M. Hesemann, Ph. Mantle, *Beyond Roswell: Alien Autopsy Film, Area 51 and the US Government Coverup of UFOs*, 1997.
5. S.T. Friedman, D. Berliner, *Crash at Corona*, New York 1992.
6. Mutual UFO Network [MUFON]: www.mufon.com/roswell-ufo-retrieval---1947.html.
7. Film Raya Santilla pokazany w programie dokumentalnym telewizji Fox *Alien Autopsy: Fact or Fiction?*, 28 sierpnia 1995.
8. British Sky Broadcasting, *Eamonn Investigates: Alien Autopsy*, April 2006.
9. British Sky Broadcasting, *Alien Autopsy: The True Story*, 2006.
10. *Glowing Auras and Black Money: The Pentagon's Mysterious UFO Program*, „New York Times", 16 December 2017.
11. J. McConnachie, R. Tudge, *The Rough Guide to Conspiracy Theories*, London 2005.

Zabójca Zodiak

1. www.zodiackiller.com; materiały wykorzystane za uprzejmą zgodą Toma Voigta.
2. www.zodiacciphers.com.

Skarb Fenna

1. F. Fenn, *The Thrill of the Chase*, New Mexico 2010.

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Podziękowania
Wprowadzenie
Kod z Shugborough
    Zasadzka
    Bitwa o „Covadongę”
    Kod z Shugborough
    Pomnik pasterza
    Kamienne zwierciadło
    Kod z Shugborough
Atlantyda
Trójkąt Bermudzki
„Mary Celeste”
    Odkrycie
Göbekli Tepe
Wielka Piramida w Gizie
    „Zwoje piramidy”
    Celując w gwiazdy
Stonehenge
Teotihuacán
Rysunki z Nazca
Wyspa Wielkanocna
Potwór z Loch Ness
Wielka Stopa i inni podejrzani
Zielone dzieci z Woolpit

Dysk z Fajstos
Kot w pudle
Sygnał „Wow!”
Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy
Strefa 51
Zabójca Zodiak
    „Stracone” czterdzieści minut
    Zabójca zabiera głos
    Teorie
    Zafałszowana legenda
Skarb Fenna
Bibliografia
    Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

The Book of Unexplained Mysteries. On the Trail of the Secret and the Strange

Copyright © Will Pearson 2019

First published by Weidenfeld & Nicolson, an imprint of The Orion Publishing Group, London

Copyright © for the translation by Grzegorz Łuczkiewicz

Projekt okładki

Paweł Szczepanik

Fotografia na okładce

© Susan Yin / StockSnap

Redaktor inicjujący

Artur Wiśniewski

Redaktor prowadzący

Monika Janota

Adiustacja

Anna Śledzikowska / Wydawnictwo JAK

Korekta

Anna Kowalczyk, Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

ISBN 978-83-240-7255-2

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 25 19 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek